TYGODNIK

POLSKI.

Tom I.

Rok III^ci

STYCZEŃ, LUTY i MARZEC.

w WARSZAWIE.

w DRUKARNI przy Ulicy GĘSIÉJ.

1820.

TYGODNIK POLSKI.

Ułomek z Dziennika Ludwiki.

Niemogę powiedzieć Czytelnikom, w jakim zamiarze Ludwika pisała swój Dziennik; pozostały z niego tylko ułomki, ale zaręczam iż są w rzeczy samej pisane przez kobiétę, iż ta kobieta już nieżyje, i że następujący dziennik w własnym rękopismie między innemi jej papierami znaleziono.

Zaczyna się od długiego i mało znaczącego opisu przewrotnego wychowania płci pięknej. A*e przystąpmy do rzeczy.

„Już w piątym roku wiedziałam, żem była piękną; mówiono mi to tak często, i przytem tak uprzejmie spoglądano na mnie, a rodzice moi uśmiechali się tak mile, gdy mnie kto piękną znajdował, iż musiałabym być więcej niż kobietą, gdybym się nieprzejrzała przechodząc koło zwierciadła. Rozumiałam iż piękność jest pierwszą naszą zaletą, bo słyszałam często jak matka moja służącej powtarzała wszystkie grzeczności i kadzidła, które jej piękność od mężczyzn w hołdzie odbierała; a matka moja była bardzo piękną.

I mogłażem myśleć inaczej? Matka moja codziennie kilka godzin przepędzała przy gotowalni, i tak się nią zajmowała jak niczem innem. Nowa wstążka, nowa suknia zachwycała mnie; bo tenże sam skutek sprawiała na mojej matce.

W siódmym roku już chciałam się podobać, i taki mężczyzna który bawił się zemną, który mnie nazwał zgrabniutką, był u mnie rozumnym i obyczajnym. Jeszcze dotychczas pamiętam, jak jeden młody człowiek śmiał się z czegoś com powiedziała, i szepnął do ucha mojej matce, tak jednak, żem wszystko usłyszała: „Prawdziwie ta Ludwisia kiedyś chłopcom głowy zawracać będzie.” Przez cały ten dzień gęba mi się niezamknęła. Nieroześmiano się więcej; i to tak mnie zmartwiło,

żem się krzywiła na tego samego mężczyznę, jak gdyby mi coś złego zrobił.

Jeden z przyjaciół ojca mojego, ściągnął na siebie cały ogrom mojej nienawiści; ta nienawiść trwała równo ze znajomością naszą; a wiecie z jakiej przyczyny? -- Oto matka moja opowiadała mu raz jakiś mój dowcipek. Siedziałam w kącie, przerzucając zabawki; byłam pewna iż mnie będzie wynosić pod niebiosy, a ten złośliwy człowiek przestrzegł moję matkę, aby powściągała próżność moję. Rozżalona, wyszłam z pokoju, i zaczęłam płakać; od tego czasu niemogłam patrzeć na gęste brwi co się nad okiem jego marszczyły. Wszedłszy, spojrzałam na niego, a znowu zmarszczył te straszne brwi. Zdaje mi się że go jeszcze widzę. Omijałam go gdziem tylko mogła.

W dwunastym roku umiałam już nienajgorzej czytać, nieźle pończochę robić, alem za to tańczyła doskonale. Gdym źle czytała albo źle pończochę robiła, łajali mnie wprawdzie, ale znowu godzili się zemną. Joasia córka naszego Sąsiada czytała bardzo płynnie, robiła pończochy pięć razy więcej odemnie; ale matka moja nazywała ją zawsze cielątkiem; bo nieumiała ani tańczyć ani szczebiotać.

Ztąd utworzyłam sobie powoli małą filozofiją życia, i ta nigdy mię nie zawiodła. Tańczyłam

pięknie, i szczebiotałam, wiele umiałam śpiewek napamięć, a wszyscy młodzi mówili, że niemasz powabniejszej nademnie. Joasię chwalił nasz nauczyciel a ganił mnie; lecz on u mnie nic nie znaczył; nosił stary wytarty surdut; i cóż mi po jego pochwałach? W czternastym roku, nauczyłam się czytać przedziwnie; bo romanse zaczęły mi się bardzo podobać. Czytałam stare i nowe; stare podobały mi się więcej niż nowe. Patrzyć na kochanka jak z parę lat wzdycha i niema dość serca, oświadczyć się; przez cały ten czas dowoli nażartować się z niego; doświadczyć na nim wszystkich grymasów, zdawało mi się rajem na ziemi. Już zaczęłam grać rolę niewiniątka; kiedy który z młodzieży miał na mnie pilniejsze oko, to ja dla zabawki udawałam rozgniewaną. Miłość była igraszką próżności; jeszcze serce nie mięszało się do niej.

W piętnastym roku polubiłam bardziej nowe Romanse. Przedsięwzięłam z całych sił kochać, byleby mi się nawinął cel godny mojej miłości, jakim sobie wystawiała w wyobraźni. Głową moja była pełną myśli romansowych, śniło mi się ustawicznie o kochankach, zazdrości, wykradzeniach, i nieraz gniewałem się na moją matkę, gdy mi przyrzekała że będzie mi wolno, wybrać kogo sama ze-

chce. Ta obietnica na straszne doświadczenie wkrótce wystawioną została.

Jak dziwaczne wyobrażenia o miłości powzięłam z romansów! Ta miłość, wierna, szczera i stała, jakże odmienną zdała mi się w świecie prawdziwym.

Na jednym balu tańcowałam z Porucznikiem Walerym, który często bywał u mojej matki. Tańczył przecudnie, i ja niemniej. Oczy całej kompanji na mego tanecznika zwrócone były. Tańcował czasem z innemi, ale zawsze do mnie powracał. „Ludwisiu! wszyscy ci dzisiejszego wieczora zazdroszczą!” powiedziała mi matka przechodząc koło mnie; już byłam zgubioną. Słuchałam z uciechą grzeczności Walerego, ścisnęłam go za rękę. Poszłam do osobnego pokoju dla ochłodzenia się; niezadługo przyszedł za mną Walery, znowu powtarzał grzeczności swoje, nakoniec w pełnych ognia wyrazach uczynił mi wyznanie swojej wiecznej miłości; uważałam go za najdoskonalszego z ludzi, bo cały salon miał na niego oczy zwrócone. Milczałam, rumieniłam się; coraz silniej nalegał na mnie o odpowiedź, błagał o nadzieję, niemogłam mu jej odmówić. Po kilku dniach otrzymał wyznanie wzajemności, a szczęście bez granic ożywiło życie moje.

Moja matka przejęła kilka listów; łajano mnie,

grożono. „Ten człowiek niema nic." mówiła mi matka; „Ale pięknie tańczy." zawołałam. Łajania i groźby na nic się niezdały; matka względem mnie nieśmiała być ostrą, byłam jedynem jej dziecięciem. Miłość moja przemogła, i w miarę przeszkód gorętszą się stała. Walery klęczał przedemną, zaklinał mnie, groził że się zastrzeli, jeżeli będę dla niego niestałą; i byłam stałą.

Wprawdzie w kochanku moim upatrywałam niektóre rzeczy, co mi się wcale niepodobały. Gdym sama z nim była pozwalał sobie wolności, którem musiała powściągać i przypisywać zapałowi jego miłości. Niesłuchałam rady moich krewnych, nieuważałam na żarty i przekąsy moich znajomych; mniemałam iż miłość moja nigdy się nieskończy, a przecież się wkrótce skończyła.

W tym właśnie czasie przybył do stolicy jeden z najsławniejszych Poetów kraju naszego. Powszechnie go poważano, wszyscy go prosili do domów, i byli szczęśliwi kiedy ich odwiedził. Gdy co mówił, słuchano go z uwagą, a potem powtarzano jego słowa. Starałam się ściągnąć na siebie oczy jego, i miałam to ukontentowanie iż kilka razy mnie uważał, i nawet mnie nad inne przenosił. Niebardzo go lubiłam, alem jednak kazała Waleremu, aże-

lej przyrzekł. Krótko mówiąc, sławny poeta miał wielkie u mnie znaczenie.

Pewnego dnia wyjechałam z ciotką moją do pewnego ogrodu za miastem. Tam siedząc w altanie, słyszę głos sławnego Poety i imie moje. Nadstawiam pilniej ucha i przysłuchuję się następującej rozmowie:

„Prawdziwie! Ludwika jest śliczną dziewczyną; ma piękne przymioty, i najlepsze skłonności duszy.

Ledwiem go nieuściskała z radości.

Ale -- mowił dalej -- Niepojmuję jak ten Anioł piękności może kochać, tak nudnego i tak pełnego przysad fanfarona jakim jest Walery. O wierzaj mi przyjacielu, Ludwisia nie kocha go, nie może go kochać."

„Nie sprzeczam się; ale gdyby tak było (odpowiedział ktoś drugi) uważałbym Ludwisię za rzadki gienjusz kobiecy.

Płonęłam od wstydu; miłość moja ku Waleremu zgasła zupełnie, znienawidziłam go sobie, wstydziłąm się sama siebie; wszystko na świecie dałabym za to, żebym go nigdy nie znała. Po cichu wymknęłam się z altanki; a wróciwszy do domu, z niezwykłą radością uściskałam moją matkę. Sama wprowadziłam rozmowę o Poruczniku. Ale Mamo (rzekłam)

jakżeś też mogła na chwilę pomyśleć, iż szczerze zdolna byłam kochać, tak nudnego i tak pełnego przysad fanfarona jakim jest Walery. Żartowałam tylko z niego; a nawet żartować z niego niewarto.

Matka moja uściskała mię czule, śmiałam się z memi towarzyszkami z miłości i z łatwowierności Walerego; i tak romans z nim zupełnie się skończył; nie dość natem, opowiadałam przed wszystkiem jakem sobie z niego zażartowała, a powieść moją kończyłam zawsze temi słowy: „Tak trzeba karać fanfaronow.

Gdy mój przypadek rozgłosił się po mieście, stałam się bóstwem całej młodzieży; ale to zdarzenie złe za sobą skutki pociągnęło. Miano mnie za złośliwą, a prawdziwie złośliwą niebyłam; owszem przykro mi było grać taką rolę. Jednak być uważaną za gienjusz kobiécy, ta myśl tyle dla mnie miała ponęty, iż mimo wyrzutów serca, kochanka mojego okrywałam śmiesznością.

Musiałam już pozostać przy mojej roli, jakkolwiek stłumienie życzeń serca, wiele mnie kosztowało. Musiałam być karą na trzpiotów; a prawie wszyscy co mnie otaczali byli trzpiotami, a wielu z nich bardzo miłemi trzpiotami; kosztem serca niosłam ofiarę próżności.

Udawałam jakobym niewierzyła w miłość, a

kilka nocy bezsennie na wzdychaniu spędziłam. Trzeba mi było do końca okazać się jednakowego sposobu myślenia, aby się nie stać śmieszną. Wesołością przywabiałam młodzież do siebie, i gdy już klęczeli przedemną, a przyznać się muszę że klęczało wielu takich, którzy sprawiali mocne w sercu mojem wzruszenie, naówczas miłość ich w żart obracałam. Wkrótce połowa mężczyzn szalała za mną.

Nakoniec i moją godzina wybiła. Ujrzałam młodego mężczyznę; niemogę powiedzieć żeby był pięknym, ale miał twarz filuterną i dowcip uszczypliwy. Widział mnie i pozostał zimnym, przelatał od jednej dziewczyny do drugiej, a na mnie prawie niezważał. Taka wzgarda godną była kary. Rozmawiałam z nim. Wszystkie wdzięki moje okazały się bezskuteczne. Mało mnie cenił, mało chciał podobać się mnie. Przez niejaki czas tym sposobem obchodził się zemną. Czasem zdawało mi się że się do mnie zbliża, ale wkrótce jeszcze się bardziej odsunął. Nienawidziłam go, próżność moja była obrażoną. Ah! ten chytry człowiek spoglądał na mnie niekiedy okiem, w którem zdawało mi się wyczytywać mój tryumf! O jakżem się zawiodła.

Posiadał dar opowiadania, umiał dowcipnie obmawiać, wyśmiewał nieporównanie; potrafił-

by nawet rozśmieszyć samego Momusa. Stał mi się strasznym; pierwsze kroki uczyniłam sama, ażeby go szczerze na moją stronę przeciągnąć. Okazywał się czulszym; już em się cieszyła zwycięztwem; ale daremnie, był to wąż śliski, co mi się wtedy nawet wymykał, gdym go już trzymała. Codzień byłam z nim poufalszą i codzień silniej przywiązywałam się do niego. O ile mnie on łez kosztował! Zbliżał się do mnie w miarę okazywanego mu przezemnie przywiązania. Mówiąc o mnie, nieużywał już tonu uszczypliwego, okazywał mi nawet szacunek wyższy niż dla innych kobiet. Ale niebyła to jeszcze miłość. Na najmniejszy mój grymas wracał się do dawnego tonu, którym mnie upokarzać umiał. Stałam się dla niego łagodną, miłą i grzeczną, a szacunek jego wzrastał. Nigdy wdzięków moich niechwalił, ale często unosił się nad zaletami duszy. W obecności mojej nawet wielbił powaby innych kobiét; tej figurę znajdował piękniejszą, tamtej rysy delikatniejsze, mnie nazywał najpowabniejszą.

Kochałam go i w jego oczach wyczytałam promyk miłości, ale miłość ta zachwycała i zwyciężała mnie razem. Daremnie jednak z ust jego czekałam wyznania; gdyby mi je był uczynił, byłabym go z całego serca kochała. Tak upływały miesią-

ce, a zawsze wyznanie miłości na ustach jego spoczywać się zdawało; wyglądałam tylko chwili w której go u nóg moich zobaczę, lecz zawsze się próżną nadzieją zwodziłam.

Pewnego wieczora siedzieliśmy sami. Mówił do mnie z czułością, ścisnęłam jego rękę, a usta moje spotkały usta jego. Wyczytałam w nim szczęście i zachwycenie. Czekałam na wyznanie; ze smutnem okiem spojrzał się w niebo, potem tkliwie na mnie, pocałował mnie w rękę, wstał, westchnął i odszedł.

Byłam pewna że mnie kocha. Czegóż się miałam wstrzymywać dłużej. Napisałam do niego list odkrywając uczucia serca mojego. Odpowiedział mi zimno...osłupiałam czytając ten list, i jeszcze dotąd zdumiewam się gdy sobie o nim wspomnę. Odpowiedział mi zimno i poważnie, iż żałuję że niemoże przyjąć szczęścia jakiem mu ofiarować raczyła, tym bardziej, iż nigdy niedał powodu do tego kroku, w prawdzie romansowego, ale nieprzystojnego dla dobrze wychowanej kobiety.

Zbladłam gdym ten list przeczytała; trzęsłam się z gniewu i nagle z najokropniejszej rozpaczy, wpadłam w najgłębszy smutek. Miłość i nienawiść na przemiany tak silnie sercem mojem miotały, żem

ciężko zachorowała, i o mało żem życiem pogardy mojej nie opłaciła.

Po kilku tygodniach niebezpiecznej słabości, pokazałam się znowu w kompanji. Przypadek mój był już wszystkim wiadomy. Młode panienki które dawniej cisnęły się do mnie, spoglądały teraz szyderskim, przenikającym wzrokiem. Mężczyzni co dawniej zbliżali się z grzecznem uszanowaniem, teraz spoglądali na mnie zuchwalej niż na inne kobiety. Gdym chciała odzyskać dawną moją powagę; poniżano mnie wspomnieniem na dumne Xiężniczki, które serce i rękę swoję w listach ofiarują. Byłam zgubioną, a co gorsza zgubioną bez nadziei.

Opowiadano rożne szczegoły o mojej miłości; każda pusta głowa nowe okoliczności przydawała. Zginęłam zupełnie w opinji; uciekłam na wieś, i dziękowałam niebu, gdy nasz stary sąsiad oświadczył się o mnie, i raczył zapewnić że mnie więcej kocha, niż sforę psów swoich.

Poszłam za niego, wkrótce panowałam w domu. Kilku naszych sąsiadow stało się ofiarą mojej próżności. Straciłam piękność, a z nią wszystko co mię przywięzywało do życia. Ach jak okropne były pierwsze dziesięć lat, bez kochanków, bez czcicieli. Sama niepojmuję jak mogłam je przeżyć. Nudy samotności przymusiły mię do szukania rozrywki w

książkach, a jednakże przyznać muszę iż oddałabym wszystkie książki za jednego kochanka.

Takto próżność czarować umie. Teraz nawet, gdy już mam lat sześćdziesiąt, jeszcze najmilszą przepędzam godzinę, opowiadając powiernicy o kochankach mojej młodości.

Kobieta.

Trjolet K. Brodzińskiego.

Trzy razy żyjąc na świecie,
Świat cały tulisz do łona;
Przy piersiach matki, jak dziecie
Szczęśliwa, niewiesz o świecie.
Kochanka tuląc do łona,
Jak w świecie w nim zatopiona,
Zapomnisz wcale o świecie;
A tuląc własne twe dziecię,
Świat cały tulisz do łona.

Tęschna.

Wiersz K. Brodzińskiego.

Któreż cię strony podziały,
Czemu cię widzieć niezdołam,
Po co te góry i skały,
Z których daremnie cię wołam?
Po co góry, po co skały,
By mi ciebie zakrywały!

Jeśli wstrzymały cię boje,
Ranisz mnie z twemi wrogami,
Srogie, ach! wieńce są twoje,
Gdy ja opłacam je łzami.
Po co króle, po co boje,
By mi brały skarby moje!

Jeśli rodzina, twą drogę
Dotąd opóźnia mój miły,
Za cóż uprosić niemogę,
By mi cię siostry wróciły?
Po co krewnych? spiesz się w drogę,
Ja za wszystkich kochać mogę.

Jeśli go wy wstrzymujecie,
Obce, okrutne dziewczęta,
Mnie on ma jedną na świecie,
Nim ja jedynie zajęta.
Świat wy cały mieć możecie,
Dla mnie tylko ón na świecie!

do Niny. K.......y.

Albo ty myśl o kochaniu,
Albo się niepatrz tak pięknie,
Bo mnie w tém powątpiewaniu
Serce już pęknie.

Umiem ja cenić skarb drogi,
Tyś się też uwzięła drożyć,
Któż dla ciebie nieubogi,
Cóż ci mam złożyć?

Oddałbym ci całe mienie,
Lecz cóżbyś za miłość chciała,
Gdyś już za jedno spojrzenie,
Wolność zabrała.

P.

Zosia.

Wiersz Alexandra Linowskiego.

Noc nad światem górę bierze,
Żal mi was moi pasterze!
 Zosi widzieć niebędziemy.
Skoro reszta dzionka zbladła,
Klamka u jej drźwi zapadła,
 Dobranoc jej niepowiemy.

Wy może tego niewiecie,
Że ładniejszej nad nią w świecie,
 Niebyło, niemasz, niebędzie.
Czy kiedy jej stopki letkie,
Skocznie depcą trawki wietkie,
 Czy gdy spokojnie usiędzie.

Czy kiedy kwiaty i kłosy,
W czarne swoje wplata włosy,
 Czy kiedy one rozplecie,
Lub gdy igrając wesoło,
Śnieżne jej jaśnieje czoło,
 Piękniejszej niema na świecie.

Albo kiedy wyrok taty,
Od gzów ją ciągnąc do chaty,
Nieda zostać w chożych tłumie;
Wtedy jutrzenka za chmurą,
Zosia się żegna z naturą,
I jeszcze ładną być umie.

Cóż kiedy czucie jej duszy,
Litość albo miłość wzruszy,
I wzruszenie znać na twarzy!
Choćby z was był każdy głazem,
Wtedy u nóg jej paść razem,
Wszystkim wam się pewnie zdarzy.

Myśli.

Miłość. Milczące uszanowanie ukrywa ją ale razem mocniej jej dowodzi, niżeli najgorętsze oświadczenie.

Zazdrość. Jeżeli powstaje ze skromności, pochlebia; wzrusza, jeżli do tego towarzyszy jej

słodka melancholja; lecz jeżli powstaje z miłości własnej i niedowiarstwa, rozjątrza i uniża.

Cierpienia miłości. Oby powróciły błogie lata mojej miłości, zawoła Rózia z westchnieniem! O Boże! jakżem wtedy była nieszczęśliwą.

Użycie. Gdy wszystko wzbronne, umiera miłość z pragnienia; gdy wszystko dozwolone, umiera z sytości. Szczęśliwy kto średnią znajdzie drogę!

Stałość i wierność w miłości. Kobiety są zwykle wierniejsze od Mężczyzn; Mężczyzni stalsi od Kobiet. Kobieta może kochać innego, a być jednak wierną; Mężczyzna może przeniewierzyć się kochance, a jednakże ją kochać. Kobieta jest więcej Panią swoich zmysłów; Mężczyzna więcej Panem swego serca.

Łzy. Są niebespieczne u mężczyzn; u kobiet nic prawie nieznaczą, tylko że zdobią piękną twarzyczkę.

Starość. Mówią, że się serce nigdy niestarzeje. To źle. Dobrze żeby się starzało, gdy już wszystko niejest młodem.

Skowronek.

bajka.

Jeszcze w pączkach były liście,
Co tylko lody tajały,
Już skowronek wiosny przyjście,
Pełnym śpiewał głosem chwały.
To tylko mając na względzie,
Że wiosny łaskę pozyska,
Niepytając jaka będzie,
Czy dobrej warta nazwiska.
Cóż się stało? rządy swoje
Rozpoczęła: wiatry, szrony;
Zmarzły ziółka, wyschły źdroje,
A śpiewak zdechł zagłodzony.

U pochlebców pospolicie,
Taki koniec, jakie życie.

Felix Gawdzicki.

Epigramma Pełki.

Próżna obietnica.

Nędzny, kto aż na to czeka,
Że w tenczas wesprze człowieka,
Gdy mu od potrzeb zostanie.
Bezskuteczne obiecanie.

TEATR NARODOWY.

Jagiełło w Tenczynie Opera.

Wiersze Alexandra Chodkiewicza, Muzyka Józefa Elznera.

Z nowym rokiem nowa sztuka; osnowa jej jest następująca. Władysław Jagiełło po stracie Jadwigi nieutulony w żalu, opuszcza tajemnie Kraków w towarzystwie Pełki, i pod imieniem Melsztyna, udaje się do Zamku Tenczyńskiego o trzy mile od Krakowa, ażeby bez przeszkody oddać się zupełnie smutkowi ktory mu ciągle towarzyszy.

Wstępuiąc w ślady Kaźmierza, Monarcha lubi przebywać z Wieśniakami, przypatruje się jch często powtarzanym tańcom.

Zebrani Wieśniacy na wesele Baśki córki Sołtysa tamtejszej włości, bardzo się trwożą, gdy jeden z nich co dopiero wrócił z Krakowa, opowiada iż słyszał na drodze od Wojewody Krakowskiago jakie nieszczęście spotkało naród, iż Krol opuścił stolicę i nie wiedzieć gdzie się znajduje -- To zdarzenie jest zawiązaniem sztuki.

Anna Jagielonka wnuczka Kazmierza chcąc przez dobroć serca, rozpędzić smutek Władysława i wrocić go ludowi, przebiera się za młynarkę i ze swoim stryjem osiada w Tenczynie; Tam ujrzawszy Jagiełłę w pośród wieśniaków spiewa o Jadwidze powtarza jej ostatnie słowa i zachwyca zdumionego Kròla. Tu więc jest pierwsze ich poznanie, przy czem Wieśniacy błagają Nieba o zachowanie Krola.

Drugi Akt otwiera Pustelnik, unoszący się nad pięknością okolicy zwłaszcza w wiosennej porze. Te marzenia przerywają mu wieśniacy zmięszani oddaleniem Krola od steru rządu, i pytają co z tego wyniknie. Starzec przepowiada iż Król znowu będzie pano-

wał. -- odchodzą -- przybywa Władysław -- Widok krzyża postawionego na boku i ozdobionego kwiatami, przypomina mu straconą żonę, zbliża się czyta napis ,, Za duszę Jadwigi ,, Obok znajduje napis dający mu poznać iż jest inna osoba która go także obchodzić powinna i która się stanie drugą Jadwigą. Sprawiedliwie zdziwiony udaje się do chaty Pustelnika -- Ten wyszedłszy poznaje go i wita ,, Jak się masz Władysławie ,, Jeszcze mocniej zdumiewa to Monarchę lecz poznaje nadprzyrodzone siły, kiedy Pustelnik wyjawia mu całą przyszłość — aż do naszych czasów.

Tym czasem nadchodzi Anna z kwiatami ktoremi ma ustroić grób Jadwigi. Na jej widok Władysław z głębokiego smutku, przechodzi do milszego daleko uczucia, oświadcza jej swoją miłość, utrzymując iż jej wysokie cnoty zniewoliły jego serce i że zapewnie widzi w niej znakomitą osobę; na to odpowiada Anna iż jej Ojciec był szlachcicem. Z powodu owczesnych mniemań ta wiadomość cieszy Jagiełłę Nadchodzące wesele, ktore od początku sztuki wszędzie się uwija, zawiesza na chwile akcją.

W trzecim akcie przybywa Pan Krakowski do Króla z oznajmieniem iż Tatarzy z jednej strony pustoszą ukrainę, Krzyżacy z drugiej gotują się do napadu. Nieulękniony Władysław oświadcza iż ostrzem stali ukarze najezdnikow — Nadchodzą Polscy Panowie, ktorzy go na tron wzywają; wykonywają przysięgę wierności, w końcu dodają: iż Stany Królestwa przeznaczają mu za małżonkę Annę. Monarcha odrzuca ich wybór, a wskazując na Annę młynarkę, w niej każe im widzieć przyszłą Królową. Posłowie poznają, iż taż sama jest Królewna Anna, a Pan Krakowski odkrywa Królowi, iż z jego wiedzą Królewna przybrała tę postać, ażeby zająć w sercu Króla miejsce dawnej żony, i przywieść go do obowiązków, które dla słusznego wprawdzie żalu, ale zbyt długo zapomniał.

W tem zmienia się Teatr; widać salę, a w głębi ołtarz i o-

braz pojednania Litwy z Polską, kopjowany z oryginalnego obrazu Bacciarelego przez młodego i pełnego talentu Artystę Lizandra.

Taka jest osnowa tej sztuki. Wywołano Autora jak i Kompozytora muzyki.

R.

LOGOGRYF.

Jestem szczęściem narodów, gdy mnie pilnie strzegą.
Dla mnie teraz świat cały mnóstwo ofiar łożył.
Zmieszawszy części moje znaleźć możesz tego,
Co dla szczęścia Północy w jej Monarsze ożył.
Znajdziesz Pogromcę Turków, liczbę, zapytanie,
I to co jest człowieka najpierwszym zaszczytem;
Ucieczkę zostających w nieszczęśliwym stanie
I to co niegdyś było miastem znakomitem.
Znajdziesz w sztuce Malarskiej wsławionego męża;
Co domom widok daje, rzekę, potwierdzenie.
To co muzyką włada, dźwięk i odgłos węża,
Robaka, i co zwykle służy na odzienie.
Jest we mnie znak muzyczny: ptak i zwierz domowy;
Jest kto dłoni pożycza na karę zbrodniarzy,
Część sztuki teatralnej, i narzędzie mowy.
I stopień pokrewieństwa, i ozdoba twarzy.
Jest imie Polskie, ryba, narzędzie rolnicze,
I to co zwykle obchód zakończa weselny,
W czem nieszczęśni znajdują jedyne slodycze;
I u wolnych Hiszpanów Rząd niegdyś naczelny.

O FRANCUZKICH PIESNIACH LUDU.

Jeżeli Włochy są Królestwem śpiewu, w czem żadnemu innemu narodowi wyścignąć się niedają; najbliżej do nich przystępują Francuzi. Niemówię tu o muzyce jak o pięknej sztuce, która wyłącznego poświęcenia się i wyższych usposobień wymaga, lecz o śpiewie nieuczonym ludu, o tej potrzebie ulżenia sobie niejako radosnem wykrzyknieniem, gdy stan spokojny niewystarcza do wyrażenia wewnętrznej wesołosci, która nas przejmuje, gdy czujemy coś, czego pojąć niemożemy. Śpiew jest głosem szczęścia; a u Francuzów, najpiękniejszym słońcem ogrzanych, żywionych najlepszym owocem, używaj ych życia w całej pełności, wreszcie zawsze prawie szczęśliwych w stosunkach towarzyskich, zwyczajną prawie mową jest śpiew. Naród ten lekki, żywy, łatwo się odurzający, jakże łatwo jest szczęśliwy. Nie-

masz okoliczności któraby go do pieśni niewzbudziła. Zwycięża, opiewa swą chwałę; przegrywa, jest to mała odmiana która go bawi, wesół jest, śpiewa. Każda nowość, każda uroczystość, każda biesiada, każda bitwa szczęśliwa lub mniej pomyślna, twierdza wzięta lnb utracona, staje się niemylnie powodem do kilku dziesiątków wierszy, które równie prędko robią jak zapominają. Autorowie zaś śpiewani i zapomnieni, nieodstręczają się, nieopuszczą najpierwszej okoliczności, tworzą znowu, bo dla nich teraz jest wszystkiem; żyją teraz.

Język Francuzki ma dar szczęśliwy, lecz niewiem czy godny zazdrości, wymówienia gładko niczego. W lekkiej Francuzkiej Poezji, nieraz wiersze płyną najpiękniej, zwroty i wyrażenia są zręczne; czytamy, przebiegamy je ochoczo, tylko zdrowej rozwadze niewolno się wdać do tego co nas bawi, bo byłaby równie niewczesnym gościem, jak w wesołem towarzystwie rozprawy Doktora Filozofji.

Sztuka drammatyczna jest we Francji bardziej narodową niż gdzieindziej, przeto najwięcej wydoskonaloną. Lud przekłada rozrywki teatralne nad wszelkie inne, z tąd usiłowania Poetów dążą po większej części do utworzenia dobrej Komedji lub Trajedji, co od razu zapewnia im nietylko najtrwalszą sławę, ale nadto znaczne korzyści. Inne gałę-

zie poezji, choć niezaniedbane zupełnie, mniej są jednak uważane. Pieśni powstają i giną bez liku, kto w tym rodzaju chce być obszerniej znanym, tworzy Komedjo-Opery, Wodewile, i tym podobne mniejsze sztuczki, a tak przynajmniej przez dni kilka śpiewają go Aktorzy, a za niemi publiczność teatralna.

W tym krótkim zbiorze pieśni Francuzkich, zacznę od dawniejszych. Przed ukształceniem teraźniejszego Francuzkiego języka, język prowincyj południowych, zbliżający się wiele do Włoskiego, a powszechnie zwany Okcytańskim, był zwyczajną mową Poetów. Między niektóremi zabytkami, pozostało nam z wieku XIII. proste w tym języku opisanie Pór Roku, które tu przytaczam. Opisując pory roku w kraju tak wesołym jakim była Prowancja i Delfinat, naturalnie bardzo, więcej się zajmuje Poeta zabawami, niżeli pracami mięszkańców. Już to w wiośnie, zachęca ich do zbierania kwiatów na wieńce dla kochanek, już to do zaszczepienia Maju przed oknami najpiękniejszej. Zaszczepienie Maju było w owych czasach uroczystością odbywającą się na początku tegoż miesiąca. Wyrywano drzewo z korzeniem, ozdabiano wieńcami, wstążkami, i w obliczu całej włości sadzono przed oknem dziewczyny, którą starszyzna osądziła za najpiękniej-

szą i najcnotliwszą. Umieszczam wszystkie cztery Pieśni.

Pieśń Wiosienna.

Pasterze, z chatek wychodźcie,
Już się spoczywać niegodzi,
Czoła wasze wypogodźcie,
Bo Maj wesoły nadchodzi.

Już rosa nocy po łące
Wilgotne perły rozsiała,
Czekają kwiatów tysiące
Pasterki, by je zerwała.

Już słowik przyjemnie kwili,
I szczygieł wita poranek,
Czas byście wieńce uwili
Na dar dla waszych kochanek.

Czas wieńców z liści narobić,
Czas drzewo wydobyć z ziemi,
I kwiatami je ozdobić,
I wstążkami czerwonemi.

Wcześnie Maj szczepić potrzeba,
Gdzie piękna Eliza gości,
Jej chwałę zesłały Nieba,
Ona jest słońcem tej włości,

Lecz twe wdzięki Wiosno miła,
Mej lubej wzruszyć niemogą!
Ah! gdyś lody zwyciężyła,
Zwycięż jej oziębłość srogą.

Pieśń Letnia.

Słońce roziskrzone wschodzi,
I ogień sieje w przestrzeni,
Zefir powietrza nie chłodzi,
A woda w parę się mieni.

Tam z rozpalonego piasku,
Tysiąc się iskier dobywa,
A ptaszek úkryty w lasku,
Pod zwiędłym liściem spoczywa.

Tylko żniwiarz pracowity,
Chociaż mu słońce dogrzewa,
Wiąże w snopy kłos obfity,
A konik polny mu śpiewa.

Pasterka idzie w chłód miły,
Kochanek jej towarzyszy,
Winem pokrzepia swe siły,
Pies wierny u nóg mu dyszy.

Ale gdy wieczorne chłody,
Obudzą słowika pienie,
Pasterka nad brzegiem wody,
Porzuca lekkie odzienie.

Tajną radością przejęta,
Dziwi się swojej urodzie,
Lecz wnet w obawie natręta,
Czem prędzej nurza się w wodzie.

Pieśń Jesienna.

Niepróżnujcie robotnicy,
Odpoczywaliście dosyć,
Trzeba spieszyć do winnicy,
Trzeba duże kosze znosić.

Ten, niech grona tnie żelazem,
W kosze niech je kładzie inny,
Tamten, wyciśnie sok winny,
A wszyscy śpiewajcie razem:

„Ten sok co teraz ciśniemy,
„W beczce przemieni się w wino,
„Wieczorem pić je będziemy,
„A wnet nas troski ominą.„

Teraz spieszcie do kasztanow,
Trzeba je z łupin wykruszyć,
Ten płód Delfinatu łanów,
Pilnie musiem w chatach suszyć.

Dziś jeszcze pamiętać trzeba,
Oliwki zanieść do prasy,
By mieć obfite zapasy,
Wina, oliwy i chleba.

Bierzcie przykład z mądrej mrówki,
Jak uprzedzać niedostatek.
Jak ona w swoje kryjówki,
Znoście owoce do chatek.

Pieśń Zimowa.

Minęła Jesień obfita,
Zima, lodowatym wozem,
Mgłą nieprzejrzaną okryta,
Zbliża się z śniegiem i mrozem.

Wodę skorupa powleka,
Śron z drzew połyska jak kwiaty,
A jak lilje, śnieg zdaleka
Bieli się na dachu chaty.

Pasterze na lód wychodzą,
Walczyć śnieżnemi gałkami,
Śmieją się, czy drugich godzą,
Czyli rażeni są sami.

Gdy uschnie winna łodyga,
A jej sok w beczkach schowany,
Płomień z niej mile się miga,
I słodkie piecze kasztany.

Zimo! pospieszaj w twym biegu,
Niech srogie wichry zawyją,
Niech upadną góry śniegu,
Niech chmury niebo okryją,

Niech, kiedy składam te rymy,
Palce mi mrozem zdrętwieją,
Zapomniemy srogość zimy,
Skoro Zefiry powieją.

Z tegoż samego wieku jest Pieśń Teobalda Króla Nawarry.

Gdyby zapomnieć te oczy,
I te lica hoże,
I ten wdzięk uroczy,
Zdrów by ja był może.

Ale to próżne marzenie!
Któżby to był w stanie,
Widzieć jej pojrzenie,
I zapomnieć na nie.

Jakby zapomnieć te oczy,
Te anielską postać,
Ten jej wdzięk uroczy,
Lepiej chorym zostać.

Szczęśliwe to były czasy kiedy królowie tak pisali. Tkliwa prostota która całą tę piosnkę ożywia, jakże pocieszającą była dla ludu!

Pisząc o Francuzkich pieśniach, Trubadurów pominąć niemogę. Trubadurowie są to Poeci Prowanccy. Nazwisko ich wyprowadzają od słowa trouver wynaleść, wtenczas albowiem mniemano, że pierwszym obowiązkiem Poety, jest wynajdować, to jest popisywać się z własnemi myślami, i nieudawać cudzego za swoje. Widziemy że z czasem wyobrażenia się zmieniają. Sławny Nostradamus procz innych swoich zalet, jest najobszerniejszym historykiem Trubadurów. Wylicza ich imiona, rozbiera dzieła, i zastanawia się nad gatunkami poezji w której celowali. Epoki powstania tych Poetów z pewnością oznaczyć niemożna. Kwitnęli oni lat prawie dwieście pięćdziesiąt, to jest od roku

1130 do 1380. Pisali sielanki, pieśni, satyry, do czego mieli wiele gustu, ale osobliwie poemata zwane Syrventes w których mięszali pochwałę z naganą, i sławili zwycięztwa Xiążąt Chrześcjańskich odniesione po za morżami. W końcu wieku XI. Trubadur był jeszcze bardzo rzadkiem zjawiskiem. Miecz w jednej ręce, lirę niosąc w drugiej, przebiegał krainy południowe, szukał pięknych czynów i sławił je. Wszędzie mile przyjmowany, najpożądańszy gość na każdej biesiadzie, wzbudził wkrótce w większej liczbie chęć do tak swobodnego życia; wkrótce stan Trubadura został sposobem do życia. Z mnogiemi familjami chodzili po kraju poeci, włóczęgą przynajmniej swoją do Greków podobni, a przykładem ojców cała rodzina zagrzana, źle lub dobrze kleiła rymy.

Niedość na tem. Trubadurowie rymując już nie z natchnienia, lecz z potrzeby, nie wszyscy byli w stanie śpiewać co ułożyli, musieli więc prowadzić z sobą śpiewaków zwanych Ministrels. Dla większej przyjemności słuchaczów, do nowych słów starano się o muzykę nową; z tąd potrzeba kompozytorów, którzy równo z Trubadurami szanowani byli. W tym czasie, Trubadur wybierający się w podróż, dość był podobny do teraźniejszego Dyrektora Komedjantów podróżnych. Prócz familji,

wiódł z sobą śpiewaków, i muzykantów zwanych Jongleurs. Przybycie ich do zamków możnych Panów, zawsze było pożądane, już że duch czasu ich wspierał, już że umieli pieśni swoje zręcznie krasić pochwałami, do których możni Panowie przez tyle wieków tenże sam gust zachowali.

Lubo Trubadurowie istotnie żyli z swoich pieśni, poszanowanie jednak którego wszędy doznawali, nie pozwalało im otwarcie przyjmować pieniężnej nagrody. Lubili jednakże brać, a słowo Honorarium niebyło jeszcze znajome; publicznie więc na dworach Królowych i Xiężnych, dawano im broń, konie, tajemnie złoto; wogóle do wszelkiego rodzaju tajemnych nagród mieli szczęście. Imie Trubadura tak było zaszczytnem w XIII. i XIV. wieku, iż w ich poczecie widziemy wpisanych Cesarza Fryderyka I. Króla Angielskiego, Ryszarda I. jednego Króla Aragońskiego, wielu Xiążąt i Hrabiów. W istocie Trubadurowie znacznie się zasłużyli Poezji Francuzkiej. Ugładzili mowę Prowancką, zaprowadzili rym na końcu wiersza, wynaleźli formy Sonetów i krótszych ulotnych Poezji Z nich najwięcej czerpali Poeci Włoscy jako to: Dante, Petrarcha. Na dowód przytaczam Sonet Trubadura Jordi:

O! złe i dobre które w sercu noszę,
Którego pragnę a zyskać się boję,
Zyciem twe bóle, a śmiercią roskosze,
Gdyś ty nie miłość, jakież imie twoje?

Jeśliś ty dobre, czemu tyle znoszę,
Gdyś złe, czemu cię lubi serce moje,
Roskoszne bóle, bolesne roskosze,
Jeśliś nie miłość, jakież imie twoje?

Czemu bez winy jestem niespokojny,
Niemam pokoju nieprowadząc wojny,
Chcę serca innych, nienawidząc swoje?

Świat chciałbym ująć dłońmi bezsilnemi,
Wzbijam się w niebo, a martwy na ziemi,
Gdyś ty nie miłość, jakież imie twoje?

Petrarcha w Sonecie swoim o miłości, nietylko naśladował, ale można powiedzieć, że prosto tłumaczył te wiersze. Pieśni Trubadurów jako dla ludu pisane, stały się też prawdziwemi pieśniami ludu, powtarzano je, uczono ich się na pamięć, a choć przy końcu wieku XIV. znikczemnienie tych Poetów sprowadziło za sobą ich upadek, długo jednakże żyli w ustach narodu. Jeszcze dotąd przebiegając ich rymy, łatwo spostrzedz można jak wielki mieli wpływ na duch, a osobliwie zewnętrzne

formy pieśni Francuzkich, i z tego powodu przydłużej nieco o nich namienić musiałem.

Nim przytoczę kilka nowszych pieśni, niemogę z pomiędzy dawniejszych pominąć jednej, którą jeszcze za Henryka IV. po wsiąch śpiewano, a której naturalność Moljer za przykład napuszonym miejskim poetom przywiódł. Prostota przynajmniej niezaprzeczoną jest jej zaletą:

Gdyby Król dawał w zamianie,
Paryż wielkie miasto swoje,
A chciał wziąść kochankę moję,
Rzekłbym: o Królu, o Panie,
Miej ty sobie miasto twoje,
Mnie kochanka niech zostanie.

Niemasz Francuza, któryby nieumiał pieśni o pięknym D u n o a. Dla zachowania miary muzycznej w tłómaczeniu Polskiem i dla zbliżenia się do ostatnich zwrotów Francuzkich, musieliśmy przyjąć rym jednozgłoskowy. Sama trudność przekładu będzie wymówką jego niedokładności.

Jadąc na bój krzyżowy
Dúnoa młody i śmiały,
Błagał Nieba Królowy,
O wawrzyny chwały:

W opiece najpotężniejszej
Mario chciej mnie mieć
Daj mi miłość najpiękniejszej,
Daj, najmężniejszym być.

Jeszcze na twardej skale,
Wyrył przysięgę świętą,
I wierny swojej chwale,
Szedł w podróż przedsięwziętą,
A w chwili najstraszniejszej,
Gdy miano boje wieść,
Rzekł: Miłość najpiękniejszej,
Najmężniejszemu cześć.

Przemaga jego męztwo,
Wódz rzekł: Dzielny młodzieńcze,
Tobiem winien zwycięstwo,
Szczęściem dni twe uwieńczę,
Nagrodę najświetniejszą,
W córce dla ciebie mam,
Ją, jako najpiękniejszą,
Najmężniejszemu dam.

Wkrótce wiecznemi sluby,
U Marii ółtarzy,
Zawarli związek luby,
Co stałem szczęściem darzy.
Lud, parze najgodniejszej
Szedł winne hołdy nieść,

Bo, miłość najpiękniejszej,
Najmężniejszemu cześć.

Onowszych pieśniach trudno dać jakiegokolwiek wyobrażenia. Któż albowiem przeczyta, kto usłyszy te wszystkie śpiewy, które codziennie po biesiadach, Teatrach i Dziennikach Francuzkich tworzą się i giną, nierachując dorocznych Almanachów? Jeżeli nic nowego niemasz pod słońcem, pod ilukrotnemi postaciami przetworzyć się we Francji musiało to wszystko, co tylko w pieśni powiedzieć można. Mimo trudności wyboru, żeby jednak w tak wielkiej obfitości niezgrzeszyć niedostatkiem, przyłączam dwa przykłady:

Amorek.

Amor niegodne dziecko,
Zawsze mi matka powiada,
Gdy się uśmiechnie zdradziecko,
Tak jak osa ranę zada.

Co też to za dziecie,
Jakie to złe serce,
Zeby chciało przecie,
Tak szkodzić pasterce!

Piękny Filon często siadał,
W ogródku obok Glicery,
Wiem ja co jej cicho gadał,
A on tak dobry i szczery.

Chwalił Kupidynka,
Co pustoty broi;
Tego się to synka,
Pewno matka boi.
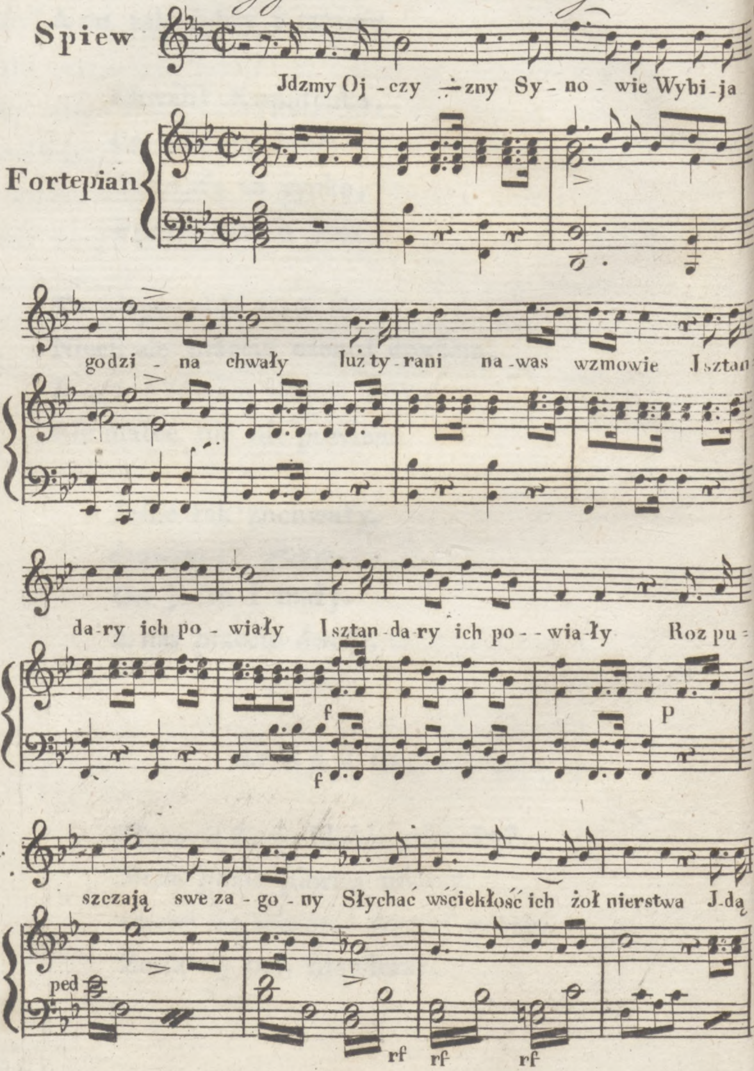
Ta niepewność trapi duszę,
Niech się przecie czegoś dowiem,
Ja go z Józiem szukać muszę,
Ale matce nic nie powiem.

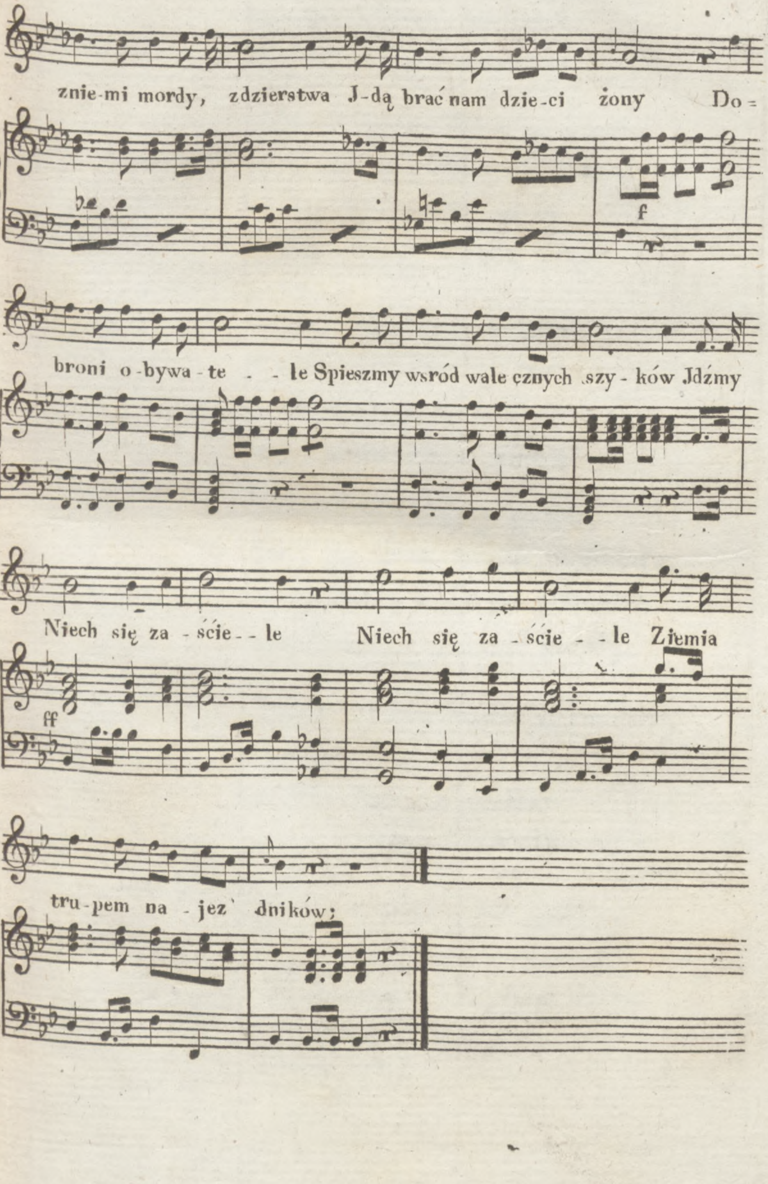
Jeślić tak zuchwały,
Stawim się oboje,
On jeden i mały.
A nas przecie dwoje.

Burza.

Słyszysz Zosiu bliskie grzmoty?
Może gdzie piorun uderzy,
Chciej się schronić do tej groty,
Zosia się boi, niewierzy.

Marsz Marsylczyków
do Tygodnika Polskiego.





znie-mi mordy, zdzierstwa J-dą brać nam dzie-ci żony Do=
broni o-bywa-te - - le Spieszmy wsród wale cznych szy-ków Idźmy
Niech się za-ście- - le Niech się za-ście- - le Ziemia
tru-pem na-jez dników;
ff

Jakże biédne młode serce,
Gdy się z obawą powierza?
Smutno lękliwej pasterce,
Bać się burzy i pasterza.

Gdy się waha, już tym czasem,
Chmura nad głową się wznosi,
Iść się lęka za Likasem;
Co tu począć młodej Zosi?

Zosia bieży, znowu stawa,
I podwójną trwogę czuje,
Jednym stąpieniem obawa,
A drugiém miłość kieruje.

Stanęła nieco przy grocie,
Drży jej serce, wzrok nieśmiały,
Aż grżmoty bijąc po grżmocie,
Gwałtem się schronić kazały.

Znika zwolna odgłos grżmotów,
Burzy można się ochronić,
Ale od Amorka grotów,
Kto się kiedy mógł uchronić?

Podczas gromów na obłoku,
Czujny Bożek w każdej chwili,
Sledzi lubych w każdym kroku,
Strzéla cicho i niemyli.

2.

Zosia z uchrony wychodzi,
Zakrywa lica różowe,
Jużci się niebo pogodzi,
Lecz w jej sercu burze nowe.

W ogóle powiedzieć można, że w pieśniach Francuzkich zaletą najwięcej cenioną jest dowcip. Mniej tam znajdziemy tkliwej prostoty, jerzcze mniej głębokiego wewnętrznego uczucia, które jest charakterem Poezji Niemieckiej. Francuzi szczęśliwi zewnętrznie, przestają na tem co jest, a wszystko cokolwiek chce się wyłączyć z pod form ogólnych, okrywają śmiesznością, śmiesznością uważaną w tym narodzie za największe nieszczęście sroższe może od hańby. Dla czego śmiech dar ten miły, i z wszystkich zwierząt samemn człowiekowi właściwy, tak straszne czyni wrażenie na wesołym Francuzie, łatwo odgadnąć, zastanowiwszy się nad harakterem, tego ludu. Jest prędkim, a śmieszność najprędzej działa, chce być uważanym, chce się popisywać z dowcipem, śmieszność uderza właśnie w tę słabość, i pozbawia go zalety, do któréj się wszyscy dobijają, bo może być wszystkich udziałem. Z tąd łatwo pojąć, czemu swojego czasu tak strasznym był dowcipny Pirron, czemu sam Wolter drżał usłyszawszy najmniejszy żarcik przeciwko najlepszym

sztukom swoim wymierzony. Ten duch narodowy koniecznie działać musi na duch języka, z tąd po większej części dowcip został najwyższą zaletą w Poezji, z tąd gładkie Epigrammata Francuzkie, pozostaną na zawsze wzorami tego rodzaju.

Pozostaje mi jeszcze wspomnieć o pieśniach politycznych niemniej licznych od wszelkich innych, lecz między któremi mając wybierać, namyślać się nie można. Himn Marsylczyków musi otrzymać pierwszeństwo. Umieszczam go w tem miejscu wraz z muzyką oryginalną.

Himn Marsylczyków.

Idźmy Ojczyzny synowie,
Wybija godzina chwały,
Już tyrani na nas w zmowie,
Już sztandary ich powiały.
Rospuszczają swe zagony,
Słychać wściekłość ich żołnierstwa,
Idą; z niemi mordy, zdzierstwa,
Idą brać nam dzieci, żony.
Do broni Obywatele!
Idźmy wśród walecznych szyków!
Idźmy, niechaj się zaściele
Ziemia, trupem najezdników.

Czegóż niewolnicy chcecie,
I ty zdrajców podła zgrajo,
Czyż ci, których jarzmo gniecie,
Nam dać jarzmo przybywają.
Zniesiemyż tę hańbę wolni!
Klękać przed niewolnikami?
Czyż my bylibyśmy zdolni,
Żyć i brzękać kajdanami?
Do broni Obywatele!
Idźmy wśród walecznych szyków,
Idźmy, niechaj się zaściele
Ziemia, trupem najezdników.

Jak to! podłe najemniki
Prawaby u nas dawały?
Naszych mężów, niewolniki
Przemócby kiedy zdołały?
Nasze głowy, o sromoto!
Pod jarzmoby się poddały?
Jak to! przed pódłym despotą,
Kolanaby się zginały?
Do broni Obywatele! i t d.

Zadrżyjcie dusze przedajne!
Od przodków waszych odrodni,
Drżyjcie! wasze spiski tajne
Wezmą karę godną zbrodni.

Wszysy będziem żołnierzami.
Gdy padną nasi rycerze,
Tysiące nowych się zbierze,
Gotowych do walki z wami.
Do broni Obywatele it. d.

Miłości ojczystej ziemi,
Kieruj mścicieli żelazem!
Luba swobodo, ty razem
Walcz, z obrońcami twojemi,
Niech przyjdzie na głos twój mężki,
Zwycięztwo cię kochającc,
Niechaj wrogi konające,
Widzą nasz tryjumf, swe klęski.
Do broni Obywatele, it. d.

Całe pułki spiéwały ten himn i przyklękały na święte imie wolności; dzieci nuciły te słowa:

W pole sławy pójdziem społy,
Gdy już legną starszych roty,
Tam znajdziemy ich popioły,
Tam znajdziemy ślad ich cnoty.
A nie skąpi życia chwili,
Ich zgonem zechcemy słynąć,
Pójdziemy gdzie oni byli,
Żemścić się za nich, lub zginąć.

Autorem tego Himnu ma być de Lille, lecz nie ów sławny Poeta Gieorgik. Moc liryczna utrzymująca się w całym ciągu i nigdy nieskażona napuszystością, jest wielką zaletą tej ody, któraby już sama przez się zasługiwała na wieczną pamięć, choćby się z nią niełączyło tyle wspomnień chwalebnych dla Francji. Wojska całe przy odgłosie tej pieśni narodowej, biegły na coraz nowe zwycięztwa, a zapał z jakim ją powtarzał każdy Francuz, jeszcze w sercach nieostygł. Myśl do tej pieśni, a osobliwie do ostatniej strofy którą dzieci nóciły, zdaje się być wziętą z owych sławnych rymów przy ucztach w Lacedemonie śpiéwanych. Umieszc[illegible] porównania:

Starcy.

Kiedy pozwalał wiek młody,
Daliśmy męztwa dowody.

Mężowie.

Dzisiaj z nas każdy jest mężem,
Co umie władać orężem,

Dzieci.

My jak wzrośniem na tej ziemi,
Będziemy od was lepszemi.

Jak proste te wyrazy, ale jak mocne razem; czyliżby kto niegodny śmiał się z niemi odezwać w obliczu zgromadzonego narodu?

Zbierając w krótkości rzecz tak obszerną jaką z natury swojej są pieśni Francuzkie, niepochlebiałem sobie wcale ażebym mógł dać choć najmniejsze wyobrażenie jak bogatemi są w tym względzie Francuzi, chciałem dać poznać ducha ich pieśni, który przez porównanie najłatwiej się pojmuje, a to tym bardziej, kiedy przykłady pierwiastkowej Poezji z późniejszą, w jednym stają obrazie.

Epigrammata

Antoniego Pełki.

Jaśnie oświecony.

Gwiazd ma jak na firmamencie,
To mi Jaśnie oświecony,
W intrygach kraju, w zamęcie,
Wart być Jaśnie wyświecony.

Na Dworaków.

Można przyrównać dworaki,
Z wygładzonemi marmury,
Zawsze w uich przymiot jednaki,
Zimni i twardzi z natury.

Prawda i Dym.

Co do własności, prawda z dymem się jednoczy,
Czysta prawda, dym gruby, zawsze gryzą oczy.

SZARADA.

Moje pierwsze w liter rzędzie,
Bez drugiego się żadne państwo nieobędzie.
Wszystko bardzo jest w swojej szacowne naturze
Lecz biada gdy podobne Ezopa lwiej skórze.

Słowo Logogryfu w przeszłym Numerze umieszczonego, jest: *KONSTYTUCJA.* W niej jest: *Tytus*, *Jan*, *sto*, *co*, *cnota*, *Sycjon*, *Tycjan*, *okna*, *San*, *tak*, *takt*, *ton*, *syk*, *osa*, *sukno*, *nota*, *kos*, *kot*, *Kat*, *akt*, *usta*, *syn*, *nos*, *Kanty*, *stynka*, *kosa*, *tany*, *sny*, *nuta*, *Junta*.

O POGRZEBACH i CMENTARZACH.

Człowiek jest szlachetnem stworzeniem, pyszny nad grobem, świetny w samym popiele; obchodzi dni urodzenia i śmierci z równym przepychem, i nieumie odstąpić od zwyczajowych uroczystości. Niektórzy uczeni prawnicy, wyprowadzają powinność grzebania umarłych z prawa narodów, inni z przyrodzonego natchnienia, co i zwierzętom niema być obcem. Kto wierzy w starą bajkę o Fenixie, znajdzie w niej dowód palenia zwierząt; lecz pominąwszy ją, wiarogodni badacze natury znajdują przykłady chowania ciał, u słoniów, żurawi, mrówek, u pszczół nawet, które wyrzucając nieboszczyków z ulu, odbywają jeżeli nie pogrzeby, to przynajmniej exekwje. Doktór Vanderhemp w rozprawach o towarzystwie Missyjnem opowiada, że jeden z jego znajomych ubiwszy słonia, przyszedł nazajutrz dla dobycia kosztownego zęba, lecz jakże się zdzi-

wił, gdy znalazł blisko dwudziestu tych potężnych zwierząt, trąbami podnoszących nieżywego. Że słonie grzebią się wzajemnie, mniemanie to potwierdza jeszcze ta okoliczność, że nigdzie ich kości znaleść niemożna.

Uszanowanie dla grobów zdaje się w ludziach wrodzonem uczuciem, a z pomiędzy dzikich narodów, jedni tylko Kafrowie opuszczaią swoich umarłych; wszelkie inne chociażby najsroższe hordy, mają mniej więcej uroczyste pogrzebowe obrzędy. U Kafrów pochowanie jest wyłącznym przywilejem Króla, inne ciała porzucają dzikim zwierzętom, jednakże nieczynią tego z wzgardy ku umarłym, lecz z przesądu, iż największe nieszczęścia grożą temu domowi w którym człowiek umiera. Niemoże przeto być obchodów śmiertelnych, tam, gdzie niemasz naturalnej śmierci; konających wyrzucają na pożarcie hienom, i tylko zgon niespodziewany może wybawić od tak okropnego losu. Z tego powodu, nietrzeba uważać Kafrów za pozbawionych tego tkliwego i przejmującego uczucia które wzbudzają w człowieku szczątki krewnego, przyjaciela. Nieodkryto jeszcze dzikszego ludu nad mieszkańców nowej Hollandji, jednakże i u nich widziano szkielety zachowane w pniach wydrążonych, a czaszki i kości różnemi farbami zdobione. Ta staranność o umarłych

tak jest powszechną, że lubo mięszkańcy brzegów nadmorskich, topiąc ciała, najłatwiej by się mogli ich pozbywać, nigdzie jednak niemasz tego zwyczaju, któryby się zdawał gwałcić spoczynek zmarłym przynależny.

Machometanie pokazują grób Ewy przy Idda, a w Rzymskich legiendach znajduje się dziwna powieść, że Noe kości Adama zabrał z sobą do Arki, a po ustąpieniu wód, pochował na górze Kalwarji w tem samem miejscu, gdzie krzyż został postawiony. Pewną jest rzeczą że grzebanie ciał było najdawniejszym zwyczajem, a pierwszym zapewne zbytkiem kucie grobu w skałach. W oddawaniu czci ostatniej, u niektórych ludów starano się o przyspieszenie zniszczenia ciała, u innych o zapobieżenie zniszczeniu. Zwyczaj grzebania lub palenia, wyprowadzają z Teo ji dawnych Filozofów. Kto z Heraklitem utrzymywał że wszystko z ognia powstaje, był także zdania, iż ciało ogniem pożyte być powinno, kto z Talesem za pierwszy żywioł miał ziemię, matce ziemi oddawał ciało. Egipcjanie i Persowie brzydzili się paleniem, Cycero uważał pogrzebanie za najdawniejszy sposób oddania zmarłym winnej posługi, i odwoływał się na przykład Cyrusa, o którym Xenofon pisze, że był pochowanym, Palenie ciał

ustało i w tych krajach, w których było w powszechnym zwyczaju, już to z powodu kosztów, gdy przy pomnożeniu ludności drzewa ubyło, już też, że u pierwszych Chrześcjan pogrzebanie zdawało się zgodniejszem z nauką o zmartwychwstaniu, niżeli palenie. Jednakże ostatni sposób trwał aż do piątego wieku, i dopiero przez Teodozjusza młodszego zniesionym został. Podług Missjonarza Ward który w Indjach miał sposobność dojścia prawdy, potrzeba do spalenia jednego ciała ludzkiego przynajmniej trzech centnarów drzewa. Już to samo przechodzi możność ubogich, i przekonywa, że tak kosztowny zwyczaj nigdzie niemógł być powszechnym. Wznowił go w najpóźniejszych czasach Henryk Laurens pierwszy Prezydent zjednoczonych Stanów Ameryki. Rozporządził w swej ostatniej woli, ażeby ciało jego spalono i dopełnienie tego życzenia dzieciom pod błogosławieństwem zalecił. Do tego kroku przywiodły go wyobrażenia o czyszczącej sile ognia, które niedostatecznemi wyjątkami z Biblji chciał popierać, i obawa, ażeby żywcem pogrzebanym niebył; miał albowiem to doświadczenie, iż jedno z jego dzieci osądzone już za umarłe, wpuszczeniem do izby świeżego powietrza ocuconem zostało.

Dzikie ludy, nieznające palenia ciał, zachowu-

ją z religijną starannością kości przyjaciół. Niektóre pokolenia z nad Oroonoko, wiążą umarłych liną do drzewa stojącego przy rzece, i w wodzie ich zanurzają. W przeciągu dwudziestu czterech godzin, ryby objadają ciało, i zostawują czysty szkielet. Tapurgowie trą kości na proch, i mięszają go z pożywienem. Pokolenia Moxo mają podobny zwyczaj, rozczyniają taki proch z ciastem, a poczęstowanie tym familijnym chlebem, oznacza największy dowód przyjaźni.

Egipcjanie w postępowaniu z ciałami umarłych, różnili się zupełnie od Indjan. Indjanie uważali ciało za ciężar nieśmiertelnej części natury ludzkiej, za łupinę którą duch skruszyć musiał, nim się podniósł do przeznaczenia swojego. Egipcjanie mniemali przeciwnie, że po wymierzonym lat obiegu, dusza powróci i ożywi cielesne swoje mięszkanie. Ztąd pierwsi palili ciała, drudzy starali się najtroskliwiej o ich zachowanie, chociaż nieraz zastanawiać się musieli, co nieśmiertelny mięszkaniec za powrotem swoim pocznie bez mózgu i wnętrzności, które przy balsamowaniu mumji wyrzucali.

Najdzikszy sposób zachowywania umarłych widziano w Kongo. Jeden z tamtejszych mięszkańców przyszedł do Kapitana Tukey z prośbą o

sztukę sukna dla obwinięcia matki swojej, która od siedmiu lat umarła, i wkrótce miała być pochowaną bo już dochodziła objętości przyzwoitej. U tego narodu zwyczaj jest obwijać umarłych w niezliczone sztuki rozmaitych płócien i sukien. Takowe obwijanie jest w stosunku do znaczenia umarłego, i póty pomnażać się zwykło, poki familja składać się chce na nie. U majętnych ludzi zawsze prawie dom bywa za niski dla pomieszczenia umarłego, tak, że nieraz trzy, cztery, aż do sześciu dachów, jeden na drugim stawiać muszą. Podobny sposób znaleźli Hiszpanie w prowincji Papajan, z tą różnicą, że pierwej ciało.przy ogniu suszono. U Karaibów panuje zwyczaj bardziej odrażający. Skoro który z Wodzów umiera, żony jego strzedz go muszą przez dni trzydzieści, i opędzać roje much nieznośnym zapachem przynęconych. Po upływie tego czasu, chowają ciało wraz z jedną żoną którą mu wybiorą za towarzyszkę. Powszechne u Indjan prawidło chowania umarłych z znacznemi zapasami potrzeb do życia, dało powód Piotrowi de Cinza do osobliwszej uwagi: „iż czart uwodzi te ludy obietnicą życia w innym kraju, i wystawia im potrzebę żywności na drogę, jakby to -- dodaje poczciwy Hiszpan -- tak daleka była droga do piekła." W Peru nieprzykrywano umarłych

ziemią, lecz stawiano w wieżach, jednakże podług pewniejszych doniesień, wieże te miały być prywatnemi a nie publicznemi grobami. Mówią o dawnych Frygijczykach, iż gdy Kapłan im umarł stawiano ciało na wysokiej kolumnie, ażeby z niej do ludu mówił.

Żydzi mają także dziwaczne wyobrażenia o umarłych. Wprawdzie są teraz tak przekonani o zmartwychwstaniu, iż cmentarz zowią domem życia, jednakże podług ich mniemania, jest w ciele jakaś część wolna od zniszczenia, która się stanie zarodem nowego ciała. Część ta wieczna, ma w postaci migdała zakończać kość pacierzową, a podług nauki Rabinów, siła ludzka skruszyć jej niemoże, ogień niespali, woda nierozpuści. Na poparcie tego powiadają: że Rabin Jozue Ben Chauma stawił się przed Cesarzem Adrjanem, i okazał mu tę część zarodową przyszłego życia. Natychmiast włożono ją pomiędzy dwa młyńskie kamienie, i została w całości, daremne były próby ognia i wody, nareszcie gdy ją wzięto na największe kowadło, młot i kowadło prysnęło, a kość niebyła naruszoną. Na tę kość upadnie rosa przed zmartwychwstaniem, i z nasienia śmierci wyprowadzi życie. W tem zapewne przekonaniu żydzi za Papieża Urbana VIII. gdy dla założenia twierdzy zniszczono

im cmentarz w Rzymie, starannie zbierali kości krewnych swoich, i za każdą drogo robotnikom płacili.

Drugiem dziwacznem mniemaniem żydów, jest: iż gdziekolwiek ciała ich są chowane, zmartwychwstanie dziać się tylko będzie w kraju obiecanym, i że przeto wszyscy w innych miejscach pogrzebani, pod ziemią do Palestyny wędrować muszą. Z tąd niektórzy rozporządzają, ażeby ciała ich jak najbliżej ku dawnej ojczyznie odesłano, tak dalece, iż nieraz z tego powodu pomiędzy innemi towarami, kości krewnych z sobą wywożą. Inni na groby swoje ziemię z Jerozolimy sprowadzają. Taki postępek może być natchniony miłością ojczyzny a nie zabobonem, lecz jakże zabobonnymi musieli być Włosi w dawniejszych czasach, co z tegóż kraju na całe cmentarze ziemię zwozili.

Persowie są przekonani, że gdy prawdziwy Muzułman pomiędzy niewiernemi umiera, Anioł grobu niedozwoli ciału jego w tak złem towarzystwie pozostać i przenosi je do kraju wiernych. Zabobon ten mniej jest szkodliwy od niektórych zabobonów Europejskich. Tak naprzykład opowiadają, iż Pani Hamilton odmówiono we Francji, nietylko grobu ale nawet trumny i pochowano ją w worku, aż dopiero podróżny jeden Anglik, obu-

rzony tak dzikim fanatyzmem, przyzwoitszą jej ciału oddał posługę. Podobna nieludzkość w Szwajcarji, stała się przyczyną dobra, a przynajmniej zapobiegła złemu. W całym tym kraju najpiękniejszem miejscem jest dolina Lungern z małem jeziorem we środku. Góry na około tworzą pewien rodzaj amfiteatru i wznoszą się trzema piętrami jedne na drugich. Niemasz w Europie równego widoku, jednakże mięszkańcy postanowili cały wdzięk okolicy wysuszeniem jeziora odrazu zniszczyć. Sprowadzili Niemieckiego Jeometrę, który z całą familją przybył, i wzięto się do pracy. Tymczasem żona Jeometry umarła, a lud przesądny niepozwolił jej chować z przyzwoitemi uroczystościami, bo była wyznania protestanckiego. Sprawiedliwie oburzony małżonek niechciał kończyć dzieła, a jezioro utrzymuje się dotychczas. W Historji Angielskiej znajdują się częste przykłady tak nieludzkiego zabobonu; nieraz tamtejsi Biskupi targali się nawet na ciała Królów.

Wiele niegdyś rozprawiano o władzy zaprzeczania grobu umarłym. Jeden z piszących w tym przedmiocie Vigerius, tym sposobem popierał swe zdanie: „Władza kościoła rozciąga się na tym świecie, umarli są już na tamtym, ale gdy ich ciała pod władzą kościoła pozostały, przeto natu-

ralnie od niej zależą, i na dowód przytaczał Śgo Gotarda, który pewnego dnia rozkazał wszystkim wyklętym pochowanym w kościele, ustąpić z niego, i natychmiast ustąpili w obliczu całego ludu.

W dawniejszych wiekach niebrakowało na podobnych podaniach. Dla opieki, której się spodziewano od poświęconej ziemi i ochrzczonych dzwonów, chowano naprzód ciała około kościołów, póżniej pod zewnętrznym murem, a nareszcie za znaczną opłatą w samych kościołach. Rozsądni ludzie znali szkodliwość tego zwyczaju, a Biskup Angielski Switym, dla dania dobrego przykładu, zakazał ciała swojego chować w kościele. U nas długo trwał przesąd, że tylko z kościelnej ziemi do Nieba dostać się można, tak dalece, że świątynie Pańskie, stawały się raczej przybytkami dla umarłych niż dla żywych.

Ludzkie i szanowne uczucie, przywięzuje stopień świętości do miejsca gdzie podobna nam istota ma wieczny spoczynek. Cmentarze na wyspach Tonga tak były poważane, że nawet śmiertelni nieprzyjaciele spotkawszy się na tych miejscach, dłonie sobie podawali. U Partydów ta ziemia jest świętą gdzie leży umarły, bez różnicy czy był wolnym, czy niewolnikiem, bo śmierć niszczy wszelkie

różnice, które los postanowił; tylko ciało zbrodniarza lub zdrajcy pozbawione jest tego zaszczytu. Kto pozwala na gruncie swoim umarłego pochować, traci jego własność, grunt ten jako poświęcony, natychmiast do kościoła odpada. Podobna zapewne tradycja stała się w Anglji powodem mniemania między ludem upowszechnionego, że droga którą ciało prowadzą, staje się natychmiast publiczną.

Zemsta, chciwość, i ciekawość, były nieraz powodem gwałcenia grobów. Między dzikiemi ludami, zwalenie grobów i wydobycie z nich ciała uważane jest za największą ohydę. Sami nawet mięszkańcy wysp Tonga, mimo całego uszanowania dla umarłych, nieraz dobywają ciał nieprzyjaciół swoich. Tak oburzająca wściekłość, niejest znaną pomiędzy narodami bardziej okrzesanemi, lecz ani dowodzić potrzeba, jak często w naszych wiekach chciwość targa się na przybytek śmierci. Tak jeszcze za czasów Cezara gdy Rzymianie zaczęli podnosić miasto Korynt, metalowe i gliniane naczynia wynalezione w grobach przypadkiem otwartych, stały się powodem, że chciwi żołnierze nie przepuścili żadnej mogile, a wkrótce cały Rzym napełniony był takiemi naczyniami które się stały towarem pod nazwiskiem: N e k r o k o r y n t j a.

i zdobywcy Ameryki najbogatsze łupy wydobywali z przybytków śmierci.

W narodach okrzesanych rzadki wprawdzie jest przykład znieważenia grobów, jednakże okropne postanowienie Konwencji narodowej, podczas Rewolucji Francuzkiej w roku 1793. nakazujące zniszczyć wszelkie groby i pomniki Królów Francuzkich, stało się ohydą wieku. Oprócz Monarchów, naruszono popioły sławniejszych mężów spoczywających w kościele świętego Dionizjusza, a ołowiane trumny obrócono na użytek Rzeczypospolitej.

Bliższe okoliczności tego postępku, godne są pamięci. W pierwszem sklepieniu które otwarto, spoczywał Turenne. Ciało jego było twarde i czarne jak mumja, rysy twarzy odpowiadały zwyczajnym portretom tego znakomitego Jenerała. Na jego widok, powstało powszechne w ludu uniesienie, suknie jego rozrywano za relikwje, jednakże ciało zostawiono w ręku grabarza, który je za pieniądze pokazywał. Dopiero na wstawienie się Desfontaina, złożono je w ogrodzie botanicznym, później w muzeum pomników, a nareszcie w kościele Marsa.

W najbliższym grobie spoczywał Henryk IV. Rysy jego twarzy doskonale się zachowały, a głowa napełnioną była maścią aromatyczną. Jeden

z przytomnych żołnierzy uciął pałaszem kilka włosów z brody tego Króla, a przylepiwszy je sobie na wardze: „I ja także -- zawołał -- walczę za Ojczyznę! Odtąd niebędę nosił innych wąsów; z temi stanę się niezwyciężonym.” Mimo tego zapału, porzucono ciało na ziemię, a szalona jakaś kobieta niemogąc Henrykowi darować że był Królem, ohydnie go zdeptała.

Ludwik XIV. doskonale był zachowany, lecz cały czarny. W trumnie Joanny żony Karola V. leżało złote wrzeciono z ułomkami korony. Ludwik VIII. cały był w skórę obszyty. Dagobert i Królowa Nantylda, spoczywają w jednej trumnie. Najwięcej trudności doświadczyli robotnicy w odkryciu grobu Franciszka I. Leżał on w sześciu ołowianych trumnach, opartych na sztabach żelaznych. Ciało tego Króla jako i wszystkich innych było w stanie zupełnego zepsucia, a pomimo palenia prochu i octu, zabijający zapach rozszerzył się po całej okolicy. Na cmentarzu założono wielki piec i w nim trumny ołowiane przetapiano na kule, a z drugiej strony w dół niegaszonym wapnem przesypany rzucano ciała królów. Jakże daremne są wszelkie usiłowania ludzi chcących walczyć z zniszczeniem! Pochowani w ziemi, przemieniają się w zioła i kwiaty, ich mogiła niema nic

odrażającego, a któż się niewzdrygnie jeżeli przypadkiem zajrzeć musi pod bogate pomniki w trumny metalowe? Tej śmiesznej próżności pośmiertnej, najosobliwsze przykłady znajdują się w Szwajcarji, gdzie nieraz na czaszce wyrobione są herby famillijne, a do wypisania złotemi literami imienia zmarłego, służy własne jego czoło.

Abazowie z pokolenia Czerkaskiego, używają naturalnego bardzo sposobu balsamowania swoich Bejów. Kładą ciało w drewnianą trumnę mającą w górze otwór, ażeby Bej na niebo mógł patrzeć, i na gałęziach ją zawieszają. Pszczoły, które podług ich zdania, umarłego Beja, mają za umarłego lwa, osiadają zaraz w trumnie, i balsamują ciało okrywając je miodem i woskiem. Za nadejściem zimy zdejmują trumnę, a wosk i miód zebrany, przedają. W Sarendis przy śmierci króla, straszny wystawiają przykład wielkości i upokorzenia. Ciało kładą na wóz tym sposobem, iż głowa na dół jest zwieszona, a włos w prochu się tarza. Przy tem, publiczny woźny obwołuje mocnym głosem: „O ludzie! patrzcie na waszego króla! Dawca śmierci wziął duszę jego do siebie, a potężny monarcha, upadł do tego stanu w którym go teraz widzicie. Nieprzywięzujcie się do niepewnych roskoszy życia!" To widowisko przez trzy dni się powtarza, czwar-

tego palą ciało z kamforą i szafranem, a proch rozrzucają na wiatry.

Turcy w pięknem utrzymaniu grobów służyćby powinni za przykład innym narodom. Mauzolea znakomitszych osób tak są urządzone, iż deszcz może padać na kwiaty około grobu rosnące, ale krata z drótów złotych wstrzymuje owady i ptaki. Powodem do tego zwyczaju stał się zapewne wypadek który Jerzy Weler opisał. „Widzieliśmy -- mówi on -- wśród najpiękniejszej ulicy Konstantynopola, pomnik z wierzchu tylko drócianą kratą osłoniony. Był to grób Machometa Cagriuli ojca teraźniejszego Wezyra, który podczas małoletnosci Cesarza państwem zawiadował. Po śmierci spalono jego ciało, i w grobie z białego marmuru pod ołowianym dachem pochowano. Jednej nocy Sułtanowi i Wezyrowi śniło się razem, że Kagriuli prosił ich o kroplę wody, gdyż leżał w nieznośnem gorącu. Zawołany na radę Mufty, rozkazał zrzucić dach z grobu, ażeby padający deszcz ochłodził duszę cierpiącego. Lud zaś który jęczał pod tyranją Kagriulego, mniemał że deszcz nieomyje zbrodni." Marokański tyran Mulej Izmael rozkazał trumnę swoję na łańcuchu pod dachem groboweego pomnika zawiesić. To jego postanowienie przypomina zwyczaj Kolchjan którzy

podług Apolonjusza Rodyjczyka, zmarłych w skóry wołowe obszytych, na łańcuchach wieszali.

U Pogan niewolno było chować w kościele nawet popiołów ludzkich. Po zaprowadzeniu religji Chrześcjańskiej, Teodozjusz ponowił dawny zakaz z rostropnego bardzo powodu, że groby w mieście, szkodliwy wpływ mają na zdrowie, a przeciwnie pomniki wystawiane przy drogach publicznych, są dla podróżnych pożyteczną rozrywką i nauką. Ale niedługo skutkowało jego postanowienie; zwyczaj teraźniejszy wcisnął się powoli, natchniony z początku bardzo szlachetnem uczuciem. Budowano kościoły na miejscach gdzie męczennicy cierpieli. Cesarzowie i Królowie wypraszali sobie później miejsce, lecz tylko w kruchcie. W szóstym Wieku wszyscy już chowali się na cmentarzach, a nawet pod murami kościoła. Za czasów Karola Wielkiego, przeszły groby do kościołów, a zwołany Synod naradzał się nad sposobami zapobieżenia temu nadużyciu. Stanęło prawo, mocą którego ciała złożone w kościołach niemiały być naruszane, lecz wszystkie groby kazano pokryć wysokim brukiem, tak żeby ich ani śladu niezostało. Jednak Duchowieństwo zachowało sobie wyłączne prawo spoczywania w kościołach, a przy końcu wieku IX. postanowienie Synodalne zupełnie zosta-

ło zniesione. Odtąd chowanie w kościołach ciągle trwało; w niektórych miejscach nieznają wcale cmentarzów, lecz gdy się kościół zapełni, składają ciała w wspólnym dóle. Zdarzyło mi się czytać w książeczce przed kilkudziesiąt lat wydanej zdarzenie stósowne do tego przedmiotu. Umieszczam je dla szczególności. Kościół dość znaczny na Litwie, zupełnie był grobami napełniony. Niezostało już miejsca ani na jednę trumnę. Tymczasem krewni świeżo zmarłej majętnej Pani, pragnęli ją tamże umieścić; przyrzeczono im tę łaskę. Przywieziono więc ciało, i podług zwyczaju pod dozorem Kościelnego postawiono na katafalku. Spokojność była do wieczora, ale przez noc całą słyszano naokoło świątyni Pańskiej okropny hałas. Ze świtem udali się mięszkańcy miasteczka, dla dojścia przyczyny tego nadzwyczajnego rozruchu, lecz jakże się zdziwili widząc katafalk zwalony, a całą posadzkę zarzuconą kościami i trumnami. Kościelny ukryty na chórze, następującą opowiedział im historją: „Około północy, -- słowa są jego -- zobaczywszy kosztowny pierścień na palcu pani leżącej na katafalku, chciałem go zdjąć, niemógłem, dobywam noża by urżnąć palec, ale w tej chwili porywa się zmarła i strasznym głosem woła: „Bracia potępieńcy przybądźcie na pomoc!” Natychmiast grób się otworzył,

wypadły tysiące szkieletów, ja z przestrachu uciekam na chór i zamykam się; niemogąc mnie dostać, biegną umarli, wynoszą z grobu trumny, kładą jedne na drugie, i już mnie porywają, szczęściem kur zapiał..." Wierzył temu kto chciał, ale tymczasem wszystkich których kości znaleziono na posadzce, razem z nowo umarłą jako potępieńców wyrzucono z kościoła. Rzecz rozeszła się po kraju, a krewni nieszczęśliwych których pamięć po zgonie tak srodze zelżoną została, poznali w tym postępku zręczny, ale oburzający sposób, uwolnienia kościoła i wyrzucenia zmarłych z okupionych grobów. Tak jedno nadużycie zradza drugie.

Ze przecie zgrozy podobnego rodzaju rzadszemi u nas były niż gdzieindziej, przypisać to trzeba świeckiemu duchowieństwu Polskiemu, którego roztropność i umiarkowanie za wzór może służyć.

L a b a t opisuje pogrzeb w T i v o l i, którego sam był świadkiem. Nieużywano tam trumien bo niebyło miejsca na nie. Rzucano po prostu umarłych w podziemne sklepienie. Raz przyniesiono ciało kobiety, odjęto kamień, ale sklepienie do samego wierzchu już było zapełnione. Grabarz kościelny w tej niepewności, chcąc przygniecieniem trupów miejsce sobie zrobić, na długi czas zapo-

wietrzył okolicę. W Anglji corocznie wywożą z Londynu do Prowincyj północnych, beczki pełne kości ludzkich, które w młynach na proch utarte, tworzą najlepszą mierzwę. Paryż długo bardzo niewiedział gdzie podziać swych umarłych. Na całe miasto jeden tylko był cmentarz Śgo Inocentego, a nadto tak szczupły, że z ciał rzucanych jedno na drugie, góra się na nim wzniosła. Dawny Poeta Jan le Ferre prosił w rymach swoich, żeby go niepakowano do Śgo Inocentego, albowiem przy zmartwychwstaniu lęka się walki którą tam pochowani staczać będą musieli. Słuszną była jego obawa. W istocie na tym cmentarzu nieznano osobnych grobów, ale tylko wspólne doły mające do pięćdziesięciu stóp w głąb i w szerokość. Miejsce tak niebezpieczne, i odrazu całe miasto zapowietrzyć mogące, długo nieściągnęło uwagi Rządu; dopiero w roku 1785, gdy już przeszło 1,200,000. ciał leżało w tak szczupłym obwodzie, postanowiła Rada Stanu na przedstawienie które uczynił Cadet de Vaux, inne miejsce na groby przeznaczyć. Rozkazano wszystkie kości i ciała przewieść do Plaine du mont Rouge. Przewożono je dniem i nocą, a nocne sceny przy świetle latarni i pochodni, miały być nadzwyczajnie przejmujące, te krzyże, groby, zwalone mury, rozbite trumny,

a robotnicy jak posępne mary przesuwali się przy bladem świetle w pośród chmur dymu. Szczęściem znaleziono wygodne miejsce na schowanie kości wywiezionych od Śgo Innocentego. Oddawna łamano kamienie w okolicy Paryża, a wieść była między ludem, że te kopalnie rozciągały się pod całem miastem. Niedano na to baczności, lecz gdy się dom jeden na przedmieściu w ziemię zapadł, mianowano w roku 1777. Kommissją, która bliżej rzecz rozpoznawszy, wsparłszy miejsca niebezpieczniejsze, przeznaczyła te obszerne podziemia na Katakumby. Kupiono za miastem dom zwany Tombe Isoire od zbójcy Isouard który tam zginął, wykuto w ziemi 77. stopni mających być wejściem do katakumb, a poświęciwszy je, zsypano kości, i poukładano w piramidy, kolumny, galerje, i z samej nikczemności ludzkiej tyle ozdób wyprowadzić umiano, iż to miejsce uważać można za wzór przepychu śmiertelnego. Podczas Rewolucji Tombe Isoire przeznaczoną została na salę do tańca, lecz nietknięto katakumb, które na zawsze są przeznaczone na skład kości wywiezionych z cmentarzów.

W Szwajcarji jest zwyczaj portrety umarłych na kamieniu grobowym malować. Wkrótce farby bledną i nikną, a pozostałe rysy stają się tyle podobne do samego obrazu, jak szkielet do żywego ciała. W Anglji możniejsi w ogrodach groby sobie zakładają. Zakończmy jednym jeszcze rodzajem grobu. Dante dla niewierzących w przyszłe życie wymyślił w poemacie swoim okropną karę -- groby w piekle, gdzie ich żywcem po śmierci zamykają.

LITERATURA i SZTUKI.

Pisma perjodyczne Polskie.

Pisma te, o których powiedzieć można, że za naszej pamięci utworzyły się w Polsce, od niejakiego czasu pozostają w jednej mierze. Nowe, zastępują miejsce konających lub upadłych, i najczęściej w jednym roku znowu same oglądają się na następców. Są jednakże niektóre, co długiem trwaniem stałą wziętość sobie zjednały, są co już same siebie przeżyły. Wymieńmy pisma polityczne. Jest ich trzy w Warszawie. Najdawniejsza antiliberalna Gazeta Warszawska, ciekawemi Rozmaitościami tudzież doborem nowin celująca Gazeta Korrespondenta, i Orzeł biały nie Gazeta lecz Dziennik polityczny. W Petersburgu wychodzi w języku Polskim Inwalid Ruski, w Wilnie Kurjer Litewski, w Krakowie, Poznaniu i Lwowie, Gazety Krakowska, Poznańska i Lwowska. Trzy ostatnie równie jak Gazeta Warszawska, oprócz urządzeń krajowych, są prostem tłómaczeniem niektórych artykułów z pism obcych, a osobliwie Niemieckich. W zawodzie Literackim, równa jest prawie liczba pism perjodycznych. Pamiętnik Warszawski zyskał wiele przez uczestnictwo w Redakcji Kazimierza Brodzińskiego. Pewną jest publiczność, że teraz dobry gust mieć będzie udział w wyborze przedmiotów do tego pisma. Oczekujemy z niecierpliwością wkrótce mającego się pokazać Dziennika Leśnego. Wilno bogatszem jest daleko w pisma naukowe od naszej stolicy. Dziennik Wileński utrzymuje się najdawniej pomiędzy niemi; za nim idzie dwutygodniowy Tygodnik Wileński. Brukowe Wiadomości dowodzą coraz mocniej, że dowcip jest darem chwilowym i nigdy się w długim ciągu utrzymać nie może. Pamiętniki: Magnetyczny i spodziewany Farmaceutyczny poświęcone są nauce Lekarskiej. W mieście Połocku XX. Je-

zuici wskrzeszać mają Miesięcznik Połocki, cudem zapewne, bo suchoty tak fizycznie jak moralnie, miane są za nieuleczone. W Krakowie od trzech miesięcy wychodzi pismo w rodzaju lekkim, odpowiadające tytułowi swemu: Pszczółka Krakowska; we Lwowie młodsza od niej Pszczoła Polska. Wspominając dzienniki w Polskim języku wydawane, pominąć niemogę Pieśni Akademickich, które uczniowie Polscy na Uniwersytet w Hali uczęszczający w kształcie Almanachu, wygotowali. Miło zapewne będzie Polakom znaleść w tem dowód, że nasi współbracia i na obcej ziemi wśród mnogich zatrudnień ich stanowi właściwych, zawsze mowę ojczystą na pierwszym mają względzie.

Pamiętać o tych którzy przeznaczenia swojego dokonali, jest świętą powinnością żywych, ażeby i o nich pamiętali następcy. Wspominając pisma istniejące, wspomnieć więc muszę i te co były. Najpierwej z nich w kwiecie wieku nie swoją śmiercią skonała Gazeta Codzienna i Kronika. Równie młodemu Pamiętnikowi Naukowemu, zaszkodziło zbytnie zagłebianie się w równaniach, w których nikt z czytelników niechciał mu dopomódz. Niech przynajmniej to jego cyprysy uwieńczy, że żal publiczny poniósł do grobu. Skonał i Pamiętnik Lwowski, ale duch jego przeszedł w Pszczołę wyżej wspomnioną, czyli Bąka, sądząc po hałasie jaki robi niepokazawszy się jeszcze (w prospekcie). Pamiętnik Rolniczy jednaki był od urodzenia, mówią iż czyli wychodzi czyli nie, o tem niewiedzą ani czytelnicy, ani redaktorowie. Ale taki to jest los nas wszystkich. Żyjemy dla śmierci... *Omnes eodem tendimus*... wszyscy tam dążemy gdzie już stanęła Gazeta Wiejska, oddawna powiedział Horacjusz.

Teatr Narodowy

W Niedzielę dnia 9. tego miesiąca daną była Trajedja Kotzebúego: *Hiszpanie w Peru*, czyli *Śmierć Wodza Rolli*. Jest to ciąg dalszy Drammy tegoż Autora pod tytułem: *Kora* i *Alonzo*; a słuszniej daleko nazwać się może Romansem na scenie wystawionym,

aniżeli Trajedją. Wypadki tak szybko następują jedne po drugich, scena tak się przenosi z miejsca na miejsce, że chcąc zebrać treść sztuki, i okazać jej błędy, które tłumacz pomnożyć się starał; wdać by się trzeba w rozprawy obszerniejsze nad zakres tego pisma. Autor nie uważał na żadne prawidła drammatyczne, pisał co mu tylko bujna wyobraźnia poddała, a skończył jak mógł. Są wprawdzie niektóre sceny tkliwe i szlachetne, lecz jakże ich mało, a ile niedorzeczności pierwej strawić potrzeba. Rozpacz Kory po uwięzieniu Alonza i utracie jedynego dziecięcia, szlachetne poświęcenie się Rolli, rozmowa jego z Pizarrem, te obrazy z natury czerpane przemawiają do duszy, lecz czemuż z tych pięknych rzeczywistości, tak często Autor nas przenosi w świat swojej wyobraźni? Widzowie oswojeni z wzorowemi dziełami, z oburzeniem spoglądają jak *Kotzebue* żartował sobie z poruszeń serca ludzkiego tą mięszaniną heroizmu z podłością, jak po najpiękniejszem miejscu następująca płaska scena, wstydzić się każe tkliwego uczucia, które poprzedzająca wzbudziła. Zawikłana intryga, nasadzona brżmiącemi maxymami, zyskać może oklask chwilowy, ale jaka szkoda Aktorów co na podobnych sztukach psują swoj talent! Od kilku lat niewidzieliśmy na scenie naszej tych Dramm które na nowo zaczynają się zjawiać, niemożna przecież mieć nadziei zupełnego ich wygnania. Niewielka ludność Warszawy potrzebuje koniecznie nowości dla zapełnienia parteru. Gra aktorów niebyła stósowną do sztuki, bo była dobrą. Publiczność licznemi oklaskami i wywołaniem, uznała wzorowe oddanie roli i gorliwość Pani *Leduchowskiej*.

Z Paryża.

Znaną jest dobrze całej powszechności trajedja Woltera **Olimpja**. Niedawno tenże sam los ją spotkał co Tankreda, zrobiono z niej Operę. Muzykę dorobił *Spontini*, balet *Gardel*, przygotowania kosztowały rok czasu, i dwakroć stotysięcy franków wydatku. W dniu 22. Grudnia roku zeszłego, na pierwszem wystawieniu tak wiele obiecującego dzieła, niezliczone mnóstwo napełniło salę widowiska. Aktorowie, muzycy, tancerze, machiniści, wszyscy z naj-

gorliwszą chęcią dopełnili swych powinności. Mimo tego sztuka upadła. Całe nieszczęście przypisują Kompozytorowi, który w Olimpji tak się miał zniżyć, iż podług zdania Dienników Francuzkich, opera ta postawiłaby go w rzędzie ostatnich Autorów Drammatycznych, gdyby Westalką miejsca pierwszego już sobie niezapewnił. Rzecz sama mniej więcej parodjowana jest z Woltera, ale rozwiązanie zupełnie oryginalne. Gdy wojska dwóch kochanków *Olimpji*, *Antjocha* i *Kassandra* do walki się gotują, *Statyra* z córką swoją pozostaje spokojnie wśród rozjątrzonych szeregów, ale nagle bieży do kościoła i zabija się. Czemu się zabija? Niewiadomo. Bądź jak chce, przynoszą ją na scenę, gdzie ducha oddaje śpiewając długie recitativo. *Olimpja* zagrzana przykładem matki, zabija się także, a cudem teatralnym obie ofiary idą na łono *Alexandra*, który żonę i córkę w obłokach przyjmuje. W całej sztuce to miejsce ma być najszczęśliwszą myślą.

z Rzymu.

Bez chełpliwości powiedzieć teraz można, że rzeźbiarstwo w naszym wieku doszło do stopnia doskonałości, jakiego za najpiękniejszych czasów Grecji nieosiągnęło. Oprócz wielkich mistrzów w tej sztuce, *Kanowy* i *Torwaldsena*, znajdują się w tem mieście inni artyści co już nie w jednem dziele dali dowody wysokiego talentu. Takiemi są: *Bystroem* rodem z Szwecji, młodszy *Schadow* z Berlina, *Carrarese* zastępca nieprzytomnego Torwaldsena, *Tenerani*, *Launitz* szlachcic Kurlandzki i *Testanova* pierwszy uczeń Kanowy.

Pomijając dzieła tych znakomitych Artystów, o których później obszerniejszą dam wiadomość, wspomnę tylko o nowej ozdobie Lwowa, pięknem dziele Kanowy. Jest to pomnik który P. P. *Borkowscy* matce w kościele X.X. Dominikanów postawili. Wyobraża na Kararskim marmurze Gienjusza śmierci wiodącego za rękę umarłą i gaszącego swoją pochodnię.

CHILJANIE.

Z pomiędzy ludów południowej Ameryki, sami tylko Indjanie mięszkający w Chili szczęśliwie oparli się broni Hiszpańskiej, i mimo usiłowań przez dwa wieki nieustających, dotychczas są niepodlegli; mała zaś ich część pod obcym rządem zostająca, poddała się nie przewyższającej sile, lecz namowom Missjonarzów. Jeszcze przed przybyciem Hiszpanów do nowego świata, Inkasowie Peruwjańscy długo a nadaremnie usiłowali podbić ten lud waleczny, co z pola na pole, z góry na górę przenosząc swoje mięszkania, brzydzi się stałą siedzibą i imieniem najwyższego rządzcy. Władza Kacyków jest władzą ojcowską, i ledwie dochodzi znaczenia Emira u Arabów. Tylko w wojnie poddają się Chiljanie obranemu dowolnie wodzowi, który dopóty włada, dopóki naród zechce być posłusznym. Umysł tego ludu wojenny, niecierpliwy, dumny, gniewny, dziki; budowa ciała silna i ozdobna, członki w należytej mierze, szerokie plecy, piersi wypukłe,

poruszenia łatwe i pewne, męztwo nieustraszone, bezprzykładna wytrzymałość głodu, pragnienia, zimna i gorąca. Ale najzaszczytniejszym przymiotem mięszkańców Chili jest stałość w przedsięwzięciach i miłość wolności, dla której ochoczo poświęcają zdrowie i życie.

Chiljanie są ludem najbielszym w nowym świecie, lecz włos ich bez wyjątku czarny. Od młodości do niewygód przywykli, nieznają chorób, dochodzą późnej starości, a bardzo często setnego roku. Na kim znać zgrzybiałość, z pewnością o nim sądzić można że już wiek przeżył, zwyczajnie albowiem do siedmdziesiątego i ośmdziesiątego roku zachowują czerstwość młodzieńczą. Po części jednakże okoliczność tę przypisać trzeba ich klimatowi, w gorętszych albowiem krajach umierają bardzo prędko, a nawet Hiszpanie w Chili zrodzeni, nieprzywykną do innego nieba.

Od najpierwszej młodości wprawiają chłopców do biegu i innych stałących ćwiczeń, tych zaś co trudów początkowych wytrwać niemogą, uczą prac ręcznych. Wszyscy inni poświęcić się muszą wyłącznie sztuce wojennej, i chodowaniu koni których dawniej nieznali, lecz nabyte od Hiszpanów doskonale umieli przyswoić. Na prostej derze, a często i bez niej, siedzą tak dobrze, jak Europejscy jezdcy

na wygodnych siodłach, z lekkością przesadzają szerokie parowy, przy czem tak prosto się trzymają jak gdyby byli przykuci. Ich bronią są dzidy, topory, oszczepy, strzały, maczugi i rozmaite arkany na które konie nieprzyjacielskie chwytają, a każdy żołnierz jednej tylko broni używa.

W stu szeregach idą do boju; strzelcy pod zasłoną kopijników. Szeregi są mocno ściśnięte, skoro żołnierz z pierwszej linji pada, najbliższy z drugiej, miejsce jego natychmiast zabiera, tak iż Hiszpanie niewiedzieli nigdy czyli który z nich zginął. Postępują przy odgłosie bębnów i trąb przyrządzonych z kości nieprzyjaciół; (*) broń ich różnemi farbami upstrzona, hełmy z najtwardszej i prawie nieprzebitej skóry, pysznemi piórami ozdobne. Reszta ubioru tak jest uderzająca, postawa tak wojenna, że ich widok straszne wrażenie czyni zawsze na nieprzyjacielu. Na czele każdego oddziału biegają ochotnicy, i groźno wstrząsając dzidami wyzywają wodzów nieprzyjacielskich. Sami, jednego tylko mają naczelnika, który przed bitwą każe się wstrzymać i krótką mową do męztwa zapala. „Wszyscy musiemy umierać! -- zwykle mówi pomiędzy innemi -- ta jedyna jest różnica czyli ten los wszystkim

(*) Ten los spotkał kości samego nawet Valdivia pierwszego Hiszpańskiego zdobywcy w tym kraju.

wspólny spotkać nas ma jako pierzchliwych, czy jako dzielnych obrońców ojczyzny, żon i dzieci." Natychmiast uderzają na nieprzyjaciela z takim zapałem i wściekłością, że wojska najlepiej wyćwiczone, nie zawsze są w stanie wytrzymać pierwsze natarcie; okrzyk wojenny tego ludu jest strasznym dla Europejczyków, zagłusza nietylko ludzi ale i konie, a nieraz stał się przyczyną największego nieładu w wojsku Hiszpańskiem. Tej okoliczności nieopuścili nigdy Chiljanie, rzucali się w rozpierzchłe szeregi, i w zamięszaniu, gdzie broń ognista na nic przydać się niemoże, największe napastnikom klęski zadawali.

Jest to u nich prawidłem wojennem, ażeby walczyć w bliskości bagnisk lub jezior, gdzie w potrzebie z niepojętą zręcznością ukrywać się umieją. Twierdze otaczają czworobocznym rowem, za którym wznoszą wał z drzew zachodzących jedne za drugie. Przy jeziorze Purku, znajduje się główna twierdza naturą i sztuką tak zręcznie obwarowana, iż nigdy jeszcze zdobytą niebyła.

Mięszkanie i pożywienie Chiljan jest bardzo proste. Domy drewniane tym sposobem budują, że każda izba z osobna przenosić się daje. Gdy im chęć przyjdzie odmienić siedlisko, skopują do koła ziemię, a wziąwszy podwalinę izby, przy okrzykach

Jo! Jo! z łatwością ją przenoszą. Drzwi są również drewniąne, bez zawias i zamków, bo uczciwość powszechna najpewniejszem jest bezpieczeństwem. Sprzęt domowy składa się z przedmiotów pierwszej potrzeby, zą łóżką służą skóry zwierząt na polowaniu ubitych; talerze gliniane, drewniane łyżki lub muszle morskie, są zastawą stołu, do picia mają wydrążone banie, liściami ocierają ręce, a niska ławka zastępuje miejsce stołu. Kukuruzę w wodzie ugotowaną jedzą jak chleb, reszta potraw składą się z owoców, ziół, bań lub grochu, ryb, i zwierzyny. Przy większych biesiadach zastawiają jak najwięcej mięsa z wołów i owiec, które tysiącami pasą się po polach, i do tego należą kto pierwszy chce je schwytać. Zwyczajny napój robią z kukuruzy, którą naprzód pieką a potem w wodzie gotują. W pochodach wojennych każdy żołnierz niesie swoję żywność, składającą się z mąki kukuruzowej, soli, pieprzu i suszonego mięsa. Mąkę piją z wodą dodawszy do niej soli i pieprzu, mięso jedzą bez przyprawy.

Ubiór tego ludu jest także niewyszukany, lecz pięknemi farbami ozdobny. Mężczyzni noszą pewien rodzaj koszuli, która się składa z jednej sztuki sukna blisko dwa łokcie długiego, bez szwu, z jednym otworem przez który kładą głowę, a oba

końce spadają na piersi i plecy; wpół przewiązują się pasem, nogi zakrywają do kolan, bócików używają z trawy zręcznie uplecionych, z mocną rzemienną podeszwą. Na głowie noszą zawój ozdobiony frenzlą i podług zwyczaju Europejskiego, witając się, uchylają lub zdejmują go zupełnie. Kacykowie na znak dostojeństwa, jak najwyższe układają sobie zawoje. Wychodząc z domu biorą płaszcze które na piersiach spinają. Ubiór kobiety składa się z długiej i szerokiej sukni, która spada aż na ziemię, a po bokach w szerokie fałdy zebrana, i zręcznie pasem ściśnięta, wydaje kibić kształtną i wysmukłą. Wychodząc, równie jak mężczyzni używają płaszczów. Na głowie niczego nienoszą, lecz włos nad czołem przedzielony, splatają w długie warkocze. Suknie świąteczne płci obojej są też same jak powszednie, lecz bogatsze i delikatniej utkane. Na szyi wieszają sznurki błyszczących muszli. Mężczyzni kładą za czapki piękne pióra kolibrowe.

Po ucztach, przy dźwięku trąb i fletów zrobionych z kości nieprzyjaciół, zabierają się do tańca. Kolejno lekkim skokiem i dwoma lub trzema krokami, poruszają się koło jednego z towarzystwa, co z długą żerdzią w ręku na środku stoi. Przy nim zastawione są flasze z winem, które póty piją, a przy tem póty skaczą, póki zmordowani na ziemię niepa-

dną i szumu z głowy snem niepozbędą. Ich śpiew jest zupełnie jednostajny i bez żadnej harmonji; po każdej pieśni odzywają się trąby, których odgłos słychać daleko. Ci co do tańca nienależą, siadają w szerokich kołach, piją i rozmawiają o przeszłych wypadkach, przyczem bardzo często wspominają dawne urazy, wpadają na siebie, i na śmierć się biją, z tąd kobiety które nigdy nietańcują, pilne mają oko na mężów, i godzą niechętnych, czego zawsze dokażą, jeżeli kłócący się niesą zbyt pijani. Kobiety w tańcu nieczynne, niewyłączają się nigdy od igrzysk męzkich i od bitew w których nieraz dały dowody męztwa niepospolitego.

Lubo ten naród niezna naczelnika, i w spokojnym czasie każde pokolenie ulega własnemu Kacykowi, jednakże powszechna trwoga zbliża ich do siebie. Posłyszawszy o niebezpieczeństwie, jeden Kacyk zwołuje drugich, wraz z mężami bronią i radą znakomitszemi. Zgromadzeni pod gołym niebem wybierają wodza, któremu natychmiast współtowarzysze i lud cały przyrzeka bezwarunkowe posłuszeństwo. Nazajutrz w szerokiej równinie zapowiadają ogólne zebranie narodu, gdzie stanowią o dalszych środkach obrony, pierwej jednak przysposabiają jak najwięcej żywności, i mocny trunek zwany Hikka. Obfita uczta poprzedza obrady, a

gdy się głowy zagrzeją, najstarszy z towarzystwa w zwięzłej mowie wykłada wątpliwości które mają być rozstrzygnięte. Większość zdań stanowi, i natychmiast przy odgłosie trąb i kotłów ogłaszają ludowi skutek narady. Takie postanowienie lubo już jest niewzruszonem, jednakże trzy dni jeszcze zostawiają sobie do namysłu, w którym to czasie gdy nic się nieznajdzie coby do odmiany zdania przywieść mogło, biorą się wszelkiemi siłami do dopięcia zamierzonego celu.

Słońce uważane powszechnie u Indjan za stwórcę i ożywiciela świata, jest najpierwszym przedmiotem ich czci, której księżycowi także nieodmawiają; zaćmienie zaś ma być wróżbą strasznego nieszczęścia, które krzykiem odpędzić usiłują. Kapłani słońca, oprócz uroczystości zabobonnych, trudnią się jeszcze daleko użyteczniejszą znajomością, to jest znajomością ziół, w której niektórzy tak są biegli, że nieraz Hiszpanów uzdrawiali z wielkiem zawstydzeniem Europejskich lekarzy. Jednakże ciż sami kapłani nieznając wcale anatomji ciała ludzkiego, wszelkie nadzwyczajne zdarzenia przypisują czarom, i nieraz stara kobieta na którą padnie podejrzenie, odpowiadać musi za wypadki o których czasem i niewie.

Prosty sposób życia tego ludu, niedopuszcza

artystów i rzemieślników; nieużywają nawet złota i srebra którego mają podostatkiem, chociaż doświadczenie pokazało że są bardzo przemyślni, i z łatwością pojmują, czego tylko kto zechce ich uczyć. Nieumieją czytać ani pisać, lecz pomagają pamięci sznurkami rozmaitej grubości, na których robią węzły wszelkiego koloru. Podług tych sznurków z łatwością zdają rachunek z najdawniejszych i najzawikłańszych wypadków, ci zaś co przyjęli religją Chrześcjańską, podobnymże sposobem zapisują grzechy, które na spowiedzi wyznają. Z resztą wszyscy mają jaknajlepszą pamięć, i z łatwością przypominają sobie najdawniejsze okoliczności. Dla zachowania pamiątek narodowych jest między niemi cech śpiewaków, co dzieła przodków w pieśni układa, i przez podanie z ojca na syna, przekazuje najpóźniejszej potomności.

Wielożeństwo panujące między tym ludem, jest jedną z największych przeszkod nawrócenia go do wiary Chrześcjańskiej. Pierwsza żona ma niejaką wyższość nad drugiemi, syn jej staje się dziedzicem majątku i godności ojcowskich; inni bracia winni mu są posłuszeństwo, jednakże równie jak on za prawych są uważani. Zony nieprzynoszą majątku mężowi, który owszem od ojca musi je kupować.

Przy śmierci mężów, żony podnoszą okropne krzyki, najstarsza daje takt, a młodsze ją naśladują. Jest także zwyczaj u tego ludu, otwierania ciała tych, którzy nie w polu bitwy, lecz w łóżku umierają, dla poznania przyczyny ich śmierci. Kładą także napoje, żywność i szaty nieboszczyka do grobu, na którym wszyscy krewni stawiają kamienną piramidę.

Kacykowie mają taką miłość i uszanowanie u ludu, iż niepotrzebują go karać, a w całym kraju tych Indjan, nieznajduje się ani jedno więzienie. W polu, każdy sam żywić się musi, ale za to wyjąwszy jednego wodza, wszyscy są równi; nieznają podziału łupów, bo co kto zdobędzie, to przy nim pozostaje. Ta okoliczność przykłada się także bardzo wiele do pomnożenia osobistej odwagi.

Niewiadomo jeszcze jakie są stosunki tego ludu, z nową Rzecząpospolitą Amerykańską, która zapewne starać się będzie wejść z nim w przyjacielskie układy.

Jodła.

Wiersz *Kazimierza Brodzińskiego.*

Kochanko! w cieniu tej jodły,
Godziny słodkie się wiodły,
Ja przeczuwam, ja się smucę,
Że tu więcej niepowrócę.

Gdy w polu Mars mię zagrzebie,
A miesiąc błyśnie na niebie,
Wyrwijże się matce z domu,
Pospiesz tutaj pokryjomu.

Zaśpiewaj dumkę miłosną,
Którą nóciłaś mi wiosną,
Którą echa roznaszały,
Po dolinach między skały.

A potem w tkliwem westchnieniu,
Pojrzyj ku nieba sklepieniu,
Tędy do mnie droga będzie,
Tam mój smutny cień osiędzie.

Gdy jak po wiatru powiewie,
Zaszumi liście na drzewie,

Ja to będę, który skryty,
Spuszczę się nad jodeł szczyty.

Wtenczas ja dłońmi zimnemi
Spuszczęć gałązkę ku ziemi,
Nieś to w chatkę dla pamięci,
Co ci tęschny duch mój święci.

Dobranoc Wiesławowi.

Wiersz *K. Brodzińskiego.*

Uśnij mi uśnij Wiesławie drogi!
Da tobie miłe spocznienie
Spokojne serca sumienie,
I skłonne cnocie twej Bogi.

Niechaj pies wierny przed twemi wroty,
Odstrasza czujnie złych ludzi,
Niech baczny kogut cię budzi,
Do szczęsnej w polu roboty.

Niech pod twą strzechą jaskółka zrana
Zdaleka szczęście przynosi,
Pogodny niechaj czas głosi,
Na żęcie zboża i siana.

Z góry, obłoki co leją wody,
Nie miną nigdy twych błoni,
Twój ogród kwiatem niech woni,
Niech liczne mnożą się trzody.

Na jawie twoje myśli jedyne,
Niech we śnie ciebie upoją,
Snij sobie jakbyś już twoją,
We wrota przywiódł Halinę.

Czytaj w jej twarzy lube dumanie,
Gdy ufna w miłej ozdobie,
Rozważać będzie przy tobie,
Już wieczne z tobą mięszkanie.

Zyjcie oboje długo weseli,
Na szczęście tęschność już zamień,
Bo serce cięży jak kamień,
Dopóki nikt go nie dzieli.

Miej szczęście które zakładasz skromnie,
A jeśli przyjaźń, prostota,
I marzy ci się ochota,
Niech ci się przyśni i o mnie.

PAMIĘTNE WYPADKI z życia sławnego Człowieka.

Książkę wydaną pod tym tytułem, i obejmującą wiele nieznanych dotąd anegdot o Napoleonie, przypisywano z początku Ochmistrzyni Króla Rzymskiego Xiężnie Montesquiou; przekonano się później, że prawdziwym jej autorem jest Regnault Varin, który niejedno już wydał pismo o współczesnych okolicznościach. Dzieło to zawiera mało uwag, lecz więcej daleko zdarzeń.

Zywemi farbami odmalował autor główną kwaterę Napoleona. „Niemożna sobie wystawić -- mówi on -- jakie trudy i przykrości podejmował każdy co robił służbę przy boku Cesarza, zacząwszy od Wielkiego Koniuszego aż do ostatniego posługacza. Caulincourt sprawiedliwie wysłużył przydomek niezmordowanego; ale jak on tak i wszyscy o każdej godzinie, we dnie i w nocy, musieli być na zawołaniu, a do tego w stroju najprzyzwoitszym. Zupełny nieład panował tam, gdzie mięszkał Napoleon. Prócz pokojów dla niego samego przy-

gotowanych, gabinetu do pracy, sali audjencjonalnej, i izby dla przybocznego orszaku, powinien był jeszcze Berthier z wszystkiemi papierami stanąć pod tym samym dachem; reszta więc osób otaczających Cesarza, mieściła się bardzo ciasno. Nieraz Jenerał Narbonne, w wojnie Saskiej pełniący obowiązki Adjutanta, musiał noc przepędzać w przedpokoju na dwóch krzesełkach lub wiązce słomy, i za każdym nowym rapportem budzić Cesarza.

Kiedy Napoleon z wojskiem stał w obozie, znajdował się obok jego własnego namiotu, namiot drugi, przyrządzony najstaranniej na gabinet. W środku był stół, na nim rozpięta najlepsza mappa teatru wojny. Natychmiast określono najdokładniej wszystkie miejscowości, a stanowiska rozmaitych korpusów naznaczono igiełkami różnego koloru. Gdy Napoleon siadał na konia, Caulinkourt nosił na piersiach tęż samą mappę, i pokazywał mu ją każdej chwili.

W całem dziele, ten rozdział zajmuje najwięcej, który wspomina o drugiem zrzeczeniu się tronu. Wyjeżdzając do Belgjów, powiedzieć miał Napoleon: Quitte ou double. Los wkrótce rozstrzygnął tę wątpliwość. Dwudziestego Maja -- opowiada dalej autor -- o pięć minut na dziesiątą wieczorem, wjechał zakurzony powóz na dzie-

dziniec pałacu Elizejskiego. Poznałem że należy do orszaku Cesarza; ale zaledwie zbiegłem na dół, zajechał drugi i trzeci. Coraz byłem niespokojniejszy. W tem jeden z moich przyjaciół co wysiadł z pierwszego pojazdu, ścisnąwszy mnie za rękę „źle! -- zawołał -- wszystko zginęło." Otworzono drzwiczki trzeciej karety; w niej leżał na wznak blady mężczyzna, którego z początku wziąłem za Cesarza. Był to brat jego Hieronim. Ranny w rękę, znużony i zaspany z wolna wysiadał. Napoleon zepchnął go z gniewem, skoczył na schody, i wpadł do swoich pokojów, niemówiąc nic, nieoglądając się na nikogo. Pospieszyłem za nim; mój przyjaciel wziął mnie znowu za rękę, i przytłumionym głosem „Widzisz -- rzekł -- wszystko zginęło." W tem otworzyły się drżwi pierwszej sali, Cesarz zbliżył się do nas, rzucił okiem na mojego przyjaciela i dodał: „Oprócz Honoru." „Od dwudziestu czterech godzin -- szepnął mi mój przyjaciel -- to pierwsze słowo wyszło z ust jego." Cesarz udał się do gabinetu i usiadł na chwilę. Podałem mu odebrane listy. Wybrał najkrótsze, resztę rzucił na stół. W ręku zatrzymał bilet pachnący i przycisnął go do ust. Czytając, wzniósł kilka razy oczy do nieba, później zawołał: „Filiżankę rosołu!" a wkrótce potem: „Pióra i pa-

pieru!" Napisał, złożył list: „Do Xiążniczki Hortensji!" zawołał, dając mi znak ażebym adres położył. Odprawiwszy posłańca, wypił połowę rosołu. „Pisz WPan -- rzekł potem do mnie -- i wezwij Xięcia Bassano i Hrabiego Regnault de St Jean d'Angely. Napisałem; Cesarz położył się zupełnie ubrany, rozkazawszy kamerdynerowi, ażeby go obudził za przybyciem ministrów.

Mój przyjaciel D. opowiedział mi już wszystkie wypadki, gdy mnie Cesarz wezwać kazał. Oba ministrowie byli u niego. Ja tak byłem pomięszany, iż go to uderzyło. „D. roznosi plotki." rzekł surowo, lecz wkrótce dodał łagodniej: „Jest to nieszczęście niezbyt wielkie jeżeli się da naprawić, a jeżeli nie, to i tak trzeba je znieść. Siadaj WPan i pisz! Czy umiesz pisać przez skrócenia?" -- Umiem Najjaśniejszy Panie." „Pisz więc." Dyktował, noc była poźna; Xiążę Bassano blady jak chusta siedział wkącie; Hrabia Regnault stał przy stole, i ołówkiem poprawiał rozłożone pismo.

Cesarz chodził po pokoju, gryzł paznokcie, ustawicznie dobywał tabakierki, nagle wstrzymał się i zawołał: „Gdzież jest Bulletyn?" „Poprawiłem go." odpowiedział Regnault. „Czytaj." rzekł mu Napoleon. Był to Bulletyn z 21. Lipca. Rap-

port o bitwie pod Ligny, i późniejsze wyznania Blüchera, dowodzą ważności tego zwycięztwa. Nazajutrz przechyliło się szczęście na przeciwną stronę. Gdy dwóch części Búlletynu wysłuchał, tupnął Napoleon nogą w ziemię i zawołał: „Bitwa była wygrana!" lecz gdy doszedł do końca: „Tak jest, przegrana -- rzekł -- a z nią przepadła moja sława." Regnault odpowiedział: „Jedna przegrana, a pięćdziesiąt zwycięztw!" Na to Bassano: „Cesarz wie co mówi, ta przegrana jest stanowczą." Cesarz: „Oni niesą przyzwyczajeni do zwycięztwa, będą go chcieli nadużyć." Bassano: „Ci przez których podłość Wellington trjumfuje, są większemi naszemi nieprzyjaciołmi od Anglików, a nawet od Prusaków." Regnault: „Republikanie będą wzdychać, ale potrafią użyć okoliczności." Cesarz: „Dobrze zrobią! wtenczas przynajmniej ocaleje sława ojczyzny; jeżeli zaś Rojaliści przemogą, siły cudzoziemskie będą ich wsparciem." Bassano: „Śmiałość Rojalistów, zawisła od głowy Wellingtona, a ramienia Blüchera." Regnault: „Pierwszą potrzebą jest wstrzymanie nieprzyjaciół." Bassano: „Jakim sposobem? Wojsko jest zniesione, a granica bez żadnej obrony." Cesarz: „Wojsko samo się zbierze; trzeba je reorganizować i uzupełnić." Bassano:

„Czy Marszałek Soult i Grouchy są pewni?" Cesarz: „Grouchy jest człowiek uczciwy ale słaby, za Marszałka mogę ręczyć." Regnault: „Wojska uzupełnienie wielkich doświadczy trudności." Cesarz: „Zwołaj WPan Ministrów, chcę ażeby Izby dzisiaj o wszystkiem wiedziały." Bassano: „Stronnictwa będą niespokojne." Regnault: „Stronnictwa zdawna niespokojne będą się teraz mierzyć, wzajem się wiązać, i sił swoich doświadczać. Bardzoby się w dzisiejszych okolicznościach przydała Dyktatura." Cesarz: „Rozpoczynam Monarchją Konstytucyjną. Zwołaj WPan Ministrów." Rozesławszy rozkazy Ministrom, odszedłem z Hrabią Regnault.

Bassano został u Cesarza, który mimo trudów podróży przyjmował rozmaite odwiedziny. Nie byłem u niego, lecz z moich okien poznałem karety Kambaceresa, Admirała Decré, i obudwóch Carnotów. O w pół do siódmej wezwał mnie Cesarz. Zastałem u niego Xięcia Otranto ówczesnego ministra Policji który mu zapewne donosił o zamachach stronnictw. Napoleon zdawał się pomięszany, Fouchet był wzruszony uprzedzający i pełen czucia. Gdy odszedł, rozkazał mi Cesarz przepisać na trzy ręce papier który dobył z kieszeni. Gdym dopełniał jego rozkazu

Cesarz mówił sam do siebie: „Spokojnie, wszystko jest spokojnie? niczego mi nie odmówią? komuż mam wierzyć, temu doniesieniu, czy jemu? Ach! wierzę bardziej doniesieniu, podobno odpowiada smutnym przeczuciom bo... Tu wstrząsnął papierem który jeszcze w ręku trzymał, i rzekł: „to mnie nigdy niemyliło."

Kończyłem robotę gdy weszła Xiężna Hortensja. Natychmiast opuściłem pokój, a z ciekawości może nieco nagannej, udałem się do pobocznego gabinetu, gdzie małe okrągłe okienko, fieranką do połowy zasłonione, pozwoliło mi raczej zgadnąć niżeli widzieć, scenę którą teraz chcę opisywać. Xiężna siedziała z chustką w ręku, i często przyciskała ją do oczów, była blada i bardzo cierpiąca. Cesarz już stał przed nią, już siadał, mówił prędko, lecz głosem przerywanym. Oczy Xiężny łzami zalane, i wszystkie jej poruszenia okazywały, że prosi o rzecz której Napoleon stale odmawia. Dowiedziałem się później że wszelkiemi sposobami nakłaniała go do proszenia o pokój. Cesarz odpowiadał na wszelkie jej dowody słowami lakonicznemi z których niektóre tylko usłyszeć mogłem, jako to: Burbony, hańba, Anglicy; wreście zniecierpliwiony, że gwałtownością swoją nie może przezwyciężyć, słodkiej wymowy Xiężny, tupnął nogą i tak mocno się oparł na stosie książek swoich, iż

wszystkie upadły, a jedna nawet na nogę Hortensji. Łzy stanęły znowu w jej oczach. Spostrzegł się Cesarz, a po wesołości którą w krótce twarz Xiężny zajaśniała, sądziłem iż zezwolił na część jej prośby. " Przyślij mi syna swojego" rzekł wreście, i z uczuciem pocałował ją w rękę. Na tem skończyła się rozmowa, i Xiężna odeszła.

W czasie panowania swojego Napoleon pilnie przestrzegał Etykiety. Wielu uważało to za śmieszność, lecz tu równie iak z innych względów, sądzono go niesprawiedliwie. Etykieta służyła jego polityce niebyła zaś jej celem. Wiadomo jest iż Napoleon w najmniejszych okolicznościach, naśladował obrzędy dworskie za Ludwika XV. i XVI. zachowywane. W czasie ciąży Marji Ludwiki przepisano jej lekarstwo; wzięła je nim lekarz przybył, i dostała bólu tak gwałtownego, iż się lękano o jej zdrowie. Zwołano cały Fakultet, przybył i Cesarz, alubo niebezpieczeństwo już minęło, powiedział jednak długie kazanie Xiężnie Montebello że się ważyła sama Cesarzowej podać lekarstwo; przy czem powtórzył kilkakrotnie, że Etykieta każe iżby sam Lekarz podał to co przepisze. Każdy łatwo pojmie że w tem miejscu Etykieta jest prostym rozsądkiem w ceremonjalnej postaci. Xiężna nieodpowiedziała ani słowa, lecz po odejściu Napoleona

rzekła: Bardzo mnie to cieszy że przecię Pan Etykieta odszedł. Nie lubiłam nigdy długich kazań." Od tego czasu pozwalała sobie często dawać mu to przezwisko nawet w przytomności Marji Ludwiki.

W czasie pierwszych sześciu tygodni po rozwiązaniu Cesarzowej, tylko Xiężne Familji miały przystęp do niej. Gdy ją odwiedziła matka Napoleona, lub która z siostr jego, stawiano im krzesła przy łóżku. Niepodobało się to Cesarzowi, kazał odnieść krzesła, i dla matki swojej która niebyła królową, równie jak dla innych dam przygotować proste stołki bez poręczy. Ta mała okoliczność pomnożyła niechęci między familją, a cała przykrość spadała na Marją Ludwikę.

Napoleon lubił się zemścić lecz zemstę swoję umiał zastósować do osoby co miała być jej celem, a nigdy niedozwolił nadużycia władzy w drobnych przedmiotach. Panna Bourgoin Aktorka Paryzka, Pozwalała sobie nieraz bardzo nieprzystojnych o nim żarcików, za co nareście Cesarz postanowił ją ukarać, i użył za narzędzie ówczesnego Ministra Montalivet. Minister ten zakochany był w Aktorce, i niezmiernie zazdrosny. Napoleon co równie w nocy jak we dnie pracował, pewnego razu posłał po niego o północy.

Montalivet ubrał się na prędce, i pospieszył do Tiulerjów. Wkrótce potem pukają do Panny Bourgoin, a paź oddaje iej rozkaz udania się natychmiast do pałacu Cesarskiego. Zmięszana, wstaje, każe zaprzęgać, i z biciem serca wyjeżdza. Tymczasem Napoleon rozmawiał z Ministrem o planach, dekretach, kazał mu ważniejsze punkta notować, projekta pisać. Wśród tej pracy wszedł paź i doniósł, że: „Już przyjechała." „Niech wejdzie." odpowiedział Cesarz. Montalivet ciekawy coby to były za odwiedziny, rzucił okiem na otwierające się drzwi, a jakże się zdumiał, spostrzegłszy Pannę Bourgoin! Pióro wypadło mu z ręki, stanął osłupiały. Bogini drżącym krokiem zbliżyła się do Cesarza oświadczając, że staje na jego rozkaz. Napoleon nieraczył nawet spojrzeć na nią, lecz wskazał na poboczne drżwi mówiąc: „Idź WPanna tam." Odeszła, a Montalivet zimnym potem zalany, musiał jeszcze pracować dwie godziny, które mu się zdawały wiekiem. Wreszcie pozwolono mu odejść; natychmiast Cesarz zadzwonił na kamerdynera, i rzekł: „Powiedz Pannie Bourgoin że może odjechać. Już się skończyła jej rola.„ Nazajutrz sam Napoleon opowiedział ten żarcik. Ministrowi podobało się rozwiązanie, ale Aktorka mocno była upokorzoną i nadal ostrożniejszą.

LITERATURA i SZTUKI.

Teatr Narodowy.

Opera Włoska w podróży. Niewiele jest oper równie ulubionych, á osobliwie tak słusznie zasługujących na powszechne upodobanie. Intrygę słabą, a prawie żadną, jednakże wesołą, ożywia ujmująca muzyka. Dwie ozdoby Polskiej Opery, rozwijają w niej swój talent. P. *Szczurowski* zdaje się stworzonym do roli którą oddaje, P. *Damse* tyle przykłada usiłowań, że nawet w roli niemej zasłużył sobie na oklaski.

Piotr i Paweł Komedja wystawiona pierwszy raz na dochód P. *Żółkowskiego.* Smutne jest po części przeznaczenie wielkiego człowieka. Chwała jego staje się własnością publiczną, a ileż to ludzi nadużywa tej własności. Nikogo zapewne niewystawiono w tylu Poematach, Trajedjach, Komedjach jak Piotra Wielkiego, lecz niekażdy Achilles znalazł Homera. W Komedyjce Piotr i Paweł, intryga zawiązana jeszcze za czasów kiedy Piotr W. z cieślami okrętowemi pracował, rozwiązuje się w Petersburgu. Pominąwszy obrazę prawdopodobieństwa, rzecz cała może się podobać, po odrzuceniu niektórych mniej przystojnych wyrazów.

Mieszczanin Szlachcic. Jeszcze za czasów *Moljera* sztuka ta była farsą, ale miała za sobą choć cień prawdopodobieństwa. Różnica między mieszczanami a ludźmi dworskiemi w Paryżu, była widoczną, dziś już zupełnie zniknęła. Jednakże gienjusz Moljera tam nawet gdzie się uniżał do niewykrzesanego gustu ówczesnej publiczności, zawsze w niektórych miejscach powracał do właściwej sobie sfery. Tak scena fechtowania, a osobliwie scena w której mieszczanin wykłada swojej służącej rzeczy, o których się dopiero dowiedział, prawdziwie z natury czerpana, zawsze się podoba.

Dwaj Sieciechowie. Komedja ta na wszystkie prawie języki Europejskie tłómaczona, niemoże być bez prawdziwych zalet. W oryginale długość wykładu iest największą jej wadą, u nas dodano jednę jeszcze wadę niestósownego rozdania rol. Rola trzpiota Sieciecha, zdaje się że powinnaby być powierzoną P. *Dmuszewskiemu.*.

Na Francuzkiej Reprezentacji Hilarego, w roli Edeliny dała się słyszeć Pani *Aszpergierowa.* Gra jej była jak zawsze ujmująca, a lubo śpiewała w obcym języku, piękna jej rola nic natem niestraciła. Przytomna na widowisku Pani *Catalani*, częstem oklaskiem zaszczytne jej talentowi dała świadectwo.

Słowo Szarady w przedostatnim Numerze Tygodnika umieszczonej, jest: U-rząd.

NARCYS i ECHO.

Ustęp z Pieśni III. Przemian Owidjusza.

Już Tyrezjasz po całej Tebańskiej krainie,
Z niemylnych wydawania odpowiedzi słynie,
Lirjopa, gdy ją doszła tego wieszcza sława,
Przybywa o los syna swojego ciekawa.
Cefiz (1) niegdyś ujęty wdziękiem jej urody,
Pieścił się z nią, swojemi objąwszy ją wody.
Piękny Narcys wzajemną stwierdził ich zażyłość,
Zdawał się być zrodzonym, aby niecił miłość.
Wieszcz spytany, czy Narcys lat szczęśliwych dozna:
Odpowiedział: „Jeżeli sam siebie niepozna,"
Wróżba czczą się zdawała; śmierci rodzaj rzadki
Potwierdził ją, i później zdarzone wypadki.

Jedna wiosna do wiosen szesnastu dodana,
Rozwijała w nim postać i żywość młodziana.
Łączył w sobie niewieście, łączył męzkie wdzięki,
Nie jedna z dziewcząt jego zapragnęła ręki.

(1) *Bóg Rzeki.*

Nieczułym był na miłość, zimny na westchnienia.
Kiedy w sieci drżącego naganiał jelenia,
Widzi go Nimfa Echo, co sama niemowa,
Cudze i to ostatnie powtarzała słowa.
Echo niebyła głosem, ale jeszcze ciałem,
Choć się szczupłym mówienia cieszyła udziałem.

Tak ją skarała Juno; bo gdy raz Jowisza
Zabawnego z Nimfami, wśród lasów zacisza
Zbiec miała, Echo zręcznie bawiąc ją rozmową,
Pomogła im się schronić przed Nieba Królową.
Poznawszy Juno zdradę, rzekła temi słowy:
„Przez mowę mnie zdradziłaś, strać użycie mowy."
Groźbę potwierdził skutek, mówić już przestaje,
I tylko usłyszane wyrazy oddaje.

Widzi Echo Narcyssa, czuje serca bicie,
Rumieni się, w ślad jego postępuje skrycie,
Lecz im bardziej się zbliża, żywszym ogniem płonie
Tak właśnie kiedy głownię płomień już ochłonie,
Zbliż siarkę, ciągnąć będzie ogień całą siłą,
Chciała do niego mową odezwać się miłą,
I z słodką prośbą złączyć miłosne wyznania,
Ale zemsta Junony mówić jej zabrania.
Więc czyni to co może, i w gęstwie schowana,
Zważa, kiedy powtórzyć wyrazy młodziana.
Narcys zbłąkany w lesie, złudzony szelestem,
Jestem woła na swoich. Echo rzekła: *Jestem.*
Więc przychodź mówi; słucha, a patrząc do koła,
Dziwi się że go wzywa ten, kogo on woła.

I cóż to rzecze Narcys, *ty stronisz odemnie?*
Tyle słów ile wyrzekł, usłyszał wzajemnie.
Zdumiewa się, i cudzym ułudzony tonem,
Tu zejdźmy się zawołał. W szczęściu nieskończonem
Zejdźmy się, powtórzyła ucieszona Echo,
A ufna własnym słowom, wybiega z uciechą,
Pewna że już kochanka przyciśnie do łona,
Precz z mych oczu! rzekł Narcys *wstydu pozbawiona*
Wprzód będę żebrał chleba w ostatniej potrzebie,
Niżli pokocham ciebie." Echo: „*Kocham ciebie.*"

To rzekłszy w las ucieka, twarz spłonioną kryje.
Przeżyłaby kochanie, wzgardy nieprzeżyje,
Posilenia odmawia, zamyka się w skale,
Bez końca łzy ją trawią, wycieńczają żale,
W ulotne cząstki ciało rozdziela się całe,
Głos pozostał, a kości zmieniły się w skałę,
Duch jej błąka się dotąd wpośród gór i w lesie,
Dotąd koniec pytania w odpowiedzi niesie.
Zimnym Narcyssa każda znalazła ziemianka,
Gardził tą, co w nim widzieć pragnęła kochanka.
Jedna co go kochała bez nadziei żadnej,
„*Wenero!* rzekła, *Bóstwo miłości wszechwładnej,*
Spraw niech pozna co kochać, a niebyć kochanym."
Usłuchano jej prośby, został ukaranym.

Czysta była krynica, pełna świeżej wody,
Nieznają jej po górach pasące się trzody,
Ani ptak, ani zwierzę, ani gałęź spadła,
Nigdy jej przejrzystego niemąci zwierciadła.

Wkoło była darnina zdrojem się wilżąca,
I las co swoim cieniem strzegł go od gorąca.
Polowaniem znużony Narcys przy tym zdroju,
Szuka w upał spoczynku, chłodu i napoju,
Jedno gasząc pragnienie, drugie się w nim wzbudza.
Gdy pije, wdzięków własnych widok go ułudza,
Kocha obraz bez ciała, kocha się w czczym cieniu,
Niewzruszony jak posąg, długo w zadumieniu
Patrzy się nachylony nad przejrzystą wodą,
Niebaczny, sam się swoją zachwyca urodą.
Szyja która białością mleko przypomina,
Włosy godne Bachusa, godne Apollina,
Jagody, które żywy rumieniec ozdabia,
I uśmiech czarujący oko jego zwabia.
Dziwi się temu, w czem jest godzien podziwienia,
Sam jest celem swych pochwał i swego pragnienia,
W jednej osobie razem zapala i płonie;
Ileż razy wyciągał ku krynicy dłonie!
Widząc w zwodnem zwierciedle cel swych życzeń bliski,
Czcze tylko zimnej wodzie przesyłał uściski.
Niemoże dojść co widzi, lecz widok go wzrusza,
A ułudzeniem oka zapala się dusza.

Nieszczęsny czego żądasz w tej zgubnej godzinie.
To co kochasz jest niczem, odwróć się, a zginie.
Obraz co widzisz w wodzie, twoim jest obrazem,
Nic własnego on niema, ożył z tobą razem,
Z tobą razemby zniknął, gdybyś zniknąć zdołał!
Próżno go głód odrywał, próżno sen go wołał,

Narcys był niewzruszony, a klęcząc na trawie,
Przyglądał się dzień cały łudzącej postawie.
Sam własnemi wdziękami ginie w próżnej męce,
Wstał wreście, i tak mówiąc wzniósł ku niebu ręce:
„O lasy, których często przyjacielskie cienie,
Kochankom nieszczęśliwym dawało schronienie,
Wy, co już wieki w nowe zdobicie się liście,
Mówcie, czy nieszczęśliwszą miłość widzieliście?
Patrzę, kocham, lecz smutne przeznaczenie wzbrania,
Dotykać się przedmiotu mojego kochania.
I ani nas rozdziela morze rozhukane,
Ani droga lub góry, lub bramy miedziane,
Kropla wody kochankom staje na przeszkodzie,
I wiem że mam wzajemność; bo skoro ku wodzie
Zbliżę się, i mój obraz zbliża swoją głowę,
Już mniemam że uścisnę usta koralowe,
Jedna kropla wstrzymuje. Duszo mojej duszy,
Wychodź z tej zgubnej wody, niech cię głos mój wzruszy.
Pewnie nie dla mej twarzy ty stronisz odemnie,
I mnie kochały Nimfy nawet niewzajemnie.
Twoja twarz często lubą zwodzi mię nadzieją,
Gdy się śmieję, twe oczy, twe usta się śmieją,
Gdy ci rękę podaję, i ty ją podajesz,
Gdy płaczę ty łzy lejesz, znaki mi oddajesz,
Nawet kiedy co mówiąc na ciebie spoglądam,
I ty mówisz, lecz mowę słyszeć próżno żądam.
Poznajęułudzenie! O żądze szalone!
O męki! sam ku sobie żywym ogniem płonę.

Cóż czynić? kogóż będę, o cóż będę żebrał?
Losie! dając mi nadto, wszystkoś mi odebrał.
Obym mógł! jak szczególne kochanka życzenia,
Rozłączyć się z przedmiotem mojego płomienia,
Żal trawi siły moje! wszystko mi niemiłem,
Sam sobie w kwiecie wieku grobu przychyliłem.
Nieżal mi życia! ziemia ranę mą przykryję,
Nawet mnie mej miłości przedmiot nieprzeżyje.
Obu nam wydrze jedną duszę, jedna chwila."
To mówiąc, raz się jeszcze nad wodą nachyla.
Źle dotąd uleczony, patrzy się, zdumiewa,
Łzami zmąca wodę i postać zalewa.
„Dokąd uciekasz? — woła — zostań, zostań jeszcze,
Niech się przynajmniej twoim widokiem napieszczę,
Niewolno cię uściskać... Kocham nieszczęśliwie...
Ah! w szalonym zapale własną zgubę żywię."
To wyrzekł; ciężka żałość duszę jego tłoczy,
Rumieniec znika z twarzy, ogień tracą oczy.
Zamyka je noc wieczna. — I w duchów mięszkaniu,
Narcys znajduje męki w nieszczęsnem kochaniu,
Widząc swój obraz w Styxu nurtach nieprzebytych.
Płaczą po nim Najady, a po łzach obfitych,
Niosą urnę, pochodnie, wznoszą stós wysoki,
Chcąc ostatnią posługą uczcić jego zwłoki.
Ale już ich niebyło. W tem miejscu z pod ziemi
Wyrósł kwiat złoty, liśćmi okryty białemi.

*
* *

PAMIĘTNE WYPADKI
z życia sławnego Człowieka.

Drugi Wyjątek.

Narodzenie Króla Rzymskiego było ostatniem dobrodziejstwem Fortuny, która Napoleona wkrótce miała opuścić. Pani de Montesquiou mianowana Ochmistrzynią dziecięcia, okazała się godną tego wyboru. Cesarz kochał niezmiernie swojego syna. Nieustannie chodził do niego, bawił, przedrzyzniał się z nim, przy śniadaniu brał go na kolana, maczał palec w sosie, dawał mu go ssać, walał mu twarz, Ochmistrzyni łajała, Cesarz się śmiał, a dziecię zawsze wesołe, z ukontentowaniem zdawało się przyjmować gwałtowne ojca pieszczoty.

Skoro młody Napoleon zaczął mówić, nieustanne zadawał pytania swojej Ochmistrzyni. Lubił bardzo patrzeć na lud, który dla widzenia go zbierał się w ogrodzie Tùllerjów. Pewnego dnia spostrzegł, iż wiele osób wchodziło do zamku z duże-

mi plikami papierów. Zapytał się co to znaczy. Pani de Montesquiou odpowiedziała, iż to są ludzie nieszczęśliwi, co przychodzą prosić jego ojca o jaką łaskę. Od tego czasu skoro tylko zobaczył z góry, przechodzącą suplikę, póty płakał i krzyczał póki mu jej nieprzyniesiono, i zawsze przy śniadaniu oddawał ojcu to wszystko, co zebrał dnia wczorajszego. Spodziewać się można, że skoro publiczność poznała ten zwyczaj, niebrakowało mu na petycjach.

Spostrzegł raz pod oknami swojemi kobietę w żałobie, która trzymając za rękę syna od trzech do czterech lat mającego, ubranego również w żałobę, pokazywała zdala petycją. Natychmiast chciał wiedzieć dlaczego ten biedny mały, był ubrany czarno. Ochmistrzyni odpowiedziała, iż zapewne dla tego, że stracił swojego Ojca. Król Rzymski okazał wielką chęć mówienia z nim. Pani Montesquiou, która nieopuściła nigdy sposobności rozwinięcia tkliwych uczuć w swym wychowańcu, z ochotą pozwoliła na jego prośbę, i posłała po matkę i syna. Była to wdowa, co straciwszy męża na wojnie, została bez wszelkiego sposobu do życia i prosiła o pensją. Król Rzymski wziął suplikę, i obiecał ją oddać ojcu. Nazajutrz przygotował dużą plikę podług zwyczaju, lecz prośbę co go

najwięcej obchodziła, zatrzymał osobno, a przyniosłszy ojcu inne petycje razem „Ojcze -- rzekł -- oto jest prośba małego chłopca bardzo nieszczęśliwego. Ojciec jego przez ciebie zginął, on niema nic, daj mu pensją proszę cię." Napoleon wziął syna na ręce, uściskał go, i natychmiast wyznaczył pensją żądaną. Tak dziecię niemające jeszcze lat trzech już ocierało łzy niejednej familji.

Charakter młodego Napoleona był słodki i powolny, lecz nieraz odzywała się w nim natura ojca; i nieumiał powściągnąć gniewu. Pewnego dnia gdy się tarzał po ziemi, i krzycząc niechciał słuchać co mu mówiono, Pani Montesquiou kazała spiesznie zamknąć okna i okiennice. Dziecię zdziwione, porywa się natychmiast i pyta co to znaczy? „Boję się -- odpowiedziała -- żeby cię kto nieusłyszał. Czyliż albowiem rozumiesz żeby Francuzi chcieli mieć takiego złego monarchę?" „Może mnie niesłyszeli -- rzekło dziecię -- Ah przebacz mamo Quiou (tak ją albowiem nazywał) Już tego więcej niezrobię." Tym sposobem ta rozsądna kobieta umiała w nim wzbudzić bojaźń nagany, szacunek opinji publicznej, i mądrze rozwijała piękne dary przyrodzenia.

Pani Montesquiou wcześnie wpajała w swojego wychowańca prawidła pobożności, i przy-

zwyczaiła go do modlenia sią rano i w wieczór. Od czasu klęsk doznanych w Rossji, dodała te słowa do modłów dziecinnych Króla Rzymskiego: „Mój Boże! natchnij mojego ojca chęcią zrobienia pokoju dla chwały Francji i szczęścia naszego." Napoleon przyszedł raz do syna w czasie modlitwy. P. Montesquiou nieodmieniła jej wcale. Cesarz słyszał ostatnie słowa, uśmiechnął się, i bynajmniej niewziął jej tego za złe.

Niemogę tu opuścić jednego wypadku, który zdaje mi się wielkim dowodem wczesnego rozsądku Króla Rzymskiego. Często on odprawiał, lubił nawet podróże do St Cloud, Compiegne, Fontainebleau, lecz w nocy z dnia 28. na 29. Marca, kiedy ostatni raz miał opuszczać Paryż, niechciał żadnym sposobem wyjść z pokoju. Krzyczał, tarzał się po ziemi i gwałtem musiano go zanieść do pojazdu.

Wielu pisarków Francuzkich, będących niegdyś pochlebcami Napoleona, wystawia go teraz iż niemiał serca, albo używając ich wyrażenia, iż miał wnętrzności z bronzu, a serce z marmuru; i że wszystko poświęcał nienasyconej dumie. Połóg Marji Ludwiki dowiódł zupełnie czego innego. Nadeszła wreście ta chwila, iż się miał urodzić ów potomek, który był celem wszystkich życzeń Cesarza. Ale słabości Marji Ludwiki coraz były gwałtowniej-

sze. Dubois hirurg nadworny zastraszony niebezpieczeństwem, pobiegł do Napoleona i wyraźnie oświadczył iż wątpi czyli będzie mógł razem utrzymać przy życiu matkę i dziecię. „Myśl tylko o matce -- zawołał z żywością Napoleon -- Jej poświęć wszelkie starania." Poszedł z nim Cesarz do żony, przycisnął jej rękę do serca, lecz niemógł wytrzymać widoku jej cierpienia. Blady jak śmierć oddalił się do swego gabinetu, gdzie co chwila dama pokojowa donosiła mu o stanie Cesarzowej, póki szczęśliwe rozwiązanie nieuwolniło go od obawy.

Następujący wypadek niepozwala także mieć zdania zupełnie niekorzystnego o tym nadzwyczajnym człowieku. W czasie gdy był jeszcze Jenerałem, pewien młody człowiek wchodzi do jego loży, zastaje damę nieznajomą sobie, i siada przy niej. Po ceremonjach zwyczajnych, zaczyna mówić o widzach, o aktorach, o muzyce. Na pierwsze zapytania nieznajoma odpowiada bardzo mało, lecz w muzyce okazuje gust wyborny i obszerne wiadomości. Podnoszą zasłonę, grają akt pierwszy, młody człowiek odzywa się ze zdaniem które Dama zbija równie mocno jak grzecznie. Tymczasem wchodzi jeszcze do loży człowiek, nieokazujący powierzchownie nic nadzwyczajnego, który usłyszawszy rozmowę, miesza się do niej. Popiera zdanie młodzień-

ca, okazuje mu wiele grzeczności, a uwagi Damy zbija bardzo poufale a nawet z niejaką ostrością. Młody człowiek obrażony tym tonem, zaczyna się ujmować za Damą. W tym stanie rzeczy Adjutant wchodzi do loży, poznaje i wymienia Jenerała Bonaparte. Dama była jego żoną. Zawstydzony młodzieniec chce odejść i przeprasza ich oboje; lecz Józefina utrzymywała z zwyczajną sobie słodyczą i wesołością, iż powinien tylko przeprosić Mehula i Cherubiniego, którym w owej dyspucie zaprzeczał gienjuszu. Sam zaś Jenerał rzekł te słowa pamiętne: „W Rządzie i w wojsku niepotrzeba oppozycji, bo czyni zamięszanie, lecz w sztukach pięknych daje życie."

Napoleon lubił zbytek i okazałość publicznie, lecz wewnątrz chciał ażeby panowała największa oszczędność. W podróży do Compiegne znudzony powolną jazdą, spuścił okno od karety i zawołał: „Prędzej! Prędzej!" Caulincourt co jako wielki Koniuszy poprzedzał go w drugim pojeździe, usłyszawszy ten rozkaz, wychylił głowę, i zawołał na stangreta, iż go zaraz odpędzi, jeżeli się poważy pospieszyć. Przybywszy do Compiegne, Cesarz żalił się że go tak wolno wieziono." „Najjaśniejszy Panie -- odpowiedział zimno Caulincourt -- Jak będę miał więcej pieniędzy na wydatki stajenne, to

W. C. Mość będzie mogła zajeździć tyle koni, co się jej spodoba." Napoleon nic nieodpowiedział.

Pewnego dnia gdy jadł śniadanie z Cesarzową, zapytał się Damy pokojowej, co może kosztować pasztet który mu przyniesiono. „Dwanaście franków -- odpowiedziała -- dla W. C. Mości, a sześć dla mieszczanina Paryzkiego." „To znaczy że mnie kradną." rzekł Napoleon. „Nie, ale jest zwyczaj, żeby Król drożej płacił niż poddani." „Ja tego niechcę. -- zawołał z żywością, lecz wkrótce miarkując się: Prawda iż rzemiosło Królewskie czyni najwięcej dochodu, ale w tych czasach stało się niezmiernie trudnem."

Znajdując się u Cesarzowej, zapomniał raz Cesarz chustki. Podano mu chustkę Marji Ludwiki, haftowaną i obszytą koronkami. Zapytał się o jej cenę. „Najjaśniejszy Panie -- rzekła jedna z dam -- kosztować może 90. franków." Cesarz kazał to sobie drugi raz powtórzyć, a dobrze już usłyszawszy: „Gdybym był jedną z dam Cesarzowej -- rzekł -- ukradł bym jej codzień taką chustkę. Toby więcej było warto niż pensja." „Szczęściem też -- odpowiedziała taż Dama -- Cesarzowa Jejmość otoczona jest osobami nieznającemi chciwości, jaką Wasza Cesarska Mość udaje." Ta odpowiedź nieuraziła bynajmniej Napoleona.

Nic nieczyni Rządu tak nienawistnym, jak Policja tajna, a ta Polieja doprowadzoną była na nieszczęście, pod rządem Napoleona do najwyższego stopnia doskonałości. Na dowód przytoczę dwa przykłady.

Podczas uczty na której wiele osób było przytomnych, wszczęła się rozmowa o polityce. Dwóch ludzi zaczęło najśmielej mówić przeciwko rządowi nieuważając nawet na samego Cesarza. Podniesiono się od stołu. Jeden odchodzi, drugi biegnie za nim, a doścignąwszy go na schodach: „Mój Panie -- rzecze -- wszystko coś mówił, pokazuje żeś jest człowiekiem niebezpiecznym. Będziesz łaskaw pójść ze mną do Prefektury Policji; proszę się nieopierać o kilka kroków mam pomoc wojskową." „Uprzedziłeś mnie WPan -- odpowiada drugi -- Ja właśnie szedłem po wartę na WPana.'' To mówiąc, dobywa z kieszeni medalu którym byli opatrzeni dla znaku, cnotliwi ajenci Policyjni. Wszystko się wyjaśniło, każdy z nich mówił przeciw rządowi dla tego, żeby i kogo innego wciągnąć w rozmowę, lecz jakże się zawstydzili, gdy sami w łapkę wpadli.

Pewien człowiek ojciec dwóch synów których stracił w Rossji, bardzo był podejrzany iż niesprzyja rządowi; lecz się niedał nigdy podchwycić, a za

to w przytomności doświadczonych przyjaciół, piorunował do woli na sprawców nieszczęścia swojego. Pewnego dnia siedząc w ogrodzie Luxemburskim, rozmawiał z dawnym przyjacielem o bitwie pod Lipskiem. Nieoszczędzali Cesarza i cieszyli się nadzieją prędkiej jego zguby. Tymczasem dziecię mogące mieć szósty rok, piękne jak anioł i porządnie ubrane, przybiega do nich z płaczem, że się zabłąkało. Posadzili je między sobą, i rozmawiali jak pierwej. W półgodziny przechodzi kobieta niosąca na ręku małą dziewczynkę, dziecię poznaje zgubioną piastunkę i spieszy do niej.

Nazajutrz jak najraniej przytrzymano obu przyjaciół i zaprowadzono do więzienia, tak iż jeden o drugim niawiedział. Inspektor Policyjny wezwał naprzód ojca dwóch poległych synów; i powtórzył mu co do słowa wczorajszą rozmowę. Ten mimo swego pomięszania zaprzeczył wszystkiemu „Nieprzyznasz się -- zawołał Policjant -- sprowadzę tu świadka, który cię zawstydzi samą przytomnością swoją." Daje znak, sprowadzają przyjaciela osierociałego ojca. „Zdradzono mnie -- zawołał nieszczęśliwy -- Najlepszy przyjaciel tak niegodnie zemną postąpił. „Mylisz się -- zimno odpowiedział Inspektor -- Ten Jegomość jest równie jak WPan przytrzymany. Przekonaj się więc że Policja wie

wszystko, że nietylko mowy ale i myśli każdego są jej wiadome." Łatwo się domyśleć że oskarżycielem ich było dziecię któremu przytułek dali.

Napoleon nie miewał nigdy pięknych koni wierzchowych. Wszystkie prawie były małe ale w nogach pewne. Jeździł zwykle stępą lub wolnym truchtem, a gdy się zamyślał, upuszczał cugle, konie zaś przyzwyczajone już były trzymać się śladu oficerów co go poprzedzali. Lecz gdy wyszedł ze swego marzenia, lub ujrzał korzystną pozycją, natychmiast galopował po zagonach, co bardzo lubił. Strzelcy z gwardji którzy zwyczajnie byli przy jego boku tak przywykli do tych wycieczek, iż skoro tylko Napoleon z drogi zboczył, już wiedzieli na pamięć do jakiego miejsca dąży. Napoleon lubił wązkie i przykre ścieszki. Gniewał się gdy mu powiedziano iż coś jest niepodobnego. „N i e m o ż n a." powtarzał z szyderczym uśmiechem, i póty szedł na przód, póki go niewstrzymały przeszkody których żadnym sposobem niemógł przezwyciężyć.

Na drogaoh błotnistych lub niebezpiecznych, Wielki Koniuszy poprzedzał Cesarza, lecz z miejsc wzbudzających niemiłe wspomnienia, uciekał Napoleon z największym pospiechem. W roku 1813. przeglądając okolice pod Bautzen, wjechał w wąwóz gdzie mu kozacy spalili 83 wozy z najpotrzebniej-

szemi ammunicjami. Na widok pozostałych szczątków ruszył natychmiast galopem. W tej chwili mały piesek zaczął za nim gonić i szczekać. Ten przypadek wprawił go w wściekłość, strzelił do psa, a chybiszy, rzucił za nim pistoletem.

Mówiono o Napoleonie iż się miał ciągle na ostrożności w obawie zamachów nieprzyjacielskich. Jak to mniemanie jest fałszywem, owszem jak łatwy był przystęp do niego, nawet w czasach burzliwych i w kraju nieprzyjacielskim, udowodni następujący wypadek na którym zakończę: W opisaniu użyję słów Pana Cadet-de Gassicourt Autora dzieła wiele zajmującego: o wyprawie Austrjackiej.

Roku 1809, dnia 12. Października w południe podczas parady w Wiedniu, otoczony swojemi Jenerałami Napoleon, ledwo niepoległ pod zabojczem żelazem. Młody siedmnastoletni Zeid ujmującej postawy z wyrazem słodkim na twarzy, syn pastora protestanckiego, rzucił się na Cesarza. Xiąże de Neufchatel zasłonił go sobą samym a jenerał Rapp rozkazał schwytać zabójcę przy którym znaleziono nowy wyostrzony nóż kuchenny. Drżę jeszcze na wspomnienie tej chwili gdy ten frenetyk zbliżył się do Cesarza, i nie przestanę nigdy dziwić się zimnej krwi tego wielkiego Jenerała co bez najmniejszego

wzruszenia nieprzestał komenderować wojskiem, iak gdyby tylko natrętny owad odegnano od niego.

W izbie żandarmów przy rewidowaniu schwytanego młodzieńca znaleziono przy nim nóż wyżej wspomniony, cztery frydrychsdory i portret bardzo pięknej kobiety. Xiąże Rovigo zaczął go badać, lecz nic się od niego niedowiedział, tylko że: chciał mówić z Cesarzem. Przez dwie godziny nieuczynił innego wyznania. Cesarz dowiedziawszy się o tym uporze, poszedł sam do niego. Oto jest ich rozmowa. -- Zkąd jesteś i oddawna bawisz w Wiedniu? -- Jestem z Erfurtu, przybyłem tu od dwóch miesięcy -- Czego chciałeś odemnie? -- Chciałem W. C. Mość prosić o pokój, i dowieść iż Europa koniecznie go potrzebuje. -- Czy mógłeś się spodziewać że będę miał wzgląd na twoje uwagi? -- Na ten przypadek miałem nóż -- Cóż ja ci złego zrobiłem? -- W.C.M. uciskasz moję ojczyznę i świat cały; jeżeli niezrobisz pokoju, śmierć twoja jest potrzebną dla szczęścia ludzkości. Mój czyn byłby najpiękniejszym czynem ... Lecz umiem oddawać cześć talentom W.C. Mości, ufając jej rozsądkowi, chciałem pierwej użyć drogi przekonania. -- Jesteś synem pastora luterskiego i zapewne religia:..-- Nie N. Panie! ojciec mój niewie o moim zamiarze; nikomu się z nim nie zwierzyłem, od nikogo nie zasiągałem rady, sam

od dwoch lat nad tem myślę ażeby W. C. Mość odmienić lub zabić. -- Czy byłeś w Erfurcie w czasie mojej przytomności? -- Widziałem W.C. Mość trzy razy -- Czemużeś mnie wtenczas nie zabił? -- Spodziewałem się pokoju, widziałem w W.C. Mości tylko wielkiego człowieka -- Czy znasz Schneidera i Schilla? -- Nie -- Czy jesteś wolnym mularzem lub Illuminatem? -- Nie -- Czy znasz Brutusa? -- Było ich dwóch, ostatni umarł dla wolności. -- Czy wiedziałeś o spisku Jenerałów Moreau i Pichegru? -- Z gazet. -- Co myślisz o nich? -- Ze się bali śmierci. -- Znaleziono przy tobie portret; co to jest za kobieta? - Moja najlepsza przyjaciołka, przybrana córka cnotliwego mojego ojca. -- Twoje serce otwarte jest uczuciom tak słodkim, a niebałeś się zasmucić drogie ci osoby, stając się zabojcą? -- Przemógł wemnie głos mocniejszy od głosu miłości. -- Zabijając mnie wśród mojego wojska, czyliż spodziewałeś się ujść zasłużonej kary? -- Dziwię się że jeszcze żyję. -- Gdybym ci przebaczył, jakbyś użył twej wolności. -- Zamiar się nie udał. Wróciłbym spokojnie na łono familji.

Cdsarz wezwał Pana Corvisart i zapytał go czyli nie znajduje w tym młodym człowieku znaków szaleństwa. Lekarz odpowiedział, że nawet nie widzi ażeby był mocno wzruszonym.

Dwa dni tak został pod strażą żandarmów. Przechadzał się spokojnie, czasem klękał i modlił się. Przyniesiono mu z obiadem nóż stołowy. Wziął ge do ręki i spojrzał z uśmiechem, żandarm chciał mu go odebrać. „Nie bójcie się -- rzekł -- to by mi więcej zaszkodziło, niż wy mi zaszkodzić możecie." Nazajutrz usłyszał wystrzały armatne, i zapytał się co to znaczy? -- Pokój, odpowiedziano mu. -- „Czy mnie nie zwodzicie?" -- Zapewniono go że nie. Na tenczas oddał się najżywszej radości. Łzy stanęły mu w oczach. Padł na kolana, modlił się z uniesieniem, i rzekł wstawając: „Umrę spokojniejszy."

Gdy go miano rozstrzelać, rzekł do Pułkownika, co mu przyniósł wyrok: „O tę tylko łaskę proszę WPana, żeby mnie nie wieziono." Stało się zadość jego prośbie, wolny wyszedł na plac i umarł z zupełną spokojnością.

Pamiątka.

Wiersz *K. Brodzińskiego.*

Smutno mi smutno, bo za godzinę,
Już mnie przy tobie niebędzie,
Proszę cię, na twojej grzędzie,
Poświęć mi jaką krzewinę.

Gdy na niej pączek w poranku wiosny,
Zobaczysz rosą polany,
Pomnij że ja łzom oddany,
Jak on omdlewam żałosny.

Gdy się rozwinie, i gdy zdaleka,
Twe go pojrzenie ominie,
Zwiędną listki na krzewinie,
Pomnij na to co mnie czeka.

A gdy w liść suchy w smutnej jesieni,
Będzie wiatr świszczał polotem,
Spomnijże sobie i o tem,
Że to jest obraz mych pieni.

LITERATURA i SZTUKI.

TEATR NARODOWY.

Nasze przebiegi. Ta komedyjka dość jest lubioną od Publiczności bo wystawia ludzi którzy są celem powszechnej nienawiści, a mimo tego przebiegami umieją znaleść możną opiekę. Bardzo jednakże małą część chytrości Izraelskiej widziemy na scenie, i życzyć by należało, ażeby się znalazł autor coby trafnie odmalował skryte ich wpływy, związki i t. d. Słowem coby protegowanych wraz z protektorami połączył. Niektórym aktorom wynurzyć winienem wdzięczność za gorliwość o podwojenie zabawy naszej; to bowiem co mają mówić, podwójnie słyszemy, a z ich łaski już i sufler podejmuje rolę wcale nie niemą.

Ton modny pod schodami uważany być może za komedją tego samego rzędu co *Nasze przebiegi*. Wystawia śmieszności pewnej klassy. Pan chce się przekonać o wierności sług swoich i udaje podróż daleką. Korzystając z tak pożądanej chwili, sludzy spraszają kollegów i wyprawiają sobie ucztę kosztem Pana, który przebrany za chłopca, jest świadkiem całej zabawy parodjowanej na wzór wielkiego świata. Przybywa nareszcie w własnej postaci, rozprasza biesiadnikow i karze niewiernych. Strach ma wielkie oczy. Jakże mogli służący niepoznać przebranego Pana! Pominąwszy to niepodobieństwo osnowa rzeczy i gra aktorów, dosięgnęla celu, bo rozśmieszyła widzów.

Nauka mężom, komedja w dwóch aktach, przełożona z niemieckiego. Autor tej sztuki miał na celu odmalować słabość męża ulegającego żonie zazdrosnej i zupełnie nad nim przewodzącej. Okazał przy rozwiązaniu iż jedynie roztropny podział rządu domowego, wzajemne znoszenie się z wyższością mężowi przynależną, zapewnić może szczęście małżeńskiego pożycia. Treść sztuki jest następująca. Stary nie-

gdyś rotmistrz Huzarów Hans Bozen przeznacza córkę swoję Julją, dawnemu przyjacielowi, zostającemu teraz na kuracji u Augustynka. Okoliczność ta niewiele mówi za narzeczonym. Młoda Julja bardzo naturalnie przekłada młodego Karola Uhlena, który umiał zająć jej serce, lecz ojciec nieznający się na podobnych okolicznościach, jest nieubłaganym. Strwożona, ucieka do ciotki, a niezastawszy jej, postanawia szukać przytułku u konsyljarza Uihen stryja swojego kochanka, którego przeszłej zimy poznała. Konsyljarz jest to ów mąż podbity. Major brat jego przekłada mu jak jest rzeczą wstydliwą dać sobą tak powodować, i dla zrzucenia jarzma namawia go, ażeby bez pozwolenia żony poszedł z nim na obiad. Konsyljarz udając śmiałka, idzie żonie zapowiedzieć iż niebędzie w domu, lecz na jej widok odchodzi go męztwo tak że ledwo wykradłszy kapelusz, wraca do brata. Spostrzegłszy żona ten wybieg, dogania go, każe mu wracać i brata z niczem odprawia. Tymczasem Hans Bozen rozgniewany ucieczką córki, znalazłszy w jej stoliku listy od Karola Uhlena, bierze siostrzeńca za stryja, i biegnie wyzwać na pojedynek konsyljarza. Spotyka przededrzwiami Majora, który go na chwilę ułagadza, i na wino z sobą bierze. Autor przenosi nas teraz do mięszkania niezgodnego małżeństwa. Dowiedziała się konsyljarzowa że Julja ma znaleść schronienie w ich domu, przekonana że to są miłostki męża, po długich wyrzekaniach i groźbach, zakazuje mu jej przyjąć. Odchodzi; przybywa Julja, Konsyljarz nieśmie jej przyjąć do siebie, lecz obiecuje tajemnie stancją dla niej nająć. Podsłuchała ostatnich słów żona. Jej gniewy niemają granic, ale mąż niemogąc już znieść takiego poniżenia w przytomności obcej osoby, przemaga swoję słabość, i zapowiada że Julja zostanie u niego. Ledwo się pozbył żony, jużci nadciąga jeszcze większa burza. Powraca z Majorem Hans Bozen w zamiarze wyzwania konsyljarza. Szczęściem dla tego ostatniego, gdy się wszyscy aktorowie zejdą na scenę, rozwiązanie chybić niemoże. Major więc co już pozyskał łaski Majora, wyjaśnia rzecz całą, a gdy jeszcze nadeszła pożądana wiadomośc o śmierci starego narzeczonego, nic już nie

staje na przeszkodzie połączeniu Julji z Karolem. Ale Pani Konsyljarzowa niewie jeszcze o niczem, Major chce użyć tej okoliczności ażeby ją zupełnie poprawić. Z jego namowy Konsyljarz coraz śmielszy, rozkazuje jej przez służącego stawić się przed sobą. Tego rozkazu w istocie niedorzecznego, sprawiedliwie nieusłuchała. W tem sama zadzwoniła w swoim pokoju, Konsyljarz zapomniawszy się, chce biedz do niej, lecz wstrzymany przez Majora, służącemu nawet zakazuje ruszyć się z miejsca. Widząc się opuszczoną, wpada rozgniewana. Następuje długa scena groźb, żalów, a nareszcie i udanych mdłości, lecz gdy przy radzie Majora to wszystko nic niepomaga, udaje się do broni jedynie przyzwoitej kobiecie, do słodyczy i zrzeczenia się zbytecznej władzy. Dopełniona więc poprawa, i uroczysta zgoda następuje.

Sztuka ta mocno zajęła widzów, i tym większej godna zalety, że częsty śmiech który dawał się słyszeć, niebył wzbudzony, jak to często bywa przez nieprzystojne dwójznacznie i nadciągane koncepta, lecz przez sytuacje prawdziwie komiczne. P. Dmuszewski oddał pryncypalną rolę z wzorową dokładnością.

z Paryża.

Nieprzestają tu pisać o Napoleonie. P. Azais wydał nowe dzieło pod napisem Sąd Napoleona, z godłem: Chcemy zostać wolnemi, bądźmy sprawiedliwi.

Na Cyrku Olimpickim Frankoniego przez kilka tygodni wystawiano ciągle Śmierć Xięcia Józefa Poniatowskiego.

BELIZARJUSZ
Trajedja Pana Jouy.

Sztuki przystósowane do okoliczności współczesnych, lub mimo woli autora mające z niemi jakiekolwiek podobieństwo, wzbudzają w każdym narodzie największy zapał, który często jednakże bywa bardzo krotko trwałym. Niektóre sceny w Trajedji Belizarjusz, przypominające chwałę wojskową Napoleona, stały się powodem, iż Policja nietylko je wymazała, ale nareszcie całej sztuki grać zabroniła. Zasmucony tym zakazem nieopierającym się na żadnej słusznej przyczynie P. J o u y, wydrukował swoje dzieło, i odwołał się do sądu publiczności, czyli istotnie Belizarjusz zasłużył na wyrok tak surowy, a nadto w obszernej przedmowie rozsądnie wystawił niedogodności dowolnej Cenzury Teatralnej. Mając zamiar umieścić niektóte wyjątki z tej Trajedji, zdaje mi się potrzebą, w krótkości treść jej wystawić.

Belizarjusz oślepiony z rozkazu złośliwej Teodory żony Justynjana Cesarza, uchodzi do Tracji, gdzie się ukrywa żona jego Antonina i córka Eudoxja, z Marcjanem, Fokasem, Walerusem, tudzież innemi znakomitszemi wojownikami Rzymskiemi, których zgromadziła chęć zemszczenia się za okrucieństwo nad walecznym wodzem spełnione. Los sprzyja zamiarom oburzonych. Młody Telezys wódz Bulgarów przyjmuje ich z uniesieniem, ofiaruje rękę Eudoxji, i napada Państwo Rzymskie. Sam Justynjan idzie przeciwko niemu, lecz zręcznie w zasadzki wprowadzony, ponosi okropną klęskę. Tymczasem Belizarjusz szczęśliwie przybywa między swoich, a widząc upadek grożący ojczyznie, zwołuje przyjaciół, którzy się uzbroili przeciw Justynjanowi, i zapominając własnej krzywdy, sam idzie bronić Monarchy. Zwycięztwo nieopuszcza go i teraz, ale ostatni tryumf okupiony jest śmiercią bohatera. Umierający Belizarjusz przebacza Cesarzowi, uwalnia wziętego w niewolą Telezysa i oddaje mu rękę córki. Oto są niektóre wyjątki:

Akt Pierwszy.

SCENA I.

MARCJAN, LEON, WALERUS, FOKAS i inni Trybunowie wojskowi.

MARCJAN.

Jakaż zmiana Leonie, jakaż losu wolą,
Przywiodła nas w tej chwili na Tracii polą?

LEON.

Co do mnie, rok dziesiąty upływać zaczyna,
Jak na zawszem opuścił mury Konstantyna,
I stawszy się ofiarą panującej strony,
Porzuciłem bez żalu kraj uciemiężony.
Od dworu, od spodlonych współobywateli
Justyniana wyrok nazawsze mnie dzieli.
Lecz wy Belizarjusza towarzysze chwały,
Ty Marcianie jego przyjacielu stały,
Przebaczcie mi że smutnym przeczuciem się trwożę,
Cóż w głębi tej pustyni zgromadzać was może?

MARCJAN.

Nieszczęścia bohatera co się wiecznie wsławił,
Co pomścił się krzywd naszych i ojczyznę zbawił,
Który miłość wolności wyżej berła cenił,
Którego chwałą Rzymian wdzięczny naród mienił.

WALERUS.

Wsławiony z Gotów, Hunnów i Wandalów klęski,
W murach które zacieniał jego laur zwycięzki
Więźniem jest Belizarjusz; ziomkowie nieczuli
Szlachetne ręce jego w kajdany okuli.

LEON.

Takiż sromotny postępek! Co słyszę, o Boże?
Mamże wierzyć że Cezar tak się hańbić może!
I w dniach niebezpieczeństwa, w błędzie zaślepiony,
Utraca najdzielniejszą podporę korony.

MARCJAN.

W nim namowami zdrajców podejrzliwość wzrasta,
Ujarźmia jego starość okrutna niewiasta;
A na zgubę rycerza czuwająca zdradnie,
Teodora tej zmowy sprężynami władnie.

LEON.

Co słyszę! Teodora... z tylu zbrodni znana,
Sromotnym w Hipodromie posługom oddana,
Co koroną bezwstydne ozdobiwszy skronie,
Siadła z łoża setnika na Cezarów tronie.

MARCJAN.

Jej zręczne uleganie, jej dowcip, jej wdzięki,
Zdołały wydrzeć berło z słabej starca ręki.

Sam tylko Belizarjusz jej wpływ mógł przeważać,
I miłością narodu przemocy zagrażać.
Tem ściągnął jej nienawiść, godna jego żona
Swym rodem znamienita, cnotami wsławiona,
Dumna i niepodległa, obok Cesarzowy
Do czczych hołdów wyniosłej nieschyliła głowy.
Umyślono ich zgubę, chytra zbrodnia czuwa,
Wódz Bulgarów do Państwa granic się posuwa.
Wsparcia pogromcy Gotów daremnie wzywano,
Wbrew życzeniom żołnierzy Narsesa wysłano.
Z razu na jego stronę szczęście się przechyla,
Wtenczas dla Teodory przyszła zemsty chwila.
Narses z stronniki swemi jej zamiary wspiera,
I o zdradę ojczyzny wini bohatera.
„Ten — rzekli — co na Persów niechciał zasiąść tronie
„Chce ojczystą koroną otoczyć swe skronie.
„Zwalczywszy Gielimera, tak wielką miał śmiałość,
„Że Cesarską w tryumfie okazał wspaniałość;
„Już nawet Antonina ufna przyszłej chwale,
„Purpurę majestatu przywdziewa zuchwale."
Belizariusz milczy, nietrwoży go zdrada,
Swoim oskarżycielom wzgardą odpowiada.
Tem cesarz się obraża, wzmaga się nienawiść,
Szlachetne to milczenie zbrodnią mieni zawiść.
Nakoniec Teodora żądzą zemsty tchnąca,
Nieszczęsnego rycerza do więzienia wtrąca.

LEON.

I tę niesprawiedliwość cały naród dzielił!

Ani na taką zbrodnię powstać się ośmielił,
A wyrządzona cnocie tak wielka zniewaga,
Obrony nieprzyzywa, zemsty niewymaga.

WALERUS.

Zemsta minąć niemoże. Już się wojsko zbiera,
Już grozi, oburzone losem bohatera,
Już niektórzy wodzowie chroniąc się sromoty,
Oddane straży swojej opuszczają roty.
Wojsko co przyszłe losy ze wstrętem przegląda,
W boju na czele swoim Cezara mieć żąda.
On wiekiem obciążony, czyż wpośród żołnierzy,
Na tłumy barbarzyńców w Tracii uderzy?

FOKAS.

Czy w boju, czy w stolicy, nic go nieocali,
Cóż zdoła wstrzymać popęd tej gwałtownej fali,
Przeciw klęskom co zewsząd ojczyznę obarczą,
Belizariusz tylko ostatnią był tarczą.

LEON.

Rota zbiegłych żołnierzy w tem miejscu zebrana
Na wodzów tylko czeka by zwalczyć tyrana.
Idźcie za mną!

WALERUS.

Niezmienny przyjaciel rycerza,
Ważną nam tajemnicę Marcian powierza.

O wspólnych losach naszych niechaj on stanowi
A my posłuszni będziem jego rozkazowi.

LEON.

Opuszczam was, i chwili tak ważnej niezwlekam,
W Telezysa obozie odpowiedzi czekam.
(odchodzi)

SCENA II.

MARCJAN, WALERUS, FOKAS.

MARCJAN.

Znacie już przyjaciele nieszczęść naszych źrodło,
Wiecie co nas z stolicy w te miejsca przywiodło.
O nieba! jak okropną hańbę przypomniałem,
Więzy są największego z śmiertelnych podziałem!
Tego, co w długich latach świetnego zawodu
Obcych pogromcą, zbawcą był swego narodu,
Którego męztwem, Rzymian gasnąca już chwała,
Na nowo starodawnym blaskiem zajaśniała.
Zniewaga tego męża cały naród plami,
Nad nim ciężące więzy ciężą i nad nami.

FOKAS.

Skruszmy je Marcianie!

MARCJAN.

Naczelnik Bulgarów

Telezys już zagraża stolicy Cezarów.
Północ nieprzeliczone wyrodziła tłumy,
Dla przełamania Rzymian potęgi i dumy.
Telezys korzystając z kraju zamięszania,
Do naszych się nadziei i życzeń nakłania,
Chce służyć zemście naszej, wsparcia nam użyczyć,
Chce mężne roty nasze w wojsku swojem liczyć.

WALERUS.

Cóż nas może wstrzymywać?

MARCJAN.

Jeszcze pamiętamy
Że jesteśmy Rzymianie, że ojczyznę mamy.

FOKAS.

Niema dla nas ojczyzny.

MARCJAN.

Ta ją wskaże pora.
Dziś wszystko wam odkryję. Próżno Teodora,
Ściga Belizarjusza i córkę i żonę.
Przezemnie od jej ciosów były ocalone;
Między temi gruzami w jej przodków dziedzinie,
Pewne schronienie dałem nieszczęsnej rodzinie.

WALERUS.

Co! żona bohatera w tak nikczemnej chacie?

MARCJAN.

Jej serce, jej nienawiść, jej odwagę znacie,
Ja zdołam jej szlachetnym rządzić uniesieniem,
Lecz tylko losy nasze zapewnim milczeniem.
W stolicy mój posłaniec los jej męża śledzi,
Jak działać mamy, poznam z jego odpowiedzi,
Za chwilę Antonina w tem tu miejscu stanie.

WALERUS.

Będziem rozkazów twoich słuchać Marcianie,
Lecz pomnij że jej krzywdą każdy obrażony,
Gotów wszystko poświęcić dla wodza obrony.

Akt Trzeci.

SCENA VI.

BELIZARJUSZ, MARCJAN, WALERUS, FOKAS, żołnierze Rzymscy.

WALERUS.

Największego z śmiertelnych widziemy przed nami.

BELIZARJUSZ.

Mówcie! czy jestem jeszcze między Rzymianami?

FOKAS

Wodzu! czyż niepoznajesz głosu twych rodaków?

BELIZARJUSZ.

Może mi się z pewniejszych dacie poznać znaków.

WALERUS.

Niewątp, każdego serce wiernem ci zostanie.

BELIZARJUSZ.

Niewątpię, gdy mnie twoje zapewnia wyznanie.

WALERUS.

Tak jest, każdego zemsta z mą zemstą się zgadza.

FOKAS

Toż samo nas uczucie przy tobie zgromadza.
Rozkaż, pójdziem za tobą, a walcząc z Cesarzem
Złączonemi siłami zabójców ukarzem.

WALERUS.

Któżby zdołał ujrzawszy tę okropną zmianę...

BELIZARJUSZ.

Wyście tylko zmienieni, ja stałym zostanę.
Lecz w tym stanie, ścigany nienawiścią tronu,
Czy jestem waszym wodzem? powiedzcie.

WALERUS.

Do zgonu.

BELIZARJUSZ.

Czy ten głos poznajecie zmieniony cierpieniem,
Co was niegdyś zapalał ojczyzny imieniem?

WALERUS.

Krzywdzi nas ta wątpliwość.

FOKAS.

Rozkazuj nam Panie.

BELIZARJUSZ.

Prawo przewodniczenia przyjmuję, Rzymianie!
Na was jak na ostatnich obrońców spoglądam,
Ale waszej wierności zaręczenia żądam.
Jakkolwiek trudne dzieło wykonać zamierzę,
Że będziecie posłuszni, przysiążcie żołnierze!

WALERUS.

Przysięgamy na ciebie,

FOKAS.

Na Boga ołtarze,
Który krzywoprzysięzców srogą zemstą karze.

MARCJAN.

Każdy z nas jest za twoją sprawę uzbrojony.

Wszyscy.

Czegóż po nas wymagasz?

BELIZARJUSZ.

Wsparcia i obrony.

Wszyscy.

Gotowiśmy.

BELIZARJUSZ.

Więc brońcie Cezarów stolicy,
Niech przed orężem waszym pierzchną najezdnicy.
Słuchajcie! Z Kapitolu murów starodawnych,
Odzywają się do was cienie przodków sławnych,
Wy z ich krwi pochodzący, dziedzice ich męztwa,
Pomnijcie Neapolu, Rawenny zwycięztwa,
Pomnijcie na dzień, w którym Kartago zwalczona,
Po trzeci raz w swych murach widziała Scypjona.
Kiedyż to osobistą dotknięci urazą,
Obrońcy Rzymu mściwe wznosili żelazo,
W miłości swego kraju ci rycerze stali,
Walczyć tylko umieli, spisków nieknowali.
Wzmagało się ich męztwo w niebezpieczeństw chwili,
Zwyciężeni zwycięzcom groźniejszemi byli,
Do podobnej wielkości wasze dusze wznieście,

Patrzcie czem oni byli, patrzcie czem jesteście.
Konającej ojczyzny synowie wyrodni,
Imie moje jest tylko tarczą waszych zbrodni.
Straszny cios czyliż więcej was niż mnie uderzył?
Zemstę za krzywdy moje wamże ja powierzył?
I gdym przez lat trzydzieści chlubnego zawodu,
Zyskał imie bez skazy, i miłość narodu,
Teraz ojczyzny własnej mam być najezdnikiem,
I hordy barbarzyńców występnym wspólnikiem,
I za waszej wściekłości udawszy się radą,
I Cesarza i naród podłą zgubić zdradą?
Nie przyjaciele moi, nie, wy niemyślicie
Tak okropnym występkiem wasze shańbić życie.
Przysięgliście mi wszyscy, znacie moją stałość,
Chcę walczyć za Cesarza i za kraju całość,
Niewygasłą nienawiść barbarzyńcom chowam,
Te są życzenia moje, tym wiary dochowam.

WALERUS.

Ach! kogóż niepodbija twa szlachetna sprawa,
Mówi przez ciebie cnota, ojczyzna i sława.

FOKAS.

Widzisz jak sercem naszem słowo twoje włada,
Wyrzekłeś, zemsta kona, oręż z ręku pada.

BELIZARJUSZ.

Do większych cnót przysięga powołuje wasza.

WALERUS.

Niechaj twój wyrok świętą powinność ogłasza.

BELIZARJUSZ.

Idźcie, zbieszcie się wszyscy na pomoc ojczyznie,
Niewiele macie czasu! Po całej płaszczyznie
Wszystko pierżcha; od zguby nikt się nieuchroni,
W niebezpieczeństwie nawet sam Cesarz.

Wszyscy.

Do broni!

Życie
KAROLA ZANDA.

Niemasz człowieka któregoby życie obojętnem było dla rodu ludzkiego, i niezajmowało w sobie nauki albo przestrogi. Fanatyzm polityczny Zanda, wsławił imię jego w Europie, imie to należy do Historji czasu, nietrzeba więc milczeć o nim, osobliwie że sława jego, im więcej zastanawiamy się nad nią, tym mniej znajdować musi zazdrosnych,

przypuściwszy nawet, że słabość ludzka wszystkiemu co jest głośnem, hołd podziwienia wypłaca.

Karol Zand urodził się w jesieni roku 1795. w Wunsiedel. W pierwszej młodości niebezpiecznie zapadł na ospę. Długo pozbawiony był wzroku, i ledwo po kilku miesiącach ciężkich boleści przyszedł do życia którego już niemiał nadziei.

Odtąd ciągle słabowity, walczyć musiał w szóstym roku z niebezpieczniejszemi jeszcze chorobami; tak nieustanne bóle zaprawiły go od młodości do pogardy wszelkich cierpień cielesnych, ale zarazem opóźniły rozwinięcie władz umysłowych. Ukształcenie jego wymagało więc podwójnych usiłowań i wytrwałości. I tu przewyższył oczekiwania nauczycielów.

Słodycz i cierpliwość była koniecznym skutkiem doznanych cierpień, a żywe przejmowanie się tem wszystkiem cokolwiek jego krewnych lub przyjaciół dotyczyło, i zapał ku cnocie, zaszczytnie odznaczał jego harakter.

Odjazd wybornego nauczyciela, do którego całem sercem się przywiązał, ledwo niepomięszał spokojności jego umysłu. Nadaremnie ukrywał głęboką żałość. Troskliwi rodzice, pozwolili ulubionemu synowi udać się za godnym młodości jego przewodnikiem, przez co mocniejszym jeszcze stał

się piękny związek ucznia z nauczycielem, gdy ten miejsce rodziców zastąpił.

W domu tego zacnego męża zostawał Zand przez lat sześć, pod najtroskliwszym i najczulszym dozorem. Z rozszerzeniem wiadomości, rozwijały się coraz więcej piękne przymioty jego serca. Daleki od familji, rozciągnął miłość swoję na cały rodzaj ludzki, a najpierwej na ojczyznę.

Niedługo się wahał w obiorze stanu. Wśród nieszczęść które kolejno familją jego dotykały, wśród ucisków pod któremi jęczały Niemcy, przywykł jedyną pociechę i nadzieję zakładać w opatrzności Boskiej; niedziw więc iż niewidział piękniejszego powołania jak służyć powszechnemu dobru nauczaniem prawd religijnych.

Im bardziej szanował stan, który nad inne przekładał, tym staranniej sposobił się do niego. Pilność zyskiwała mu zawsze pierwszeństwo między współuczniami, słodycz i skromność zniewoliła ich przywiązanie.

Tymczasem ulubiony jego przewodnik, posunięty został na wyższy stopień, niemogąc go opuścić, przeniósł się do Ratyzbony. I tu przymioty jego zyskały przyjaźń wszystkich co go otaczali, a godzin wolnych nieprzestał poświęcać kształceniu młodszych współuczniów, gotując się tym sposo-

bem do godnego opowiadania ważniejszych jeszcze nauk.

W tym czasie zaczął się wzmagać duch wolności i podwoił w Zandzie miłość ojczyzny. Gdy w północnych Niemczech wszyscy zdatni do broni ciągnęli na pole bitwy przeciw potężnemu zwycięzcy, ożyła i w jego sercu chęć doświadczenia sił młodocianych w powszechnej sprawie. Ale polityczne położenie Bawarji i prośby nauczycieli, zniewoliły go do nieprzerwania nauk przygotowawczych, które dopiero w lecie roku 1814. zakończył. Okryty błogosławieństwem wszystkich znajomych, i z najchlubniejszemi świadectwami opuścił Ratyzbonę. Wysokie góry wolnej Szwajcarji i proste obyczaje tego ludu, podwójnie przyciągały go ku sobie. Odwiedził tam starszego brata, a resztę czasu spędził na podróżach, póki nienadszedł czas rozpoczęcia nauk w Tübingen.

Wkrótce pilny młodzian zjednał sobie przychylność nowych nauczycieli, o których zawsze z zapałem mówił. Wkrótce związał się ściślej z wielu współuczniami którzy w roku 1813. i 1814, walczyli za sprawę Niemiec, a przyjaźń z temi młodemi rycerzami, coraz mocniej w sercu jego obudzała zapał za wolnością.

Jak tylko N a p o l e o n opuścił Elbę, natychmiast z dziewiętnastu przyjaciołmi pospieszył Zand pod chorągwie wojsk sprzymierzonych. Smieli młodzieńcy przysięgli sobie niewrócić na ziemię ojczystą, póki wolność Niemiec zabezpieczoną nie zostanie. Niejeden z nich wywiązał się z przysięgi bohatyrską śmiercią na polach Fleurus i Waterloo.

Zand wyruszył z bataljonem ochotników Bawarskich, do którego się w Manhejmie zaciągnął. Opuszczając Tübingen napisał następujący list do rodziców:

Najdrożsi Rodzice!

„Do tego czasu byłem wam wierny i posłuszny. Z ochotą szedłem za radą waszą i radą cnotliwych nauczycieli. Niestygnąłem nigdy w gorliwości ażeby wychowanie które z waszej łaski odbieram, usposobiło mnie do świętego zamiaru opowiadania w ojczyznie słowa Bożego.

Stałem było każde moje przedsiewzięcie, przeto i teraz otwarcie wyznam com zamyślił, i spodziewam się że rodzice kochający syna, będą spokojni o los jego, że rodzice miłością kraju przejęci, pochwalą mój zamiar, ani będą chcieli odwodzić mnie od niego.

Ojczyzna wzywa po raz drugi, a teraz wzywa

i mnie. Gdy ostatnią razą szło o uwolnienie Niemiec, wierzcie mi, żem długo walczył z samym sobą, nim się wstrzymałem od dzielenia świętego boju, i dlatego jedynie nieprzerwałem spokojnych nauk, żem widział jak wielu starszych naszych braci krew przelewa dla szczęścia ludzi.

Teraz idzie o utrzymanie drogo okupionej wolności, której już tyle pięknych widziemy owoców. Najdobrotliwsza i najmędrsza Opatrzność, przeznaczyła dla nas tę wielką ale zapewne już ostatnią próbę, w której okazać potrzeba, czyli to najwyższe dobro z siłą i wytrwałością utrzymać zdołamy.

Niebezpieczeństwo Niemiec nigdy większem niebyło jak teraz. Niech więc powstaje młodzież Niemiecka, i okaże nieprzyjaciołom dawne męztwo! Niech ze wszystkich stron przybiegną najszlachetniejsi! Już północni Niemcy gromadzą się pod ojczyste chorągwie. Stany Wirtemberskie nalegają o pospolite ruszenie, zewsząd podnoszą się głosy wzywające na ochoczą walkę i śmierć za ojczyznę. I ja także poczytuję sobie za najświętszy obowiązek walczyć za wolność ojczyzny, za wolność wszystkiego co mi jest drogiem! a gdybyśmy ulegli przemocy; granice nasze ciałem własnem zasłonić. Gdybym w istocie niebył przejęty tem uczuciem, nieodzywał-

bym się z nim do was, ale wiem że wtenczas moi rodzice pogardziliby niegodnym synem."

Znam dobrze jaką czynię ofiarę odstępując ulubionej nauki, i oddając się dowództwu ludzi może nieukształconych, ale ta sama myśl wzmaga moje męztwo. Idę utwierdzić wolność Niemiec a wtenczas jeśli Bog pozwoli, wrócę do mojego powołania. Na ten więc tylko czas żegnam się z wami.

Bywajcie więc zdrowi! w zawodzie który obieram nieprzestanę nigdy słuchać waszych napomnień, wasz drogi obraz zawsze mnie otacza, a Boga mając w sercu, i w zgodzie z własnem sumieniem, wytrzymam trudy i niebezpieczeństwa świętej wojny. Wspominajcie o mnie w waszych modlitwach. Najwyższy nieodmówi wam pociechy. Jeśli otrzymamy zwycięztwo wkrótce zobaczymy się z sobą, gdyby, broń Boże inaczej się stało, natenczas zaklinam was, i to jest moją ostatnią wolą, nie mieszkajcie w ujarzmionym kraju.

Ale pocóż wzajemnie serce sobie obciążać! Nasza sprawa jest świętą, jest sprawiedliwą, i Bóg jest sprawiedliwy! Czemużbyśmy niemieli zwyciężyć. Niezatrważajcież mnie więc w listach waszych, których pragnę z całego serca.

Raz jeszcze, bywajcie zdrowi. Na każdy przypadek zobaczemy się w kraju wolniejszym!"

W czasie marszu wojskowego, Zand nieprzywykły do trudów, znosił wszelkie niewygody z męzką wytrwałością, nieprzyjmował żadnej ulgi w służbie którą mu przełożeni ofiarowali, owszem sam się poświęcał dla swoich współtowarzyszy. Po bratersku dzielił się z niemi wszystkiem, i nieraz brał na siebie tłómoczek zmordowanych. Tym sposobem zjednał sobie między niemi miłość i szacunek, którego jedynie używał na moralną ich poprawę.

Z świadectwem niezmordowanej gorliwości, rzadkiej przytomności umysłu, i najprzykładniejszego postępowania, opuścił Zand po przywróceniu pokoju szeregi wojenne, i znowu z gorliwością oddał się wyższym naukom w Erlangen.

Zasiłki jakich mu familja udzielać mogła, wystarczały ledwo na konieczne potrzeby, jednakże i temi szczupłemi dochodami dzielił się z uboższym przyjacielem.

Największem nieszczęściem które Zanda dotknęło w Erlangen, była śmierć Dytmara najścislejszego jego przyjaciela. Niemogąc dłużej pozostać na miejscu które mu przypominało tak wielką stratę, przeniósł się do Jeny. Zywe wyobrażenia panujące na tem uniwersytecie, i związek z towarzyszami jednakowo myślącemi, uprzyjemniły mu ten pobyt.

Przy końcu roku 1817. z powodu familijnej uroczystości odwiedził rodziców; od tego czasu niebył w domu, bo postanowił tylko jak mąż dojrzały wrócić do swoich. Wolny czas poświęcił znowu na zwiedzenie rozmaitych okolic Niemiec, jako to: Bawarji, Szwabów, Saxonji, Turyngji. Publiczne pisma zapewniają, że wszędzie zjednał sobie szacunek i przychylność.

Zdaje się, że wyższa władza zachowała go w wielu niebezpieczeństwach. Dzieckiem będąc, skoczył w staw na ratunek młodszemu dziecięciu, i szczęśliwie wyniósł je na brzeg. Gry wojenne były dla niego od pierwszej młodości najmilszą zabawką. Z kilku towarzyszami kazał się raz zamknąć w ruinach starego zamku; część daleko liczniejsza dobywać miała tej twierdzy. Po długiej walce gdy oblężeni niemogąc odeprzeć zwycięzców, już się im poddawali, skoczył śmiały Zand przez okno z trzeciego piętra, i uszedł niewoli. Przed domem rodziców lekko zraniony został cegłą z dachu spadającą. W tym prawie czasie, przejechał go sześciokonny pojazd Xięcia Koburga, i bynajmniej nieuszkodził.

Wspomnieliśmy wyżej że miłość wolności poprowadziła Zanda pierwszy raz do Manhejmu, kieby szedł się zaciągnąć w szeregi obrońcow Niemiec,

pewno i wtenczas powodowało nim nie inne uczucie, kiedy do tego samego miasta niósł sztylet Kotzebüemu przeznaczony. Ale jaka różnica obudwóch czynności! Pierwszą zyskał sobie chwałę godnego syna ojczyzny, drugą splamił niewinne życie, zasługując na ohydne imie zabójcy. Dopełniając tego przestępstwa, Zand w jednej chwili więcej zaszkodził sprawie wolności niż Kotzebúe przez całe życie. Jak wielka nauka dla każdego co przy najlepszych chęciach umiarkowania znać niechce!

LITERATURA i SZTUKI.

TEATR NARODOWY.

Edward Stuard w Szkocji Dramma wznowiona. *Edward* po przegranej pod Kunlohden straciwszy wszelkie nadzieje, uchodzi do północnej Szkocji, lecz krok w krok ścigany przez zwycięzców Anglikow, ledwo ma czas schronić się do jednej z wysp pobrzeżnych, gdzie swoje imie i nieszczęścia odkrywa żonie Lorda *Athol.* Ledwo tu uzyskał nadzieję przytułku, jużci przybywa za nim Angielski Jenerał *Argil.* Pomięszana żona Lorda *Athol,* udaje *Edwarda* za nieprzytomnego męża.

Tym sposobem ukrywa się Pretendent, i zasiada do uczty z nieprzyjacielskiemi Oficerami; ale nie długo był spokojnym. Zolnierze Angielscy chwytają i sprowadzają nieznajomego co się udawał za Lor-

da *Athol*, i odwoływał do świadectwa żony. Ta, lubo poznaje męża, oświadcza jednak iż to jest człowiek zupełnie obcy, bo wyznanie prawdy zdradziłoby nieszczęśliwego gościa. Na to niespodziane przyjęcie zdumiewa się *Athol*, ale poznawszy *Edwarda* który mu niegdyś życie zachował, przestaje się gniewać, owszem sam popiera wybieg żony. Tymczasem *Edward* uchodzi tajemnie łódką do krążącej nad brzegiem flotty Francuzkiej, a żona Lorda *Athol* odkrywa całą tajemnicę przybyłemu Xięciu *Kumberlandowi*, który nieobraża się wcale uchronieniem nieprzyjaciela, ale nawet oddaje pochwały tak pięknemu poświęceniu się w sprawie nieszczęśliwego. Ta Dramma byłaby jedną z lepszych gdyby występujący w niej role umieli. Panu *Zielińskiemu* oddać należy sprawiedliwość, iż na tem widowisku był wzorem dla wszystkich.

Z Paryża.

Mimo wszelkich usiłowań śpiewaków i muzyki, znakomita córka Alexandra Wielkiego, równie jest nieszczęśliwą w operze, jak niegdyś w Macedonji po śmierci ojca swojego. Każde wystawienie *Olimpji* jest nową stratą, bo podpada chorobie nieuleczonej, nudzi.

W ciągu roku 1819 grano 134. sztuk nowych; 2 na operze, 9. na Teatrze Francuzkiem, 6. na Odeonie, 11. na Feydeau, 8. na Teatrze Włoskim, 27. na Teatrze Variétés, 9. na Teatrze l'Ambigu Comique, 10. na Teatrze la Gaité, 6. w Cyrku Frankoniego, 22. w Teatrze la Porte *St.* Martin.

Policja zakazała Trajedji *Tyberjusz* której Autorem jest Chenier. Komedja *Pochlebca* przyjętą została z licznemi oklaskami. Muzyka przyjemna i żywa, zapewniła *Rywalom wiejskim* jaknajlepsze powodzenie na Teatrze Feydeau. *Komedjanci*, sztuka Kazimierza Lavigne po niezliczonych reprezentacjach w Odeonie, odpoczywa teraz dla słabości Panny Delia. Panna Georges podróżuje po kraju. Pani *Fodor* uznana za najlepszą z Włoskich i Francuzkich śpiewaczek, otrzymała nowy laur *w Spiewaczkach wiejskich*. *Grzegorz w Tunis* jest niezgorszą sztuczką i rozweseia Amatorów Teatru Ambigu-Comique po łzach które wycisnął nieszczęśliwy *Calas*. Teatra Variétés i Porte *St.* Martin wystąpiły z *Wizytami Momusa* i *Kolendą mimo chęci*. W ciągu całego roku 1819 wiele było upadków, jednakże Amatorowie Teatru mienią go bardzo szczęśliwym, gdy wydał *Nieszpory Sycylijskie*, *Joannę d'Arc*, i *Ludwika IX*.

SERWILJA do BRUTUSA po śmierci Cezara. (*)

Heroida z francuzkiego Pana de la Harpe przełożona przez Jana Zawadzkiego.

Więc ty Rzym sądzisz wolnym, że Cezar legł w grobie,
Mniemasz, że Rzym zna zbawcę, zna mściciela w tobie;
Zakrwawiwszy twój oręż w pośrodku Senatu,
Mordem chcesz imie twoje znanem czynić światu.
Zgon okropny Cezara początkiem twej sławie,
On ci zwycięzca, życie ocalił łaskawie,
Ty mu własne wydzierasz; kochał cię, twe dłonie
Miecz mu za dobrodziejstwa utopiły w łonie.
Gdy umysł tak wysoko niewdzięczność ocenia,
Brutusie, z ojcobójcy uciesz się imienia!

(*) Heroida ta napisana z powodu uczynionego przez Akademją w Marsylji zapytania: „Czyli zabójstwo Cezara przyniosło jakie dla Rzymu korzyści?" przez tąż Akademją uwieńczoną została. Autor użył w niej powszechnie znanej wieści jakoby Brutus miał być synem Cezara.

Ten jeszcze tobie zaszczyt, ta wysoka chwała,
Ta jeszcze sercu twemu cnota brakowała.
Znaj skrytość której możesz z rospaczy mej dociec,
Znaj morderco Cezara, że Cezar twój ociec.

Tę straszną tajemnicę żal z serca wytłoczył,
Krew ta wydała ciebie, i tyś ją wytoczył.
Okropność zbrodni twojej mnie także dotyka,
Sądzę się być wspólniczką śmierci wojownika.
Własną, pragnę przebłagać zagniewane nieba,
Tej ci jeszcze dla Rzymu ofiary potrzeba.
Umiesz czucie przytłumiać w twem sercu zbrodniczem
Niczem głos przyrodzenia, związek krwi ci niczem.
Inne zatem przedmioty napełnią cię trwogą.
Zuchwały! żeś raz srogi, ręką zadał srogą
Mniemasz, że całość Państwa dziełem twojem będzie,
Ah poznaj w jak nieszczęsnym zostawałeś błędzie,
Drżyj żeś całej ludzkości ciężkie zadał rany,
Ani służąc krajowi, ani mszcząc Rzymiany.
Wolność była twą żądzą, wolność twą nadzieją,
Lecz chociaż Cezar zginął, tyrany istnieją,
Tylko ci za okropne mordu wykonanie,
Hańba nieużytecznej zbrodni pozostanie.
Niech zapał nierozważny słowa me rozbroją,
Pragnę oświecić ciebie, to jest zemstą moją.

Dumny obywatelu! zkądże to mniemanie
Że przez ciebie wolnemi zostaną Rzymianie,
Znane im męztwo przodków, cnota przodków znana,
I czyliż już po trzykroć niezmieniali Pana.

Lud ten, co przed Marjusza czołgał się obliczem,
Obarczony haniebnie jarzmem niewolniczem,
Co łącząc gnuśność z trwogą, nikczemność z niesławą,
Całował kata swego Sylli, rękę krwawą.
Lub co zbrodniczy, podły i dziki zarazem,
Za srogim okrutnego tyrana rozkazem,
Niesyty mordów, dłonie krwią braterską rosił,
I na kolanach wściekłość przedajną wynosił,
Lud ten odpowiedz, lud ten mógłże krzywdą sądzić,
Że Cezar zwyciężywszy jak ojciec chciał rządzić,
Miałże myśl, miałże prawo żądać losu zmiany?
Jeśliś został od kilku przyjaciół wspierany,
Co nienawidząc prawo, drżeli przed Cezarem,
Byłoż to wszystkich Rzymian chęcią i zamiarem?
Czyliż cię głos powszechny do zemsty powołał?
Co mówię, ich wściekłości zaledwieś ujść zdołał.
Cezar zabity znalazł tysiące mścicieli,
Na grobie Pana swego Rzymianie łzy leli,
Oto rzeczpospolita, oto lud twój sławny,
A ty chcesz w nim obudzić zapał cnoty dawny;
Tę miłość do wolności ojczyzny i prawa,
Którą wielkość i zbytnia przytłumiła sława,
Mylisz się, ci co chciwość krwią ludów poili,
Ujarżmiając Monarchów, siebie ujarżmili.
Zwycięztwo ziemi, zgubą zwycięzcom się staje.
Wolności, o mój synu tarczą obyczaje,
Niejest ona już w Rzymie, i niebędzie znana.

A tyś niechciał, okrutny! zostawić za Pana
Rycerza, co kraj radą i orężem wspierał,
Co byłby równą Bogom niegdyś cześć odbierał.
Gdy człowiek sprawiedliwy w niewinnej prostocie,
Składał hołd gieniuszom, zasługom i cnocie,
Mów, niewidzisz wtem postać Cezara wyrytą,
Bydź może że me serce czuje roskosz skrytą,
Kreśląc męża co pierwszą miłość wnim obudził,
Bydź może, że me oczy pozorny blask złudził,
Bydź może nieostrożne serce w przepaść biegło,
Razem z uległym światem z ochotą uległo.
Któż był jego godniejszym? dzielny, mężny, smiały,
Wojownik niezrównany, zwycięzca wspaniały!
Świat, dla którego szczęścia starania nieskąpił,
I waleczności jego, i cnotom ustąpił.
Łaskami nieprzyjaznych rozbrajał niechęci,
Tak jest, niemożesz srogi, wyzuć go z pamięci,
Będziesz sobie wyrzucać wgłębi serca skrycie,
Że zwycięzca łaskawie ocalił ci życie,
I że szczędząc krwi twojej wśród oręża szczęku,
Broń morderczą wytrącił żołnierzowi z ręku,
Że gdy wszystkich odwagą niestrwożoną zdumiał,
Umiał walczyć, zwyciężać, lecz mścić się nieumiał,
Rzym, świat cały wraz zemną świadkiem mu w tem stawa.
Ah! gdybybył nierządził przez odwagi prawa,
Jego dobroć, cnót jego czarująca siła,
I sercami by władła i Rzym ujarżmiła. —

I jakąż kraj nagrodę wściekłości twej przyzna?
Nieszczęśliwy, przez ciebie wtrąconą ojczyzna
W okropne walk domowych, mordów bratnich tonie,
Przyjaciele Cezara mściwe wzniosą dłonie,
Chciwiby jego wielkość, tron jego posiedli,
Krwawe o tę dziedzinę spory będą wiedli,
Wnet przejdą między sobą, o łupy niezgodni
Z morderstwa do morderstwa, od zbrodni do zbrodni.
Duma, nienawiść, srogość i niezgoda wściekła,
Krwi chciwa zemsta, z głębi wydobyte piekła,
Rzym razem szarpać będą, otworzą mu żyły,
Aby się jeszcze resztą krwi jego poiły.
Czy Antonjusz co męztwa liczne dał dowody,
Czy mniemasz że ów Lepid, ów Oktawjusz młody
Co się dziś jako dziedzic Cezara nadyma,
I co imie tak świetne z godnością utrzyma,
Ci Rzymianie ku którym pomyślność się skłania,
Przeniosą wolność ziomków, nad chęć panowania?
Że pospolite dobro mieć będą na pieczy?
Czy także ich zuchwałość ręka twa zniweczy,
Czy koniec ich obszernym zamiarom zakryśli?
Co mówię! skutki zemsty miałżeś sam na myśli,
Jestżeś pewny stronnictwa, co zniweczyć zdoła
Wrogów, otaczających ojczyznę do koła,
Co wszystkich gnębicieli czarną krew wytoczy,
Przywróci równowagę, widoki zjednoczy,

A gdy to w szczupłem gronie już teraz się chwieje,
Jakież były twe żądze, jakie twe nadzieje?
Cóż wreście twym przedmiotem? mord nieużyteczny.
Przed nieszczęsną twą zemstą Rzym wolny, bespieczny,
Odpoczął po swych klęskach, po wojennym znoju,
Pod prawem bohatera, na łonie pokoju,
Począł używać szczęścia pod walecznym mężem,
Gaul dzielnym wcielony do kraju orężem,
I Afryka, i ludy dalekiego wschodu,
Uznały panowanie Rzymskiego narodu.
Swietne zwycięztwa jego blasku wam dodały,
Więzy wasze wieńcami przyozdobił chwały,
Rządząc Rzymem, był jego tarczą i podporą,
Umilkł przed nim duch spisków z głęboką pokorą.
Lecz wnet wybuchnie stronnictw wściekłość niewstrzymana,
Stu tyranów powstanie za jednego Pana.
Gdy was nieszczęście zgnębi, gdy jarżmo przygniecie,
Jęcząc pod niemi, płakać Cezara będziecie.
Znajdziecie i zwycięzców i ujarżmicieli,
Którzy będą i niszczyć, i mścić sie umieli.
Ciebie nawet Brutusie dumny Rzymianinie,
Czyliż wśród tylu nieszczęść srogi los ominie?
Niebo wzywam za świadka, jeszcze gniewne modły
Tkliwego matki twojej serca nieuwiodły.
To serce pełne męża coś go zabił, srogi!
Jeszcze o krwawą zemstę nieblagalo Bogi.

A chociaż je nieszczęście i boleść przytłacza,
Naśladując Cezara, jak Cezar przebacza.
Lecz jeśli śmiem na przyszłość moje zwrócić oczy,
Iluż naprzeciw tobie wrogów się zjednoczy,
Długoż im męztwo twoje opierać się będzie,
Synu, krwawa nienawiść doścignie cię wszędzie.
Surowość twoja budzi powszechne niechęci,
A kto będzie chciał rządzić, Brutusa poświęci.
Cnota twoja ofiarą ścigań tylu padnie,
Wśród rozdziału umysłów który Rzymem władnie,
Wierzaj mi, wolność twoich współobywateli,
Mało znajdzie przyjaznych, wielu gnębicieli.
Może kiedyś niestety, zostawszy ich łupem,
Konający, do koła otoczony trupem,
Usłyszysz przerażony, wybladły i drżący,
Cień wielkiego Cezara przy tobie jęczący,
Może natenczas wreście dusza nieostrożna,
Pozna swe omamienie, srogi błąd swoj pozna,
Może rzekniesz, klęsk w sobie uznając przyczynę:
Zabiłem bohatera, przez tyranów ginę!

Ten, co sławny mądrością, sławny swemi czyny,
Którego ty za przykład obierasz jedyny,
Brat mój, mędrszy, szczęśliwszej doznawając doli,
Ni zwycięzcy, ni Pana nieuznając woli,
Zachowując swą sławę, zachowując męztwo,
Znalazł ucieczkę w zgonie, straciwszy zwycięztwo.
Niemógł sprzecznym wyrokom przeznaczenia stronić
I wolność ktorej dłużej niezdołał obronić,
I gdy jej święty płomień w Rzymie się przytłumiał,

Umrzeć mężnie umiejąc, zachować ją umiał;
Niedostępny podłości, niedostępny zdradzie,
Niezabijałby męża bezbronnego w radzie.
Ale wierny Rzymianom, klęską niezachwiany,
Gdy widział Cezarowi świat cały oddany,
Wypłaciwszy się wtenczas Rzymowi i ziemi,
Zarządzając i życiem i losami swemi
Katon stały, spokojny, oddany sam sobie,
Nagrody cnoty swojej poszedł szukać w grobie.
Jako siostra, powinnam w ślady jego bieżyć,
Dosyć mi żem Cezara potrafiła przeżyć.
Oczy me, oczy długą znękane rozpaczą,
Przyszłych przynajmniej nieszczęść twoih niezobaczą.
Lecz napróżno przeczucia oddalić chcę wieszcze,
Obraz ich, konającą wszędzie ściga jeszcze.
Brutus, rozpaczy mojej, Cezar, łez przyczyna,
Umieram przerażona, drżąc o mego syna.
Umieram, Rzym wraz z tobą budzi me jęczenia.
O Brutusie! Cezarze! bohatera cienia!
O Rzymianie! Romula nieszczęśliwe plemię,
Czyś niedosyć klęskami obarczyło ziemię?
Chceszli i przeciw sobie zgubne zwrócić ciosy,
Synu mój! państwu temu nasze grożą losy,
Obyś ich nieznał, obym jęczała daremnie,
I obyś niebył kiedyś nędzniejszym odemnie.

NIEWOLA w AFRYCE
Piotra Dúmont. (*)

Piotr Dúmont urodzony w Paryżu roku 1766. mając lat dwanaście, opuścił dom rodzicielski, a przyjąwszy służbę u oficera Marynarki, udał się z nim na wyprawę przeciw Gibraltarowi. W Listopadzie 1782. w Hiszpańskim porcie Alkażyr wsiadł na okręt Francuzki; tegoż samego wieczora powstała mocna burza, i skołatany statek wyrzuciła na Afrykańskie wybrzeże między Algierem a Oranem. Sześćdziesiąt osób utonęło, ośmdziesiąt sześć dostało się do lądu, ale natychmiast napadli na nich Kubalowie, pokolenie Arabskie.

„Zupełnie bezbronni -- tak mówi sam Dúmont -- najmniejszego oporu dać niemogliśmy. Dzika horda rżnęła nas jak podłe bydlęta, a złupiwszy ze wszystkiego, spiesznie się oddaliła. Każdy ktokolwiek pozostał przy życiu, mniej więcej ciężką odniósł ranę, ja pchnięty byłem w bok dzidą,

(*) Okoliczności te wyjęte są z wydanej w Paryżu przez samego Dumont Historji jego niewoli. Zdaje mi się że sama okropność czyni je godnemi wiadomości publicznej.

a w nogę postrzelony. Ale nietu kres naszych nieszczęść. Ze świtem powrócili Kubalowie. Skrępowali nam w tył ręce, nas zaś samych przywiązali do końskich ogonów.

Wielu z mych towarzyszów niewytrzymało tylu boleści i trudów. Pędzono nas przez sześć nocy, a we dnie trzymano w lasach z obawy innych Arabów którzyby zapewne pokusili się o tak wielką zdobycz. Trochę wody i chleba utrzymywało nasze nędzne życie, za każdym krokiem otwierały się rany, które zsiadła krew na chwilę zamknęła. Wreście przybyliśmy do góry Felix, siedliska Szeika Osmana.

Stawiono nas przed nim. Gdy usłyszał żeśmy Francuzi: „Fruncuzi! -- zawołał -- bez czci i wiary! wszystkich do kajdan!" ten rozkaz wypełniono natychmiast. Kulałem na nogę, cały byłem napuchły, towarzysze moi równie cierpieli; w kilka godzin trzech umarło. Obdarto nas do naga, przepasano wełnianym fartuchem i parami przykuto na łańcuchy dziesięć stóp długie, a sześćdziesiąt funtów ciężkie. Jeden koniec takich łańcuchów przymocowany jest do nogi jednego, drugi do nogi drugiego niewolnika; tak więc oba nieszczęśliwi na zawsze są nierozdzielni, póki który z nich nieumrze, a inny go niezastąpi. W tym stanie za-

prowadzono nas o pół mili od mięszkania Szeika do domu niewolników. W tym budynku trzymają dwa tysiące nieszczęśliwych; mury są do czterdziestu stóp wysokie, ośm stóp grube, dach niski drewniany a za podłogę ziemia z wapnem ubita. Pomimo licznych okien kratami opatrzonych, budynek jest bardzo ciemny, a okna tak niskie, że co noc lwy i inne drapieżne zwierzęta ryczały i dobywały się przez nie, aż nam włosy wstawały na głowie.

Na murach do koła znajdowały się mięszkania naszych strażników; izb takich było sześćdziesiąt, a w każdej piętnastu ludzi; wchodzili do nich po drabinach i utrzymywali ciągły ogień do fajek i kawy. Zawsze zbrojni, strzelają nieraz grubą solą na niewolników niespokojnie się sprawujących i kolejno wołają: „Baczność na Chrześcjan!" W środku zabudowania w kilkuset skórach wołowych zachowana jest woda.

Za naszym przybyciem cieszyli się niewolnicy że nowych dostali towarzyszów. Strażnicy przymocowali kajdany nasze do ściany, dali nam wiązkę słomy na posłanie, kamień pod głowę, i pozwolenie spania. Obudziwszy się rano, jak straszny widok nas uderzył! Dwa tysiące okropnych postaci, nagich, nieczystych, pokrwawionych, dwoma rzędami

przykutych do ściany, zaczęło pić wodę z czaszek ludzkich.

Mimo ciężkich ran, musiałem z drugiemi o szóstej godzinie z rana iść do roboty, otrzymawszy na żywność całodzienną trzy kukuruze, które na mąkę utarte jedzą z wodą jeżeli jej dostać można. Bez innego posiłku, cały dzień ciągnąłem pług, a w wieczor trudami znękany, biczem pocięty, poprowadzony zostałem do domu niewolników. Cierpiałem mocno na nogę w której kula utkwiła, a dla ulżenia boleści, tępym nożem sam sobie musiałem ją wyrzynać.

Pomiędzy niewolnikami są i starcy, którzy już do cięższej pracy niezdolni, przeznaczają się na domowe posługi. Tych los jeszcze jest smutniejszym. Skoro wiek resztę ztarganych sił doniszczy, natychmiast są rozstrzelani, ciała porzucone dzikim zwierzętom, a czaszki przez współniewolników obrócone na naczynia do picia. Kto się dopuści samobójstwa, tego zrzucają z wysokiej góry, a najbliższych sąsiadów karzą niemiłosiernie za dopuszczenie mu tego występku. Młody Włoch przykuty do jednego ze mną łańcucha, powiesił się, chociaż mu przeszkadzałem całemi siłami dla uniknienia kary która mnie nazajutrz spotkała. Drugi mój towarzysz zachorował i został rozstrzelany. Czaska jego służyła mi przez lat

czternaście. Przywiózłem ją z sobą do Marsylji. Rozstrzelano podobnież jego następcę; w ogóle przetrzymałem trzydziestu i dwóch.

Niewolnicy wstają o szóstej z rana; jedni pracują w ogrodzie Szeika, drudzy rąbią drzewo, inni wreście ciągną pług. Nieraz pędzono nas pięć do sześciu godzin, nimeśmy stanęli na miejscu, gdzie po siedm par niewolników zaprzągano do jednego pługa. Szerokie koło Kubalów otaczało nas, nietak dla pilnowania od ucieczki która w tych stronach jest niepodobną, jako raczej dla bronienia od dzikich zwierząt. Mimo tego jeden z moich towarzyszów oddaliwszy się na kilka kroków, został w oczach naszych pożarty przez lwa, którego potem strażnicy nasi już zapóźno ubili.

Najprzyjemniejsze dla nas były te chwile, kiedy strażnicy podług obrzędów Machometańskich odprawiali modlitwy. Wtenczas z największym pośpiechem chwytaliśmy naokoło to wszystko cokolwiek zjeść się dało, i tym jedynie sposobem utrzymywaliśmy nędzne życie, inaczej albowiem, któżby przy trzech kukuruzach na dzień nieumarł z głodu? Pewnego dnia szczęśliwym trafem porwałem owcę. Ta zdobycz wystarczyła na dni ośm mnie i pięciu najbliższym moim towarzyszom. Przekręciliśmy jej łeb do góry w braku ostrego narzędzia do pode-

rżnięcia szyi, i rozerwaliśmy na sztuki, nieuważając na bicze któremi strażnicy nieustannie nas okładali. Strumieniem lała się krew z ciał naszych; Kubalowie brali ją na palce i lizając powtarzali z dziką radością: „Jak słodka jest krew Chrześcjan!"

Przy pracy, cierpieliśmy nieznośny głód, pragnienie i upał; dla ochłody okrywaliśmy głowy liściem, a ciało własnemi brodami, mało jednakże pomagała ta zasłona, a skóra nasza stała się ciemno brunatną. Często znajdowaliśmy na drodze resztki dzika lub niedźwiedzia rozdartego przez lwa, i prosili o pozwolenie zjedzenia ich. „Zryj psie Chrześcjański." zwykła była odpowiedź, a natenczas dobijaliśmy się o krwawą zdobycz. Ale nic niewyrówna okropności pożaru który wybuchnął w domu niewolników. Włosy i brody nasze zajęły się, wodę co nas miała ochładzać użyto do gaszenia, wśród dymu i płomieni z rozpaczy gryźliśmy łańcuchy, bo dla zapobieżenia nieporządkowi niechciano nas wypuścić.

Łatwo pojąć że takie postępowanie pozbawiło nas wszelkiego czucia. Skóra na rękach naszych tak stwardniała, żeśmy ledwo do połowy palce zginać mogli. Podeszwy były jak z rogu do trzech cali grube. Strażnicy wywierali najwięcej okrucieństw na niewolników słabowitych i niewytrzymałych.

Śmiałość moja i udana nieczułość, zachowała mnie od wielu przykrości. Xiążę Marokański który przybył w te okolice, zastał nas przy robocie; za namową mych towarzyszów, padłem mu do nóg i prosiłem o jaki datek; z początku okazał się bardzo nieprzyjaznym, osobliwie gdy się dowiedział żem był Francuzem, później jednak darował nam sto dukatów.

Strażnicy nasi mieli dwóch dowódzców, starszy zowie się Baszą; rozrządza życiem i śmiercią podwładnych, a na swoje usprawiedliwienie powinien tylko Szeikowi okazać głowę zabitego. Nieprzyjeżdzał do nas jak pięć lub sześć razy do roku, ale za każdym razem wyświadczył jaką łaskę. Drugi dowódzca zowie się Kail, i ma bezpośredni dozór nad domem niewolników. Ten Kail z zwyczajnemi groźbami chciał mi zaraz wydrzeć podarunek Xięcia, lecz niezważając na niego, podzieliłem się zaraz całą summą z moimi towarzyszami. Gniew Kaila doszedł do najwyższego stopnia, lecz im bardziej się srożył, tym mocniejszy był mój upór. --- Okrutnik katował mnie do krwi codziennie, za najmniejszą okolicznością. Rok cały wytrzymałem tyle srogości, ale już byłem bliskim śmierci, wpadałem nieraz w szaleństwo, gryzłem, drapałem, ktokolwiek mi się nawinał. Wreście postanowiłem za-

kończyć tyle cierpień moją śmiercią ale i śmiercią Kaila. Nazajutrz skoro wyszedłem do pracy, uderzony zostałem w bok tak mocno, że na chwilę straciłem wszelką przytomność; przyszedłszy do siebie, porwałem kamień, trafiłem w oko Kaila, i rzuciwszy się na niego jak tygrys, zębami szarpać go zacząłem. Ledwo mnie strażnicy oderwać mogli i obronić swego dowódzcę. Natychmiast położono mnie na muła, nogi i ręce przywiązano pod jego brzuchem, i przy nieustannych cięciach zawieziono do mięszkania Szeika, gdzie prawie nieżywy przybyłem.

Rozwiązano mnie i rzucono na ziemię. Szeik Osman zapytał się dlaczego tak znieważyłem mojego strażnika? W imie Proroka i jego prawa prosiłem o pozwolenie mówienia, a otrzymawszy je, opowiedziałem rzecz całą, dodając przy końcu, że Xiąże darował mi pieniądze dla chwały Machometa, a że Kail oświadczył, że niestoi wcale o chwałę Machometa, ale tylko o pieniądze. „Którą ręką rzuciłeś kamień?" zapytał się Szeik. Po krótkim namyśle odpowiedziałem: „Lewą." Natychmiast kazał ją Osman przywiązać dłonią do góry, i bić blisko pół godziny. Puszczono mnie potem, lecz ręka już na zawsze była skaleczona, ciało i żyły pocięte, kości połamane.

„Czy widzisz" -- rzekł Osman do Kaila -- jakem ukarał Chrześcjanina?" Kail podziękował mu za karę tak surową, i chwalił jego sprawiedliwość. Osman spojrzał gniewnym okiem: I ty -- krzyknął -- co nędzne złoto przenosisz nad Proroka, otrzymasz zasłużoną nagrodę!" W mgnieniu oka powieszony został Kail na najbliższym drzewie.

Mnie odprowadzono na miejsce, i osadzono przy kamieniu szlufierskim. Arabowie z okolic dowiedziawszy się o śmierci Kaila, chcąc mnie udręczyć, znosili nieustannie siekiery do ostrzenia. Całym ciężarem kładli się na kamieniu, ażeby mi obracanie utrudnić, deptali mnie nogami, popychali, a prawa ręka którą nieustannie pracować musiałem, nieraz mnie bardziej bolała, od skaleczonej lewej. Wtenczas tylko mógłem odpocząć, kiedy inni niewolnicy ostrzyli swoje narzędzia, bo zawsze jeden z nich mnie zastępował.

W rok nareście zgoiła się moja ręka, i znowu przeznaczony zostałem do pługa. Mój towarzysz ułatwiał mi pracę wszelkim sposobem, za co każdą zdobyczą dzieliłem się z nim po bratersku. Strażnicy także od śmierci Kaila mniej byli dla mnie okrutni, bo się bali o siebie. Każdy z nich jest odpowiedzialny za niewolnika sobie powierzonego, i w przypadku ucieczki bez wymówki ściętym

być musi. Kara śmierci wykonywa się takim sposobem: Winny klęka między dwoma Kubalami jeden przebija go w bok dzidą, i gdy ten głowę z bolu do góry podnosi, pałaszem mu ją drugi ucina.

Największa praca czekała nas wtenczas, kiedy Szeik swoje zboże chciał sprzedawać. Zboże to składane było w niezmiernych podziemnych dołach zwanych Matamory. Musieliśmy je wydobywać i przenosić o siedm mil, w worach ważących do stu czterdziestu funtów.

Niektórzy z niewolników dla ulżenia tylu cierpieniom, przechodzili na wiarę Machometańską. Uwalniano ich natychmiast, robiono strażnikami, dawano żony i sto dwadzieścia złotych miesięcznie. Los jednego Renegata który przestąpił prawo Machometa, napełnił nas wszystkich przestrachem. Ten nieszczęśliwy przez cztery lata wiernie pilnował Koranu, pewnego dnia dał się namówić, wypił kieliszek wódki, i żywcem został na pal wbity. Przez trzydzieści sześć godzin okropnych męczarni prosił nas na miłość Boską ażebyśmy go dobili, lecz ta przysługa pod karą śmierci była nam wzbronioną.

Często kiedy strażnicy byli w dobrym humorze, wołali mnie do siebie, kazali opowiadać com wi-

dział w podróży, dawali czasem chleba, kawy, i namawiali do przyjęcia ich religji. Wytrzymywałem ich jak mógłem, póki się nieznudzili, i na nowo nie rozpoczęli dawnych okrucieństw.

Pomiędzy niewolnikami znałem takich, którzy przeszło pół wieku przeżyli w tak okropnym stanie. I ja przez lat trzydzieści i trzy doznawałem najwyższej nędzy, straciłem już wszelką nadzieję wolności, gdy nadzwyczajny wypadek stargał moje więzy. Francuz zwany Manet od pięciu lat przyjął wiarę Machometa i imie Ali. Umiejąc robić proch, zjednał sobie wielką łaskę u Osmana, i żył jak najszczęśliwiej, póki mu ochota nieprzyszła zobaczyć żon Szeika. Osman złapał go na uczynku, lecz przez dobroć szczególniejszą, zmienił karę śmierci na tysiąc pięćset kijów w pięty. Wyzuł go potem ze wszystkich godności, zostawiwszy mu jednakże broń i konia.

W kilka miesięcy po tym wypadku, potrzeba zbliżyła znowu Alego do Osmana. Szeik ten chcąc napaść na Państwo Deja Algierskiego, powierzył Alemu tę tajemnicę, i zalecił razem przygotowanie prochu. Lecz mściwy Renegat uwiodłszy Pana swego najpiękniejszemi obietnicami, wsiadł pokryjomu na konia, dostał się szczęśliwie do Deja i odkrył mu zamiar Osmana. Dej zwołał

natychmiast Bejów Tytry i Oranu, i pociągnęli przeciw Kubalom. Z początku szczęście sprzyjało Osmanowi, lecz w drugiej bitwie synowie jego dostali się w ręce Beja Tytry. Zwycięzca już wydał rozkaz ażeby ich ścięto; ale później dał się ułagodzić i obiecał ich wymienić za pięćset niewolników Chrześcjańskich.

W skutku tej umowy, odesłano Bejowi 500 niewolników, między któremi i ja się znajdowałem. Zdjęto nam kajdany, ubrano i żywiono przez trzy miesiące niewyznaczywszy żadnej pracy. Co za radość! Wreście odesłano nas do Algieru. Stan nasz w tem mieście daleko był znośniejszym. Praca była lżejsza, mieliśmy nawet codziennie półgodziny wolności dla chodzenia do właściwego Konsula, i starania się przez niego o wykup i powrót do ojczyzny. Kto się jednak spóźnił i o piątej po południu na miejsce przeznaczone niewrócił, przykuty został na noc do pnia w podwórzu stojącego.

W czasie ośmiomiesięcznego mojego pobytu w Algierze, wszyscy Konsulowie Europejscy byli przez Deja w kajdany okuci. Kiedy albowiem Dej żąda nabyć jakiego sprzętu potrzebnego do arsenału, udaje się do najbogatszego żyda, a ten wskazuje mu Konsula, przez którego najłatwiej żądany przedmiot sprowadzić. Dej zaprasza zaraz do siebie Kon-

sula rzeczonego, częstuje go kawą i prosi żeby napisał do swego Rządu z prośbą o nadesłanie czego potrzeba. Konsul przyrzeka, lecz niemyśli dotrzymać, Dej oczekuje cierpliwie przybycia najpierwszego okrętu, a gdy wtenczas żądania jego niesą spełnione, wyrzuca Konsulowi oszukaństwo, i każe go wtrącić do więzienia. Tymczasem żyd sprowadza sprzęt pożądany, Dej przypisuje to staraniom Konsula, uwalnia go i hojnie wynagradza. Za mojej bytności żyd imieniem Bougignac, trudnił się tym przemysłem; zastrzelony został od Turka. Bagre był jego następcą. W sobotę po śmierci tego żyda, Turcy zamordowali czterystu jego współrodaków, a w piątek udusili i Deja, bo żydom sprzyjał. Ali-Adjali nastąpił po nim. Ten barbarzyniec własną ręką w dwóch dniach zabił ośmiu niewolników. Wkrótce też w kąpieli życie utracił. Następca jego równego doznał losu.

Wreście wybiła dla nas godzina wolności. Lord Exmouth stanął przed Algierem i żądał wydania sobie wszystkich niewolników Chrześcjańskich. W obawie buntu, kazał Dej nas wszystkich w liczbie 1510. okuć w kajdany i zamknąć w grocie na wysokiej górze. Z tego miejsca widzieliśmy całą bitwę morską, a wreście i spalenie flotty Tureckiej. Wściekłość strażników gorętszemi jeszcze czyniła

nasze modły o zwycięztwo dla wodza Angielskiego. Tymczasem minister Deja bez wiedzy pana swego kazał nas wszystkich wyciąć. Już trzydziesci i trzy głów padło, gdy nam wreście ogłoszono wolność zupełną. Nieuważając na ciężkie kajdany, przez ciernie i krzaki pędziliśmy na brzeg morski, gdzie nas szalupy Angielskie zabrały.

Któż opisze moje zadziwienie, gdym się na okręcie dowiedział o Rewolucji Francuzkiej? Niechciałem niczemu dać wiary pókim do Marsylji nieprzybył. Tu spotkałem się z dawnym towarzyszem nieszczęścia który razem zemną przez lat 18. był niewolnikiem. Pojechaliśmy do Lugdunu. Ztąd puściłem się do Paryża, dokąd przybyłem 24. Stycznia 1817. r. po trzydziestu i pięciu latach niebytności.

Moja ostatnia godzina.

Wiersz *Józefa Kochańskiego.*

Zwalczony namiętnością pod którą upadam,
Słabości mojej Boże, Tobie się spowiadam.
Racz spojrzeć na występnej miłości ofiarę,
Której chciałeś doświadczyć nad jej siły miarę.

Ze wstydem winowajcy wyznać mi przychodzi,
Że kocham tę, której mi kochać się niegodzi.
Uległem, nieodniósłszy ze zwycięztwa chluby,
Podbił całą moc duszy przeciwnik zbyt luby!

Kto poznał tę istotę, co z twórczej Twej ręki,
Otrzymała Niebianki postać, piękność, wdzięki,
W której złączyłeś wszystko co płeć jej zaszczyca,
Cześć winną Bóstwu wzbudza, zniewala, zachwyca,
Ten nawet przy pomocy twojego Anioła,
Potędze tylu ponęt oprzeć się niezdoła.
Cóż dopiero jeżeliś doświadczając kogo
Jak mnie, słodkiej przyjaźni zbliżył do niej drogą,
Przyjaźni, co tem więcej powabów nabywa,
Gdy się z łona piękności do duszy odzywa.

W chwilach zatrutych jadem tęsknoty i smutku,
Kiedym pociechy z nieba przyzywał bez skutku,
Kiedy pamięć draźniona przeszłości obrazem,
Oddalała spokojność i nadzieję razem,
Jej uśmiezh mi pociechę i spokojność wróżył,
A jam jej wstęp do serca z ufnością otworzył.
Lecz próżno się pozorem przyjaźni ten łudzi,
W kim ujmująca piękność chęć przychylną wzbudzi.
Złudzenie kierowało serca mego stanem,
Przyjaźń w niem tylko gościem, a miłość tyranem.
Ona to rozogniwszy te czucia łagodne,
Które dotąd swobodnej duszy były godne,
Zamieniła je w pożar przyjaźni nieznany,
Który mię wprzód ogarnął, niż dostrzegłem zmiany.

Swiadkiem atoli nieba jak przejęty trwogą,
Z zakazaną miłością wiódłem walkę srogą.
Z jakiem usiłowaniem w obliczu Twem Boże,
Czyniłem co zwycięztwa żądza natchnąć może,
Co powinność kazała, to co rozum radził.
Lecz powinność umilkła, a rozum mię zdradził.
Tarczę jego co miała być moją obroną,
U stóp pięknej Haliny już widzisz skruszoną.
Cóż za moc niewidzialnej ręki mnie otacza?
Gdy grot z rany wyrywam, ona głębiej wtłacza.
Cóż mną chwieje? co wzbrania stałość woli nadać?
Chcę się mym więzom wydrzeć, nieśmiem ich postra-
Głos rozumu potępia słabość mą tym bardziej. (dać,
Że ta co mię zwycięża, pokonanym gardzi.
Czuję przecież że więcej nad nią się niewzniosę,
Wzgardzoną nawet miłość do grobu zaniosę.
Usilność tak dręczonej sprzeczności ami duszy,
Pomnaża ciężar więzów, a nigdy niekruszy.
Lecz już promień nadziei zabłysnął mi z nieba,
Widzę zbliżoną przyszłośc gdzie walczyć nietrzeba.
Już wiecznego przytułku otwierasz mi wrota,
Gdzie ucichnie namiętnosć która tu mną miota.
Gdzie duch mój z doczesnego wzniósłszy się więzienia
W twem łonie ziemskich ponęt pozbędzie wrażenia:
Zagaś życia pochodnie, i wraz te zapały,
Które wspólnie z jej ogniem mój żywioł składały;
A przebacz jeśli jeszcze ostatniem westchnieniem,
Imię Haliny z twojem połączę imieniem! —

DO

Juljana Ursyna

NIEMCEWICZA.

w Dzień Jego Imienin, 13. Lutego 1820.

Młodzież Uniwersytetu Królewsko-Warszawskiego.

Okropne losów naszych przetrwaliśmy zmiany,
Dziś gdy Anioł pokoju nasze zgoił rany,
Kiedy pod skrzydeł jego opiekuńczym cieniem,
Cieszym się własnym bytem, prawem i imieniem;
Chowajmy pamięć mężów, co w kraju potrzebie
Wszystko mu poświęcili, nawet samych siebie,
Co niczem nieulękli, i w upadku chwili,
Grób Polski nieśmiertelnym laurem uwieńczyli.
Którzy i dziś narodu ciężkie kojąc blizny,
Krzepią miłość Wolności, Sławy i Ojczyzny.
Twój to obraz Juljanie! Polaków zaszczycie,
Któż niezna jakie cnoty twoje zdobią życie?
Kto jest prawym Polakiem, dokładnie ocenia,
Twoje czyny i dzieła i długie cierpienia.
Twoje cnotliwe serce i duszę niezłomną,
Najdalsze pokolenia z uwielbieniem wspomną.

Niech świadczą pamięć innych pomniki wspaniałe,
Tobie Imie bez skazy trwalszą zyska chwałę.
W tym dniu szanowny Mężu! przyjmij od młodzieży
Hołd, który się zasłudze i cnotom należy.
Kiedy umysły nasze żądza sławy budzi,
Pierwszy krok czynim, wielkich uwielbiając ludzi.
Przykładem dla nas wszystkich będą cnoty twoje,
Czy obierzem zacisze, czy wojenne znoje;
Czy wnijdziem do trudnego rządzących zawodu,
Poświęcim dobro nasze dla dobra narodu.
Wszystko łożyć będziemy dla powszechnej sprawy,
Dla Ojczyzny, dla Króla, dla świętej ustawy,
A idącym przez ciebie ukazanym torem,
Nauką dzieła Twoje, życie będzie wzorem!

Do Zosi.

Wiersz *K. Brodzińskiego.*

Z wiosną się ziemia uśmiecha,
Młodym rozkwita uciecha,
Zdradne dziecię na twym łonie,
Już się swawolnie kołysze,

I na licu które płonie,
Przyszłe zwycięztwa już pisze;
Czas dobiega,
I ostrzega,
Że gdy sprzyja,
Prędko mija.

Słońce promieńmi złotemi,
Wonnej uśmiecha się ziemi,
Zefir młode kwiatki pieści,
Wabi się ptastwo po lesie,
Po topoli liść szeleści,
Piórka gołąbek już niesie.
Czas dobiega,
I ostrzega, i t. d.

Zefir omdleje w dolinie,
Róża kwitnąca zaginie,
Przyjdą na nas smutne lata,
Kiedy zmorzona upały,
Płocha chłopczyna, skrzydlata,
W cieniu porzuci swe strzały.
Czas dobiega,
I ostrzega,
Że gdy sprzyja,
Prędko mija.

Do Jaskółki.

Wiersz *K. Brodzińskiego.*

Witaj z drogi jaskółeczko,
Wracaj znowu w twe gniazdeczko,
Jeszcze je zastałaś całem,
Bo ja na nie oko miałem.

Więc teraz znów piórka,
Znoś sobie z podwórka,
I z twoją połową,
Roskoszuj na nowo.

Będą znowu lube dziatki,
Całe to są twe dostatki,
Słyszeć będę z pod mej strzechy,
Wasze pieśni i uciechy.

Mnie jednak w tęschnocie,
Przy waszej ochocie,
Łzą lica umokną,
Gdy pojrzę przez okno.

Od którejli chatki, moja
Przyjdzie z matką w dom dziewoja,

Bym się równie z nią weselił,
Na nią robił, z nią się dzielił.

By mój proch w te lata,
Gdy pójdę ze świata,
Rodzina pospołu,
Spuściła do dołu.

Pamiętniki i Listy niewydane Cesarzowej Józefiny.

Pod tym napisem wyszło w Paryżu niedawno dzieło zawierające wiele wiadomości bardzo ciekawych. Niemożna ręczyć za jego autentyczność, już nawet Xiąże Eugienjusz miał oświadczyć że jest udanem, jednakże wypadki w niem objęte z jakiego kolwiek źródła pochodzą, godne są wiadomości powszechnej. Umieścimy tu Inkwizycją Alexandra Beauharnais pierwszego męża Józefiny odbytą przez Komitet Rewolucyjny w r. 1794.

„Dziś z rana o ósmej godzinie -- tak pisze Józefina do ciotki swojej -- młody nieznajomy wszedł

do mnie. Wyraz jego twarzy był słodki i uczciwy; w fartuchu skórzanym trzymał kilką par trzewików. „Obywatelka -- rzekł -- żądała safjanowego obuwia?” Zdziwiło mnie to zapytanie, spojrzałam się na garderobianę, która również niewiedziała co to ma znaczyć. Nieznajomy stanął w ogniu, rzucił na mnie bolesne wejrzenie, obracał w ręku trzewik, niewiedział co począć, wreście szepnął pół głosem: „Mam Pani coś powiedzieć.” „Mów śmiało -- odpowiedziałam -- Wiktorja nam nieprzeszkadza.” „Ale -- zawołał z niecierpliwością -- tu idzie o moję głowę.” Na te słowa porwałam się przelękniona i posłałam po mojego męża.

„Pani! -- rzekł młody rzemieślnik gdyśmy sam na sam zostali -- Zycie Jenerała Beauharnais jest w niebezpieczeństwie. Komitet Rewolucyjny tej nocy postanowił go uwięzić, i teraz właśnie podpisuje rozkaz.” Mdłości uderzyły na mnie. „Zkąd wiesz o tem?” zawołałam drżącym głosem. „Należę do Komitetu -- odpowiedział spuszczając oczy -- a będąc szewcem, przyszedłem ostrzedz Panią pod pozorem przedania trzewików.” Chciałam uściskać tego poczciwego człowieka. Widząc żem płakała, łzy stanęły mu w oczach. W tej chwili wszedł mój mąż, a dowiedziawszy się co winien Ne-

vilowi (to było nazwisko wspaniałego młodzieńca) ofiarował mu nagrodę, której gdy tenże przyjąć niechciał, ścisnął go za rękę, na co Nevil odpowiedział z uszanowaniem i godnością.

Mimo wszelkich nalegań, mąż mój niechciał uciekać. „Cóż mogą mi zarzucić -- mówił nam -- kocham wolność, służyłem Rewolucji, a gdyby to odemnie zależało, jużby się wszystko zakończyło z pożytkiem ludu.” „Ale pochodzisz z szlachetnej familji -- odpowiadał Nevil -- w oczach Rewolucjonistów jest to zbrodnia nieprzebaczona. Oprócz tego należałeś do zgromadzenia Urządzającego.” „Przyjacielu! -- przerwał mój mąż -- to co mi na końcu zarzucasz, jest najpierwszym moim zaszczytem. Czyż może być większa chluba nad zwalenie Despotyzmu i ustalenie panowania Praw.” „Praw -- zawołałam -- które krwią sę pisane!” „Pani! odezwał się Nevil z niezwykłym zapałem -- Gdy drzewo wolności wsadzone jest na złéj ziemi, trzeba je podlewać krwią nieprzyjaciół.” Spojrzeliśmy na niego z zadziwieniem, a w człowieku tak czułym z natury, widać już było Rewolucjonistę, którego nowe przesądy, mogły nawet zrobić okrutnym.

W kilka godzin siła zbrojna otoczyła nasz dom, a z nią przybyło trzech Delegowanych od Komite-

tu Rewolucyjnego. Przynieśli rozkaz uwięzienia mojego męża; pomiędzy niemi był Newil. Uważając niski stan jego, niemogliśmy pojąć jak w pełnieniu tak przykrych powinności umiał połączyć powagę z przystojnością. To postepowanie tem bardziej nas uderzało przy zupełnym braku ludzkości i oświecenia w jego towarzyszach. Jeden z nich przeglądał szafki i stoliki mojego męża, drugi mniemał, że po zniesieniu handlu niewolnikami czarnymi, Rewolucja postąpiłaby bardzo mądrze zaprowadzając handel dawną szlachtą.

Nazajutrz Komitet Rewolucyjny rozpoczął Inkwizycją z więźniem swoim. Prezydent jest człowiek dość uczciwy albo raczej obojętny na wszystko i nijaki. Kilka cętnarów otyłości, pozbawiło go wszelkiego ruchu, wyobrażeń, a prawie i mowy. Przy najlepszych chęciach mniej ma władzy od ostatniego swego posługacza. Przybywa późno; z ciężkością siada na stołku, a siadłszy, niewie co mówić. Wtenczas Sekretarz czyta mu Raporta których nierozumie; czasem zasypia i dopiero się budzi kiedy trzeba co podpisać. Inkwizycje zaś które sam rozpoczyna a inni członkowie zakończają, jedne są okropne, drugie śmieszne, wszystkie mniej więcej ciekawe, bo cóż może być szczególniejszego nad ów dziwaczny Trybunał gdzie dobór ludzi uniewinnia się

przed motłochem. Nie mówię bynajmniej o urodzeniu, majątku, godnościach, lecz o rozsądku uczciwości i dobrych zasadach. Prezes naprzykład jest człowiek bogaty, odebrał jakiekolwiek wychowanie, rachuby osobistości zrobiły go Rewolucjonistą. Nim Prezesostwo zapewniło mu spokojne pożywanie dobrego obiadu, wychudł ze strachu, teraz bezpieczny z tej strony, obojętnie patrzy na niewinne ofiary które spiąc potępia, i tyje z podłości. Jakże innym jest młody Nevil! Przesadza może w miłości nowych prawideł, ale również zapał jego za ludzkością nie ma granic. Jakie poświęcenie się gdy kogo mniema niewinnym! Jaka usłużność dla nieszczęśliwych! Nieznał on nigdy mojego męża lecz pilnie czytając dzienniki, powziął dla niego szacunek, i odważył się na wszystko ażeby go zachować. Oto jest bliskosłowna Jnkwizycja mojego męża; pomięszana w niej śmieszność z okropnością stanowi charakter tych czasów.

Prezes. Kto jesteś?

Beauharnais. Człowiek i Francuz.

P. Bez tych żartów. Pytam się ciebie o nazwisko.

B. Eugienjusz Alexander de Beauharnais.

Jeden z Członków. Proszę bez tego de! To trąci Arystokracją.

B. Raczej Feodalizmem. W istocie, imie bez tego dodatku jest przyzwoitszem. Ale temu ja niewinien tylko moi przodkowie.

Drugi Członek. Aha masz przodków! Uważajcie obywatele że sam wyznał że ma przodków. (Tu z dwunastu członków Komitetu dziewięciu zaczęło się śmiać. Jeden który zachował powagę, rzekł po niejakim namyśle:

„Niewiesz ty pusta głowo, że przodkowie są to stare pargaminy. Cóż winien ten człowiek że mu ich nie popalono. Obywatelu, złóż je w Komitecie, a zrobiemy piękny fajerwerk z twoich przodków.

Na te słowa szalony śmiech powstał w całem zgromadzeniu. Gruby Prezydent z trudnością przyprowadził wszystko do porządku. Gdy się wreście uśmierzył powszechny zapęd wesołości, rzekł grzecznie do obwinionego:

„Siądź WPan Obywatelu."

Jeden z członków powstając z żywością. Proszę o głos i jestem zdania ażeby obywatela Prezesa wezwać do porządku, dla czego WacPanował obywatela podejrzanego. Można być podejrzanym uwięzionym, a razem niewinnym. Póki Trybunał niewyłączy kogo z pod prawa, póty jest godnym ażeby go nazywać Ty. Ztego powodu Pan Violette zasłużył na naganę:

Na słowo Pan dołączone do imienia Prezesa powstał znowu powszechny śmiech hałas i zamięszanie. Gdy się przecie uspokojono P. Beauharnais powinszował Komitetowi że się nad tak ważnemi przedmiotami zastanawia, powinszował i sobie sędziów tak wesołych.

Prezes z wielką powagą. Czy rozumiesz że my gramy komedje? mylisz się bardzo. Ale kolledzy! obywatel podejrzany sprawiedliwie nazywa nas swojemi sędziami. Ten tytuł potrzebuje pewnej powagi. Niegdyś wolno się było śmiać, teraz postępujmy z godnością.

B. Ta w istocie jest różnica między dawnym a teraźniejszym rządem.

P. Zacznijmyż więc z powagą! Obywatelu Sekretarzu Jarbac czy tu jesteś? (do Pana Beauharnais.) Twoje tytuły i znaczenie?

B: Obywatel Francuzki, Jenerał w służbie Rzeczypospolitej.

Jeden z członków. Niewszystko powiedział, jeszcze bywszy...

Drugi członek. Xiąże czy Baron?

B. Vice Hrabia i dość tego.

P. A nawet zawiele. Więc przyznajesz się do szlachectwa.

B. Rozumiałem żem był szlachcicem pod panowaniem niewiadomości i przesądu.

P. Przyznaj żeś jeszcze niezupełnie stracił dawne mniemania?

B. Upór z jakim niektórzy ludzie ograniczeni walczą z uprzedzeniem, nadaje mu pewną wagę. Mnie zaś już dawno rozum przekonał że niema i niepowinno być innych rożnic nad te które stanowią zasługi talenta i cnoty.

Nevil. Oto jest co się nazywa zdrowe rozumowanie!

P. Lecz te zdania któremi się chlubi obywatel, gdzież je czerpał? Czy w zgromadzeniu urządzającem?

B. Szczycę się żem do niego należał.

P. Nawet w niem prezydowałeś?

B. Tak jest i w chwili na zawsze pamiętnej.

P. W czasie ucieczki tyrana.

B. W czasie podroży Ludwika XVI do Varennes.

Jeden z Członków. Ja się założę jako ty obywatelu niewierzysz iż Ludwik Kapet był Tyranem.

B. Historja to wykaże, a potomność sądzić będzie.

Nevil. Tu nieidzie o to, co obywatel Beauharnais myśli, ale co zrobił.

P. Słusznie. Zobaczmy więc co obywatel Beauharnais zrobił?

B. Nic, i w tych czasach burzliwych roztropność nakazywała nienależeć do niczego.

P. Więc nienależysz do żadnej strony.

B. Do żadnej, jeżeli strona ma znaczyć fakcje które się nawzajem nienawidzą, niszczą państwo i przeszkadzają ustaleniu Rzeczy pospolitej, jeżeli zaś przez stronę, mamy rozumieć większość Francuzów chcących wolności i niepodległości, to i ja do niej należę.

Jeden z członków. Trzeba jeszcze wiedzieć jakich środków radziłbyś użyć.

B. Do przekonania użyłbym środków rozumu, jednakże przeciw anarchji stronnictw już gwałtownej już podstępnej trzebaby wezwać siły na pomoc. Lecz nigdybym jej nienadużył, i o ileby bezpieczeństwo państwa dozwalało zachowałbym wszelkie prawa ludzkości.

Jeden z członków. Ludzkości, ludzkości! w pewnych ustach to słowo jest bardzo podejrzane.

B. Słusznie, jeżeli oznacza litość dla zbrodniarzy, ale jest szanownem gdy się go przyzywa w sprawie niedoświadczenia i błędu.

Jeden z członków. Tak mówią wszyscy umiarkowani.

B. Umiarkowanie jest płodem rozumu, a twórcą siły. Człowiek w pełni zdrowia nie zna popę-

dliwości i gwałtownych poruszeń, gdy spokojność czyni go mocnym a mądrość potężnym.

Nevil. Zaręczam wam obywatele, że ani Rousseau, ani Mably, ani Montesquiou, nienapisali nic roztropniejszego.

Jeden z Członków. Co to za ludzie, czy z naszej sekcji?

Drugi Członek. Czy niewidzisz że to wszystko należy do klubu tych Moderantystów.

P. Mylicie się Obywatele, są to autorowie z wieku Ludwika XVI. których Trajedje grywają prawie co dzień na Teatrze Francuzkim.

Tu Komitet Rewolucyjny podzielił się z jednej strony na wyśmiewających Prezesa, z drugiej na rozumujących coraz dziwaczniej nad tem nowem odkryciem w literaturze. P. Beauharnais śmiałby się z całego serca, gdyby go to niebolało, iż takim ludziom powierzone są losy obywateli. Nevil zwracając Inkwizycją na drogę zdrowego rozsądku, starał się jak najprędzej zakończyć to śmieszne posiedzenie. Wreście po wielu próżnych zapytanich Prezes nieznajdując żadnego dowodu przeciw obwinionemu, zawyrokował tymczasowe jego aresztowanie. „Tym sposobem -- dodał w swej roztropności rewolucyjnej -- i my będziemy mogli postarać się o dowody występku, i ty obywatelu po-

trafisz się bronić. Jeżeli kochasz ojczyznę, służyć jej będziesz twem poddaniem się równie, jak gdybyś był czynnym, a jeżeli ci wolność miła, milszą się stanie w więzieniu. Posełam cię więc do więzienia nie jako winnego, niech Bóg broni, ale jako mogącego być winnym; wciągną cię do rejestrów Luxemburskich, ale z tym dodatkiem: Uważany za podejrzanego."

FRASZKI.

Do Zegarka.

Odtąd już tobie niebędę wierzył,
Mierniku godzin fałszywy,
Wczoraj toś skore godziny mierzył,
A dziś tak jesteś leniwy.

Wczoraj u mojej Klorydy goszcząc,
Czułem, jak bieg twój pomknąłeś,
Gdy jakby moich uciech zazdroszcząc,
Wnet na północy stanąłeś.

Dziś gdy niejestem już przy Klorydzie,
Rdzewieją twoje sprężyny,
Jakże leniwo skazówka idzie,
Jak długie wleczesz godziny.

Kiedyś tak błędny i tak zdradliwy,
Niewiem jak ciebie mam użyć,
Bo już za czasu wymiar prawdziwy,
Więcej niemożesz mi służyć.

Musisz jednakże być użyteczny,
Kiedy twe kółko tak idzie,
Kiedy twój obrót tak niestateczny,
Oddam cię w ręce Klorydzie.

Mierz jej godziny długie bezemnie,
Niechaj się chwila przewleka.
A gdy jest ze mną, ona wzajemnie
Niech na twój pośpiech narzeka.

Miłość.

Miłość wszędzie życie daje,
Świątem rządzi jej natchnienie,
A bez miłości westchnienie,
Nudy wydaje.

B: Kalinowski.

Ucinki.

Antoniego Pełki.

Piękność duszy i ciała.

Zwodnicza jest postać ciała,
Łudzi, przemija, i mami,
Pięknej duszy inna chwała,
Bo ta zawsze będzie znami.

Jan wydał książkę.

Prędko wyszła z pod prasy książka, Jan się chwali.
Ktoś mu rzekł: „wyszła prędko, zajdzie nienajdalij."

Na zdrajcę.

Czarną duszę ma zdrajca, ochyda w naturze,
Będzie bielszym, wypierz go, i powieś na sznurze.

Świat zepsuty.

Dla czego świat zepsuty, wielu niepojmuje.
Wszak wiecie, że powszechnie rzecz stara się psuje.

Na portret Jenerała nieczynnego.

Niedziw że od malarza jenerał udany
Bo z kopji — Wszak Jenerał także malowany.

Sto lat zdrowia!

Z kąd pochodzi zwyczaj życzenia tak długiego zdrowia gdy kto kichnie? zapytanie to niejest dzisiejszem. Czytamy je w Plinjuszu. Odpowiedź na nie utrudzona przez tak daleką starożytność, jest dziś tym niepodobniejszą, gdy już ten rodzaj grzeczności coraz bardziej wychodzi z mody. Niemowię tego o wiejskich ustroniach, gdzie wszelkie dawne obyczaje święcie są zachowywane, a niejeden z ich czcicieli przybywszy do stolicy, dziwi się niegrzeczności mięszkańcow, którzy ani raczą uważać na jego kichanie, ani słówkiem ani skinieniem nieoświadczą dobrej chęci.

W istocie i ja dzielę jego podziwienie. Z jakiego albowiem powodu zatracają zwyczaj tak upowszechniony? Człowiek niepowinien opuszczać żadnej okoliczności w której może bliźnim okazać, że go los ich obchodzi. Czemu zarzucaniem dawnych zwyczajów smucić tych, co do nich przywykli, zawstydzać innych co prędko o zmianie dowiedzieć się niemogą? Szczytny Szekspier powiedział; „Przyzwyczajenie, co jak duch piekielny występku okro-

pność zaciera, jest Aniołem kiedy dobre czynności obleka w wygodne suknie."

Miłość ludzkości powinna także odwodzić nas od zarzucania tego zwyczaju. Przyjemne wstrząśnienie mózgu które jest skutkiem kichnienia, może niejednemu w najkrytyczniejszej chwili rozjaśnić głowę, i tysiącu nieszczęściom zapobiedz. Ilebyśmy to szczęśliwie uniknęli nieporozumień, błędów śmieszności, gdyby niektórzy ludzie wcześnie i skutecznie kichali? Czemuż wreście zarzucać to niewinne życzenie, którego używały nietylko nasze naddziady, ale i ludy najdawniejsze w swiecie.

Jest to rzeczą prawdziwie zadziwiającą, iż w Historji narodów tak różnych między sobą jak Grecy i Zydzi, znajdujemy w tym drobnym szczególe bardzo podobne wyobrażenia. Jezuita Strada utrzymuje, że postać którą Prometeusz zlepił i ożywił, kichnięciem dała znak życia gdy jej Utworca przez nos wlewał ogień z nieba porwany. Rabinowie zapewniają i nikt o tem wątpić niepowinien, że Adam najpierwej kichnął. W prawdzie nienauczają nas wyraźnie, czyli wtenczas zaraz powstała moda życzenia stóletniego zdrowia, jednakże po miłości Prometeusza do rodu ludzkiego którego był ojcem, sprawiedliwie dorozumiewać się możemy, iż powitał ten pierwszy znak życia z największą radością i naj-

piękniejszemi nadziejami; Adam także mógł być równie grzeczny dla siebie, a przynajmniej, i to bez wątpienia, za tak nagłem i gwałtownem poruszeniem, obiema rękami porwał się za głowę, by doświadczyć czyli jeszcze cała.

Z wielu okoliczności zdaje się, iż w najdawniejszych czasach, kichanie miano za rzecz bardzo niebezpieczną, za zły znak i wróżbę śmierci. W istocie ci którzy niegdyś kichali, wszyscy pomarli, ztąd urosło mniemanie, że właśnie dla tego umarli, że kichali. Latwo więc przypuścić można, że już w tych czasach dla odegnania złego, powstał zwyczaj życzenia wszelkich pomyslności! Job mówi wyraźnie, że: „świetność Cyrusa zasadzała się na kichaniu." Piękny patrjarchalny wieku! dlaczegóż już przeminąłeś? Jakże łatwo okupywały ludy świetność tronu. Gdy władzca kichnął, skłaniali się z uszanowaniem, i więcej od nich nieżądano.

A jak piękny skutek sprawowała ta miłość ludu, sądząc po tem co nam pewien dziejopis opowiada o Abissynji: „Skoro Cesarz Monomotapy kichnie -- słowa są jego -- dają natychmiast ludowi znak, który w kilku chwilach rozchodzi się po całym kraju. Wszyscy poddani za tak szczęśliwy wypadek wznoszą życzenia do nieba, i jedno wielkie uczucie jak iskra elektryczna przenika serca miljonów.

Ale dla tych co długo spać lubią, jakże miłem musiało być wyobrażenie, które dawni Grecy i Rzymianie do kichania przywiązali! Choćby dziecko do południa spało; niemogło być za to zganione, jeżeli oświadczyło matce, iż wstało jak najraniej, ale nagle kichnąwszy, musiało się znowu położyć jak przynależy.

Z tego podobno tak wygodnego zwyczaju, powstało wyrażenie, którego Grecy używali o pięknej pannie, mówiąc iż: „Amorki i Gracje kichały przy jej urodzeniu." Nieszło o to czy prawą, czy lewą stroną, bo wdzięki i miłostki były bóstwami; u ludzi zaś ta okoliczność miała największą wagę. Bo gdy oświęcony lud Grecki przed bitwą Salamińską czynił Bogom ofiary, jeden z przytomnych kichnął lewym otworem u nosa; tak szczęśliwa wróżba wprawiła Arcy-Kapłana w zachwycenie, a Temistokles zapewnił wojowników, iż niemylnie zwyciężą. Tak więc jedna z bitw najsławniejszych dlatego wygraną została, że jeden Grek kichnął lewą, a który z Persów bez wątpienia prawą stroną. Nowy dowód, iż małe przyczyny, sprawiają nieraz wielkie skutki.

Przytoczyłbym jeszcze wiele równie ważnych okoliczności, gdybym miał nadzieję że kichanie powróci znowu do dawnej powagi; gdy jednak nic nie jest trudniejszem jak przywrócenie starożytnych a osobli-

wie chwalebnych mód i zwyczajów, przeto zakończe w tem miejscu, dodając jednę uwagę, że niech przyszłe pokolenie rządzi się i postępuje według nowych przepisów; tych jednak, którzy jak ja, już ósmy krzyżyk liczą, dla czego pozbawiać pociechy, z kilkakrotnych codziennie życzeń, a razem nadziei stu lat zdrowia.

Anegdoty.

Gdy Ludwik XV. na polowanie jeździł, brano zawsze dla niego 40. butelek wina. Sam pił bardzo mało. Pewnego razu znużony zawołał o wino. „Niemasz N. Panie!" „Jakto, czyż niebierzecie zawsze 40. butelek?" „I owszem, ale już wszystkie są wypite." „To na drugi raz bierzcie 41. ażeby się dla mnie choć jedna została."

Mirabeau mówił o swoim bracie, że to jest człowiek najprostszy i najpoczciwszy w ich familji, lecz że w innej, byłby najdowcipniejszym i najniegodziwszym

Kanclerz d'Ageusseau był człowiek wielkiego rozsądku i głębokich wiadomości, ale się wahał we wszystkich czynnościach. Syn działał zupełnie przeciwnie. „Mój ojcze -- rzekł raz do niego -- wiesz wszystko, a o niczem niedecydujesz." „Lecz ty mój synu -- odpowiedział Kanclerz -- niewiesz nic, a decydujesz o wszystkiem."

Nic niemoże bardziej obrażać Francuza, jak gdy się go o wiek pytają. Raz rzekł Ludwik XIV. do Hrabiego Grammont. Wiem teraz ile masz lat. Twój przyjaciel 84^{ro}letni Biskup, powiedział mi żeście razem do szkół chodzili." „Przepraszam N.Panie -- odpowiedział Grammont -- Ani ja, ani Biskup niebyliśmy nigdy w Szkołach.

Xiądz Dúbois na każdy nowy rok rozdielał podarunki między wszystkich swoich służących oprócz Plenipotenta. Do tego tylko mówił: Daruję ci wszystko coś mi ukradł! Plenipotent kłaniał się i odchodził z wielkiem ukontentowaniem.

Pytano raz Gaubiena dlaczego dał na Teatr Komedją Brioché, która najgorzej została przyjętą. „Paryż -- odpowiedział szczery Autor -- tak mnie znudził, żem postanowił przykładnie wet za wet mu oddać."

Lataignant niebardzo się wsławił oryginalną komedją: Fanfaron, gdyż charakter wca-

le niebył trafiony. „Wiedziałem o tem -- rzekł Piron -- nikt albowiem doskonale odmalować się niemoże."

Moljer w uczonych kobietach, wyśmiał dom Pani Rambouillet gdzie się zbierały wszystkie dowcipy owego wieku. W tem towarzystwie był i on dobrze widzianym, lecz Cotin i Menage złośliwemi żartami tak mu dogryźli, iż przestał więcej tam bywać, a obu żartownisiów wystawił na Teatrze pod osobami Tryssotyna i Vadiusa. Po reprezentacji Kobiet Uczonych, gdy Menage przyszedł do Pani Rambouillet: „Jak to -- rzekła do niego rozgniewana -- czyż spokojnie na to patrzysz, ze Moljer tak bezwstydnie z nas żartuje?" Na to odpowiedział Ménage z umiarkowaniem godnym największych pochwał: „Widziałem tę Komedją, jest to arcy-dzieło któremu nic przyganić niemożna."

Sprostowanie.

W Artykule o Teatrze umieszczonym w Tygodniku z przeszłego roku, opuszczoną jest ta okoliczność, iż Maciej Kamiński Autor Muzyki do opery: Nędza Uszczęśliwiona i innych pomniejszych, napisał także muzykę do Kantaty spiewanej w czasie zaprowadzenia posągu Sobieskiego w Łazienkach, i za pracę swoję przez miłośnika sztuk i umiętności Króla Stanisława Augusta, hojnie wynagrodzonym został. Ta kantata niewiadomo gdzie zaginęła.

WSPOMNIENIA
LEGJONÓW.

Jest zawsze nagroda dla cnoty, a czyny jej miłością natchnione pewniej do celu prowadzą niż rachuby najprzebieglejsze. Rzućmy okiem na przykład co nas najbliżej obchodzi. Potężna zawiść wsparta zdradą, poprzysięga upadek Polski. Ogromne siły zalegają nieszczęśliwą ziemię, roztropność przekonywa, że opór jest niepodobny, lecz miłość kraju wzywa do broni. Powstała garstka bezbronnych, ale męztwo pomnaża szeregi, a wielki człowiek jest na czele. Wiedział już wtenczas Kościuszko że nieocali bytu narodu, lecz chce ocalić jego sławę. Skutki przechodzą wszelkie oczekiwania, zwycięztwo sprzyja swiętej sprawie, powstaje zapał powszechny, a co więcej, ożywia się nadzieja; lecz możnaby mniemać, iż szczęście dlatego tylko uśmiechnęło się Polakom, ażeby ich tym okropniej zdradzić, bo kiedy wdzięczny naród do Naczelnika

przywiązał losy swoje, a drogiego imienia Kościuszki od imienia Ojczyzny oddzielić już nieumiał, wtenczas go stracił. Zupełny upadek dłużej odwlekać się niemógł, jednakże okropna klęska nie zachwiała cnoty walecznych obrońców. Na obcą ziemię, pod obce znaki ponieśli najmilsze nadzieje, a stale przetrwawszy tysiączne próby, raz jeszcze od losu zwiedzeni, znaleźli nakoniec szczęście mnogą krwią okupione, w dobroci nowego Wskrzesiciela który wszystko może. O wy! co kiedykolwiek w ręku waszym mieć będziecie losy Polski, lub wpływacie na nie, pomnijcie po tym wielkim przykładzie, że ażeby ubezpieczyć byt narodu, zachować trzeba jego sławę.

Myśl tworzenia Legjonów, jest jedyną w Historji. Jeszcze współcześni wyobrazić sobie niemogą podziwienia, jakie wzbudzi w potomności. W istocie, któż jest godniejszy wiecznego poszanowania od mężnych wojowników, co na zwaliskach starożytnego państwa zaszczepiwszy niezwiędły wawrzyn, Epokę największego nieszczęścia, przemienili w Epokę chwały! Ale dlaczegóż Historja Legjonów dotąd jest nietkniętą, a przynajmniej nieogłoszoną powszechności? Jaki może być powód przepomnienia tego, czego wszyscy pragną z utęschnieniem? Zdaje się iż bohatyrowie Padu i Adygi, prze-

stając na zaszczytach oręża, wdzięczności ziomków poruczyli uwiecznienie piórem czynów swoich; z reszty zaś narodu, co nie dzieliła tej chwalebnej wyprawy, nikt się jeszcze nieodważył na piękny lecz trudny zaszczyt jej głosiciela. W tym stanie rzeczy, bardziej od innych niezdolnym się czując, do kreślenia całego obrazu Historji Legjonów, w chęci jednakże zwrócenia oczów i piór wprawniejszych na tę świetną Epokę, postanowiłem wedle możności zbierać szczegółowe wypadki, i pod nazwaniem: Wspomnień LEGJONÓW, umieszczać je w tem piśmie.

Do wspomnień Legjonów należeć będą wszelkie okoliczności, w których współbracia nasi dali dowody niepospolitej odwagi lub cnoty, w których nawet zaciętych nieprzyjaciół zmusili do podziwienia i wdzięczności. Wybór w tym przedmiocie zdaje mi się najłatwiejszy; jakiż albowiem wypadek tyczący się Legjonisty, mógłby być obcym dla serca Polaków? Z resztą zaś, niemając w zamiarze, jak już wyżej namieniłem, dawania rysu tych dziejów o których chcę mówić, wolny jestem od trzymania się jakiegokolwiek porządku, gdy przytoczone wypadki, jedne na drugie, mogą niemieć żadnego wpływu.

Zwycięzkie wojska Francuzów po zajęciu Włoch używały chwilowego spoczynku, ale natenczas żołnierz mógł tylko być bezpiecznym z bronią w ręku, nietak z obawy siły nieprzyjaciół, jako raczej tajemnych sztyletów, które mięszkańcy ostrzyli.

Ufność Dowódzców Rzeczypospolitej w nowych towarzyszach broni, przeznaczała zawsze Legjonistów na niebezpieczniejsze stanowiska. Mężny pułk Ułanów Polskich w roku 1798. dostał się na leże do Medjolanu. Podług zwyczaju oddział złożony z kilku ludzi z tego pułku, przeznaczony był na pilnowanie kanału za miastem. W tym oddziele znajdował się dawny żołnierz Stanisław Kaczorowski, który jeszcze w roku 1786. zaciągnąwszy się pod chorągiew Buławy Polnej, odbył z chlubą kampanje z lat 1792, 1794. a po stracie ojczyzny, pospieszył na Wołoszczyznę, gdzie się dobrze myślący w roku 1795. pod Jenerałem Hrynkiewiczem zbierali; lecz gdy i ztamtąd przemocy Austrjaków ustąpić musieli, przeniesiony został za pośrednictwem Konsula Francuzkiego do Legij Włoskich. W późniejszych czasach mężny ten żołnierz, we wszystkich wojnach walczył za odrodzoną ojczyznę w Xięztwie Warszawskiem, a dziś jako retretowany Officer w ustroniu wiejskiem, używa spokojności tylu trudami wysłużonej. O tych okolicznościach na-

mieniłem w tem miejscu dla tego, iż może nieobojętni będą czytelnicy na dalsze losy Kaczorowskiego, poznawszy następujący wypadek w Medjolanie.

Oddział Ułanów Polskich o którym wyżej wspomniałem stanął za miastem o zachodzie słońca. Kaczorowski odbywszy swoję powinność, przechadzał się koło północy w alejach sadzonych wzdłuż kanału. Noc była taka, jakiej nikt niema wyobrażenia, kto niewidział tego pięknego kraju. Jasność księżyca przebijała się gdzieniegdzie przez ulicę i cienie krzaków gęsto wzrastających nad wodą. Mężny nasz wojownik niemógł się nasycić tym pięknym widokiem, noc przyjazna dumaniu, ożywiła w nim wspomnienia ojczyzny i żal za swojemi. Nagle powstaje szelest w zaroślach . . . Krzyk przeraźliwy, gwałtowny szum wody obił się o jego uszy, i razem wszystko ucichło, tylko trzy ludzkie postaci mignęły się przez ulicę. Przerażony, biegnie gdzie go wzywał głos nieszczęścia i spostrzega kobietę zanurzoną w wodzie. Słaba jej ręka chwytała pobrzeżne chrusty. Wysokość lądu, bezsilność nieszczęśliwej, utrudziły jej ratunek; niebyło czasu do stracenia, Kaczorowski rzuca się w kanał, i szczęśliwie ją na brzeg wynosi. Roztropność niepozwalała szukać przytułku w domach mięszkańców, udaje

się więc do szałasu wojskowego, gdzie kilka kropel araku i ciepło ogniska, przywraca omdlałą do życia. Tu większe jeszcze czekało ją niebezpieczeństwo. Wśród okropności wojennych, wśród trudów i niedostatku, człowiek przymuszony zawsze myśleć o potrzebach ciała, o nich nareszcie myśli jedynie, i niema nic tak świętego, w czemby niewidział przedmiotu ich zaspokojenia. Towarzysze Kaczorowskiego, na widok nieznajomej którą wybawił, już chcieli nadużyć jej nieszczęścia, lecz szabla rozstrzygnęła spory, a Kaczorowski ukarawszy najzuchwalszego, resztę do porządku przymusił; sam zaś dowiedziawszy się o nazwisku pięknej Eleonory i mięszkaniu jej ojca Casabianchi, jednego z najznakomitszych obywateli Medjolańskich, odprowadził ją do domu w towarzystwie zaufanego przyjaciela.

Tak długa nieprzytomność córki, wprawiła starego Casabianchi w największą niespokojność. Wszyscy jego ludzie byli w poruszeniu. Wtem widzą Eleonorę wprowadzoną przez dwóch cudzoziemców, ranną, przemokłą, ze wszystkiego obdartą i okrytą płaszczem wojskowym. Z imieniem nieprzyjaciela, łączy się zwyczajnie wyobrażenie gwałtu. Cesabianchi bierze mężnych legjonistów za napastników, i w pierwszym zapędzie gniewu z całym dworem rzuca się na nich. Tak nie-

spodziewane przywitanie, przeraża Eleonorę i wprawia w nowe mdłości. Bez jej pośrednictwa niemogły się porozumieć obie strony; a Kaczorowski złożywszy drogi ciężar w miejscu bezpiecznem, gdy dopełnił powinności którą ludzkość nakazywała, niepotrzebując dalszego tłumaczenia, odparł nacierających i wrócił do swoich.

Po odejściu Polaków wkrótce Eleonora odzyskuje przytomność; z jej ust dowiaduje się ojciec iż wracając z teatru, odesłała pojazd do domu i ażeby użyć pięknej pory, pieszo puściła się aleją, w tem napadnięta przez Lazaronow, została zrabowaną i rzuconą w kanał, zkąd ją waleczny legjonista wydobył. Zawstydzony Casabianchi że tak źle wynagrodził wspaniałych cudzoziemców, nazajutrz ze świtem udaje się na miejsce gdzie byli na straży, i tam zastawiwszy im obfite śniadanie, całą placówkę zaprasza na obiad. Piękna uratowana robiła honory domu, wdzięczność ojca niemiała granic, i póki tylko Ułani stali w Medjolanie, Kaczorowski był przedmiotem ojcowskiej jego troskliwości.

Przeniesiony w inne miejsce teatr wojny, inne stanowisko Polskim zołnierzom naznaczył. W kilka lat po opuszczeniu Włoch, Kaczorowski z pułkiem swoim przeznaczony został do Hiszpanji.

Postępował coraz dalej z zwycięzkiem wojskiem, aż w roku 1808. przez nieszczęśliwą kapitulacją Jenerała Dúpont dostał się do niewoli, i z 400. towarzyszami odesłany był na pustą wyspę Cabrera. Wyspa ta najeżona skałami, zasypana litym piaskiem, prócz szkodliwych gadów, niema na sobie stworzenia, coby na pożywienie służyć mogło, niema drzewa któregoby cień uchronił od upałów słonecznych, a jedno małe źródło niemogło uspokoić pragnienia tylu nieszczęśliwych. Ci ze wszystkiego na polu bitwy obdarci, zgłodniali, gorącem spaleni, podobni byli raczej do cieniów niż istot żyjących. Zywność z Minorki rzadko bardzo, i to w ilości niedostatecznej nadsełaną im była. W tej ostateczności, jedni żywili się jaszczurkami dość licznemi na tej wyspie, lub ciałem zmarłych towarzyszów, inni szukali końca cierpień na dnie morza.

Kaczorowski pełen nadziei że ta sama ręka co go wśród tylu niebezpieczeństw wspierała, i tu jeszcze nieodmówi swojej pomocy, wychodził co rano na skałę pobrzeżną, a jakieś przeczucie wybawienia, zwracało jego oczy ku lądowi. Pewnego razu gdy podług zwyczaju spoczął na tem samem miejscu, ujrzał czółno rybackie, silnem wiosłem zbliżające się ku sobie. Dwóch ludzi wysiada na brzeg, Kaczorowski biegnie ku nim, lecz

postać jego ogorzała i zarosła, przestrasza przybywających, ledwo usilne prośby i znajomość języka Hiszpańskiego przybliża ku niemu rybaków, którzy przekonawszy się wreście że z człowiekiem mają do czynienia, pytają się naprzód o liczbę jeńców Polskich, składają dla nich żywność i odzież, a obiecawszy wrócić nazajutrz, odpływają z największym pośpiechem. Któż opisze podziwienie naszego Legjonisty? Zdaleka od ojczyzny, zdaleka od wszelkich znajomych, jakież jest to bóstwo dobroczynne, opiekujące się losem Polaków? litujące się nad ich nieszczęściem? Ale niemożna było tracić czasu, spiesznie więc zbiera powierzone sobie skarby, obdziela między swoich, a nic niemówiąc zkąd pochodzą, z biciem serca biegnie nazajutrz na to miejsce gdzie się spodziewał odgadnąć to zdarzenie tajemnicze, którego pojąć niemoże.

Niedługo pozostał w niepewności. Pierwsze promienie słońca odkryły przed jego okiem statek płynący w kierunku wyspy Cabrera. Za przybyciem do brzegu, prócz dwóch znajomych rybaków, wysiadł z niemi poważny starzec, który rozkazawszy wynieść żywność i odzienie, zapytał się Kaczorowskiego o liczbę i pierwsze potrzeby Polaków na tej nieszczęsnej wyspie. Z im większym zapałem mówił o Polakach, tym milsze u-

czucia napełniały serce cnotliwego żołnierza, w tem bezstronnem świadectwie znajdował nagrodę wszelkich trudów swoich; lecz jakże się zdumiał, gdy wreście rzekł nieznajomy: „To co dla was robię, jest tylko wypłatą zaciągnionego długu, ale dałbym wszystko na świecie, żebym kiedyś tę samą przysługę mógł oddać poczciwemu Kaczorowskiemu." „Ty jesteś Casabianchi!" zawołał rozrzewniony Legjonista, a łzy i tkliwe uściski były pierwszym dowodem poznania się wzajemnego. W istocie był to ten zacny Medjolańczyk, którego wdzięczność nieznała żadnych granic, żadnego niepodobieństwa. Długie lata niewidzenia znacznie obudwóch zmieniły, ale serca zostały też same. Poznali się po jednakowem uczuciu.

Gdy ominęły pierwsze uniesienia radości, zaczęli się naradzać nad polepszeniem losu jeńców, dręczonych tylu dolegliwościami na pustej wyspie. Casabianchi obiecał przyłożyć wszelkich starań do tego celu, a raz jeszcze zapewniwszy Kaczorowskiego że nigdy o nim niezapomni, spiesznie puścił się na powrót, w obawie ażeby Anglicy lub Hiszpanie niedostrzegli, iż z ich nieprzyjaciołmi utrzymuje tak bliskie związki. Jakoż wkrótce okazały się skutki jego troskliwości. Wszyscy osadzeni na wyspie Cabrera, przeniesieni zostali do An-

glji; lecz starania dobrego Medjolańczyka póty nieustały, poki wiedział że przyjaciel nieszczęśliwym być może. Niezmordowanemi zabiegami i wpływem jaki miał u Ajenta Angielskiego, tyle nareszcie dokazał, iż Kaczorowski wraz z czterema Polakami uwolnionym, i do Francji odesłanym został. Przykład ten wśród strasznego obrazu wojny pocieszającym jest dla ludzkości, a jeżeli tak pięknie wystawia charakter Medjolańczyka, niemniej zaszczytu przynosi naszemu rodakowi, który na taką wdzięczność zasłużyć umiał.

Historja Legjonów niejest ubogą w podobne przykłady, bo męztwo i umiarkowanie, było zawsze chlubną cechą Polskiego żołnierza. Oddały mu to świadectwo narody z któremi walczył, Hiszpan nawet obcą siłą uciśniony, uznał sprawiedliwość powodów, które Polaką skłaniały do podniesienia oręża w niesłusznej wojnie. O wy! co aż za Alpy i Pireneje poszliście lać krew w świętej sprawie, dlaczegóż dopuszczacie ażeby tyle pięknych czynów waszych na zawsze zostało w ukryciu? Dlaczego niewyjawicie ich przed ziomkami, którzy umieją je oceniać. Jeżeli przy opowiadaniu dawnych przygód waszych, nieraz wam samym noc bezsenna jak chwila upłynie, dlaczegóż tej roskoszy pozbawiacie narodu, dla którego jesteście zawsze celem szacunku i miłości!

Zal Pasterza.

Wiersz *K. Brodzińskiego.*

Jak ona łatwo zwalczyła,
Serce jej okiem dognane.
Piękności! zkąd tobie siła,
Tak ciężką zadawać ranę?

Ach przez jeden uśmiech miły,
Wróciłaby szczęście moje,
Ja sam, chyba wśrod mogiły,
Z bólu serce uspokoję.

Słodka będzie cisza w grobie,
Przecież myśl od niej się wzbrania,
Bo tam niesłychać o tobie,
Celu wiecznego kochania!

Ale tam już nieusłyszę,
Co tylko wróżę nie życzę,
Że płochość co cię kołysze,
Zgubne podaje słodycze.

Od zmiennej fortuny dzieci,
Na mój grób odwrócisz oczy,
Lecz gdy cię szczęście uleci,
I mnie już ziemia roztoczy.

KLUBY w ANGLJI.

Trudnoby opisać wszystkie rodzaje klubów w Anglji. Są w tym kraju kluby Naturalistów, Moralistów, Matematyków, Polityków, Poetów, Komików, Teologów, Pisarzy Romansów, Nowiniarzy, i t. d. Członkowie schodzą się raz na tydzień w Tawernie czyli szynku, gdzie wśród dymu fajek i waporów ponczowych rozbierają przedmioty stósowne do ducha towarzystwa. Nieraz uwagi ich ogłaszane są późniéj w dziennikach.-- Zapewniano mnie że Towarzystwo Gramatyków zbierało się ośm razy, dla ustanowienia różnicy jaka zachodzi w słowach łacińskich quam i quomodo. Po długim namyśle, pytanie zostało nierozstrzygniętém.

Gdym sie pierwszy raz znajdował w takim Klubie, długo niemógłem nikogo rozpoznać. Członkowie otoczeni byli chmurą tak grubą, że jéj oczy moje przejrzeć nie mogły. Przez dwie pierwsze godziny nie słyszałem nic prócz słowa Top! ale gdy się towarzystwo rozweseli, Prezydent wznosi pieśń pijacką, którą cały Chór powtarza.-- Zaraz fajki idą na bok, przynoszą wino.-- Trudno sobie

wyobrazić jak mocno ten trunek działa na umysł Anglika. Nie jeden najrostropniejszy człowiek, nim zacznie być wymownym, musi pierwej wypróżnić dwie do trzech butelek, innym czwarta dopiero rozwiąże język, a pijaństwo które gdzieindziej tępi umysł, tu sprawia skutki zupełnie przeciwne.

U niektórych Anglików bystrość dowcipu zależy od trzech rzeczy: od jakości, ilości napoju, i czasu, w jakim dostatecznie napić się mogą. U niektórych błyska dowcip dopiero koło północy, bez względu na dobroć trunku, inni przepędzają noc całą w pewnym rodzaju letargu, i dopiero się odezwą nad ranem; ztąd posiedzenie Klubu trwa bardzo długo, a słuchacz przyzwyczajony do kurzu i dymu, ma pole jak najobszerniéjsze do rozmaitych spostrzeżeń.

Dla rozweselenia Anglików dobrego tonu dostatecznem jest wino Burgundskie; mięszkaniec Londynu uważa je za nazbyt słabe i trzyma się wina Oporto; żołnierz morski gardzi jedném i drugiem, a wybiera rum i naymocniejszą wódkę Francuzką, któréj ledwo dobra porcja może go rozweselić.

Niektórzy uczeni Angielski utrzymuią, iż z wina czerpa się natchnienie, i przywodzą na przykład Homera i Horacego, co w pismach swoich u-

wielbiali roskosze stołowe. Żdaje się, że Anglicy naśladują tych Patrjarchów, albo raczéj że ich przechodzą.

Jeden z dramatycznych pisarzy Jonson, był jak wiadomo jednym z najpierwszych pijaków owego czasu, i w rękopismach swoich, zostawił sposób jakiego używał przy pisaniu. Oto są jego słowa:

„Ułożyłem plan i napisałem większą część mojéj Wolpony, przy dziesięciu tuzinach butelek przedniego wina, które mi Lord T. darował. To dzieło przejdzie pewno do potomności.

„Scenę z Katyliny, gdzie się pokazuje duch Sylli, napisałem powróciwszy z Tawerny. Można powiedzieć, że tego dnia piłem za wiele, ale też nie brakowało mi wybornych myśli. W téj saméj sztuce jedno miejsce jest nieco zimne. Ztąd to pochodzi, żem raz do wina dolał wody, ale już tego więcéj nie będzie.

„Dwudziestego Maja darował mi Król dwieście Gwineów. Nie wychodziłem prawie z Tawerny, a gdym wydał sześćdziesiątą gwineę, mój Alchimista był gotów.

„Koło Wielkiéj nocy, wziął mnie Lord B. na wieś; piękny miał zapas wina Clairet; przy niém

zacząłem „Kobietę co milczeć umie." Gdym Lordowi przeczytał akt pierwszy, uśmiechnął się i kazał mi posłać do domu beczkę tegoż samego wina. Wystarczyła mi do końca, i dla tego ta sztuka tak dobrze została przyjętą.

„Jeszcze wiele innych niezgorszych sztuczek napisałem za życia Pana Ralfa gospodarza w mojéj Tawernie. Niech ma wieczny odpoczynek! Po jego śmierci całą zimę przepędziłem bez natchnienia, bo następca jego coraz gorsze miał wino".

Ucinki.

Frak.

Frak filuta podstępnego,
Brał prętów co dzień po trzysta;
Tak zbytecznie trzepanego,
Szkoda była oczywista.
Rzekł ktoś: „Niech będzie zamiana,
„Bo się fraczek podziurawi,
„Zyskiem będzie trzepać Pana,
„Frak się psuł, on się poprawi."

Miło umrzeć za Ojczyznę.

Mężny, śmiertelną otrzymawszy bliznę,
„Słodko -- rzekł -- ledz za Ojczyznę."
Na to mu drugi co z placu uchodzi :
„Za Ojczyznę żyć, jest słodziej!"

Na portret Jana.

Jakże cię przednio trafił malarz zachwalony,
Portret wisiał, przysiągłbym, żeś ty powieszony.

LITERATURA i SZTUKI.

---

z Paryża.

Dzień pierwszy roku w tem mieście, nieprzemija tak spokojnie jak gdzieindziej, a nowości wszelkiego rodzaju, robią go prawdziwą Epoką w życiu Paryżanina. Manja wizyt dochodzi tam do najwyższego stopnia, ale w istocie niejest też zwyczajem tak niepotrzebnym jak w małych miasteczkach. Przy najlepszych chęciach w świecie, mięszkaniec Paryża niejest wstanie wszystkich swoich znajomych odwiedzać, a wpośród ciągłych rozrywek, niema nawet czasu myśleć o wszystkich. Ztąd nowy rok jest dla niego *Świętem wszystkich Przyjaciół* gdzie razem sobie ich przypomina, i za jednym zapędem

dług grzeczności im wypłaca. Gdyby nie ten dzień, niemyślałby o odwiedzinach, a ileżbyto znajomości ile nawet przyjaźni na niczem spełzło.

Ale gdzie wszyscy razem myślą o wzajemnych odwiedzinach, tam żadne do skutku przyjść niemogą, bardzo więc roztropnie, zamiast osób, kartki biegają po domach, i u szwajcara złożone są świadectwem pamięci tego, czyje imie noszą. Rzecz więc dziwna, że właśnie w dniu w którym najwięcej wizyt oddaje, Paryżanin najmniej z domu wychodzi.

Z drugiej strony wszelkie rodzaje przemysłu silą się na wystawienie czegoś nowego. Sklepy i kramy połyskują najświeższemi płodami twórczej wyobraźni Francuzów. Kupiec imieniem Giroux w kilku obszernych izbach zgromadził tylko te przedmioty, które na podarunki nowego roku służyć mogą. Nowa igraszka optyczna zwana *Panmorfoscop* zajęła na dni kilka ciekawość publiczną. Jak niegdyś wynalazek kalejdoskopów, tak i to widowisko zdumiewać prawdziwie powinno, iż są ludzie ktòrzy mogą myśleć o niczem. *Panmorfoscop* jest skrzynia, w której stoi lalka mająca zamiast twarzy zwierciadło zmniejszające. W tem zwierciedle każdy patrzący widzi siebie samego, a to w stroju jaki lalka nosi. Gdy ten strój wielokrotnie zmieniać się może, mają mięszkańcy Paryża za kilka groszy ukontentowanie widzenia się w jednej chwili już w ubiorze wojskowym, już w kobiecym, już w Tureckim i t. d. Że to bawidło niedługo będzie zajmować, o tem ani mówić nietrzeba. Gdy jednak *Panmorfoskop*, wkrótce przywędruje i do Warszawy, trzebaby zawczasu pomyśleć dla niego o nazwisku. Na przykład: *Próżniakowidz.*

Wynalazkiem nieco dowcipniejszym, jest nowa gra w karty zwana *Boston de Flore* wystawiająca rozmaite przedmioty botaniczne. Kwiaty podług gatunku ułożone, zastępują w tej grze zwyczajne znaki, a cała talja obejmuje systemat roślinny. Inna gra zwana *Cartes á rire,* składa się z rozmaitych śmiesznych figur; pomiędzy innemi wyobrażone są znakomitsze Dzienniki stolicy, pod postaciami saty-

ryczno-allegorycznemi. I tak *Gazeta Francuzka* anti-liberalne i najdawniejsze z pism perjodycznych, w ubiorze starej babuni, *Dziennik Konstytucyjny* pod postacią młodego wojownika i t. d. Te jednak figury są tylko powtarzaniem tego co już tylekroć mówiono, lub rysowano. —

Więcej nowości spostrzegać się dało w cukierniach. Wiadomo jest z Gazet iż cukiernicy zapewne dla dogodzenia wszystkim gustom wynaleźli *buntownicze karmelki*, których jednak przedaży niezmordowana baczność Policji szczęśliwie zapobiegła. Ten wypadek nieprzytłumił jednakże wynalazczej ochoty, i na nowy rok pełno było świeżych cukierków z rozmaitemi znakami, godłami, dla Liberalnych UltraRojalistów, Wojskowych i innych.

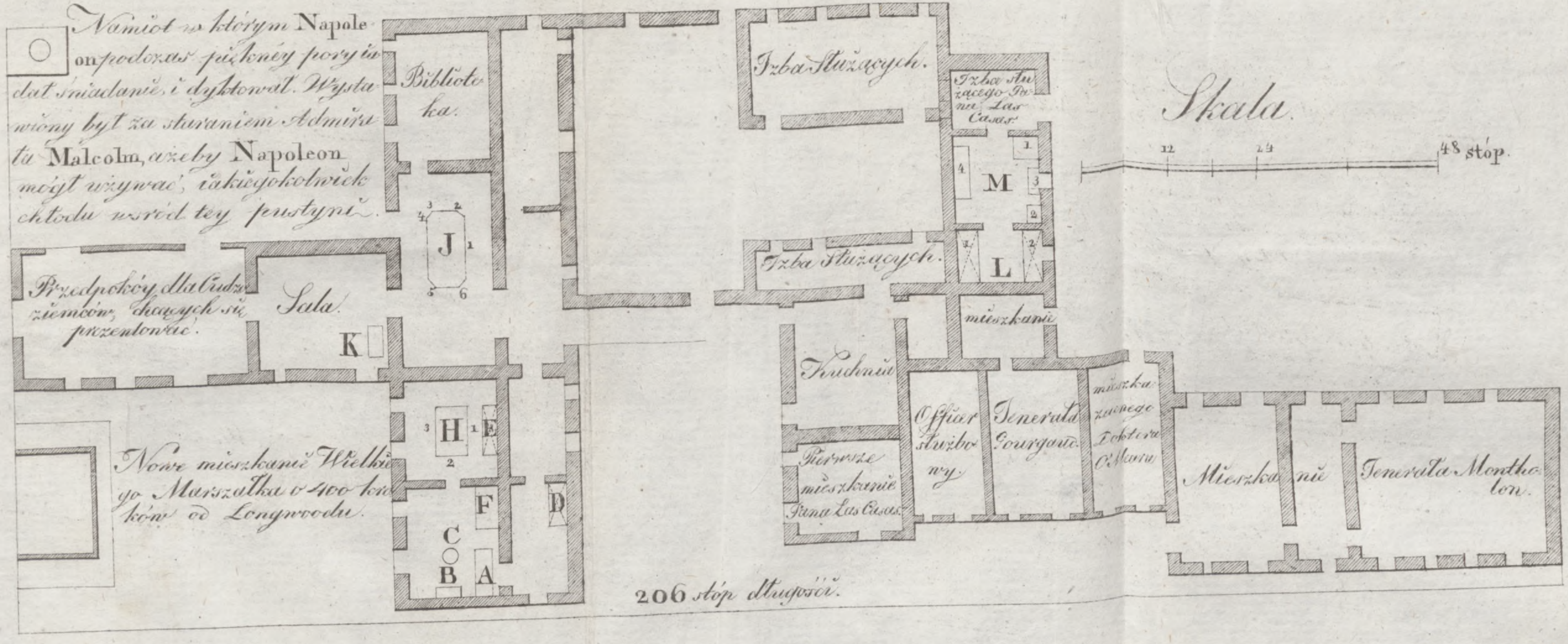
Ale jakież to pole wybrał duch stronnictw do najzaciętszej walki? Oto Kalendarze. Partja wojskowa wydała kalendarzyk, w którym dzień każdy nie imieniem świętego, ale aż dwoma zwycięztwami Francuzkiemi był naznaczony. UltraRojaliści wygotowali z swojej strony także podobną litanją zwycięztw, ale wspomnieli tylko wojny z czasów monarchicznych i wyprawę Wandejską. Zarzucili im na to wojskowi, że hańbą jest dla obywatela, chlubić się zwycięztwami wojny domowej, że widoczne niepodobieństwo zapełnienia miejsca, przymusiło ich do sławienia tego co jest szkodą narodu, gdy tymczasem pierwszy kalendarzyk zajmuje jedynie korzyści nad zewnętrznym nieprzyjacielem odniesione. *Boissot Thivars* najczynniejszy Drukarz strony wolnomyślnej, wydał liberalny kalendarz ścienny. Jest to wielki arkusz sztychowany, w którym pomiędzy dwoma pięknemi kolumnami, przytoczone są znakomitsze wypadki z Historji, które ludzkiemu rozumowi zaszczyt przynoszą, i wykazują postęp oświecenia i wolności obywatelskiej. Na wierzchu w wieńcach laurowych umieszczone są imiona znakomitszych mówców liberalnych. Ponieważ zaś w przeciwieństwie wszystko się wydaje najlepiej, wygotował tenże sam *Thivars*, *Kalendarz Feodalny*. Na samem czele widać potężny gaśnik, znak niewoli, i herby Państw obcych. Rojaliści nieuważając

na ten żart, ułożyli *Kalendarz Krolewski*, poświęcony jedynie wspomnieniom monarchicznym. Niebrakowało także Almanachów dla dam. Wszystkie na pięknym papierze, wybornie drukowane, przepysznie oprawne, ale z treści bardzo nędzne. Każdy młody Francuz pisze wiersze; te próbki w tak wielkiej są ilości, iżby zapełniły dwa razy więcej kalendarzyków. Zgraja Poetów porozumie się łatwo z wydawcami. Nie żąda bynajmniej nagrody, niejeden nawet chętnie zapłaci, byle imie jego było wydrukowane. Tak więc Drukarze zapełniają bez kosztu tomy i tomiki samemi nowościami, które lubo niewiele warte, jednakże przy pięknych sztychach i złotych brzegach idą na toalety dam, a ztamtąd między pokojówki.

W kościele Najświętszej Panny, otworzono już kaplicę Śgo Jana w której przyjaciele sztuk przyglądają się z upodobaniem pomnikowi Kardynała *Belloy* wystawionemu przez *Deseina.* Największą ciekawość w mieście, wzbudza teraz Kosmorama wystawujące koronacją Ludwika XVI: w Rheims roku 1775. Wszystko jest naśladowane bardzo dokładnie, architektura, ozdoby, ubiory, a nawet twarze znakomitszych osòb, jako to Królowej Marji Antoniny, Xiężny Lamballe, i wielu urzędników dworu.

Literatura Francuzka zwróciła się teraz zupełnie na politykę. Niewiem czyli kiedy pisano o jednym przedmiocie tyle, co teraz o Napoleonie. Między innemi, bezimienny Anglik wydał listy o tym nadzwyczajnym człowieku. W nich oddaje mu sprawiedliwość, że w nieszczęściu swojem postępował zawsze z największą godnością, oskarża rząd Angielski o okrucieństwo, i kończy tą myślą: iż więcej teraz szanuje Napoleona w koronie cierniowej, niż kiedy głowa jego jaśniała Cesarską ozdobą. Autor rozbiera także przyczyny, dla ktòrych Napoleon niechce odpowiadać gdy go nazywają Jenerałem; dowodzi, iż Anglja nawet przyznała mu godność Konsula, i z tej okoliczności przytacza następujący wypadek: Na Wyspie Śtej Heleny Gubernator posłał mu bilet zapraszający na bal *Jenerała Bonaparte.* Napoleon uśmiechnął się, i rzekł: „Odeślijcie to Jenerałowi Bonapar-

Plan Longwoodu.



te. Ostatnie wiadomości odebrałem od niego z pola bitwy pod Piramidami i z góry Tabor."

Literatura Polska.

Faust Trajedja w 5. *Aktach A. Klingemana z niemieckiego przetłumaczona*. Edycja u *Glücksberga* starowna, dochód przeznaczony na jak najpiękniejszy użytek, bo dla Instytu Głucho-Niemych, Ortografja od wszystkich używanych nieco rożna, lecz krótkość miejsca niepozwala zastanowić się nad nią. Przejdźmy raczej do treści sztuki.

Faust mistrz w najtajemniejszych umiejętnościach, wynalazłszy sposób drukowania, udaje się po nagrodę i wsparcie do Cesarza, lecz źle przyjęty, wraca z sercem zranionem do ubogiego domu, i ażeby się zemścić nad niewdzięcznemi ludźmi i niebem głuchem na jego prośby, zawiera przymierze z czartem, który obiecuje wszelkim jego życzeniom zawsze zadość uczynić, a za to Faust zapisuje mu duszę swoję, pod tym jednakże warunkiem, jeżeli się dopuści czterech zbrodni. Otóż jest węzeł sztuki, jakież będzie jej rozwiązanie? Czart w postaci *Nieznajomego* wszelkiemi sposobami naprowadza swego sprzymierzeńca na drogę zatracenia, a przez miłość ku *Helenie*, piękności piekielnej, przywodzi go do zabicia własnej żony, z nią dziecięcia, a nareście ojca. Otóż spełnione trzy zbrodnie. Północ bije, czart się daje poznać, a pokazując zawartą umowę: „Twój podpis *czwarta zbrodnia*." woła na Fausta i porywa go do wiecznej otchłani.

Tłumacz przejęty uszanowaniem dla Autora którego przekładał, wyraźnie oświadcza na wstępie, iż to dzieło jest *doskonałem* (karta LX.) a rozbierając innych Autorów co również pisali o *Fauście*, nad wszystkich, a szczególniej nad *Goetego* przenosi *Klingemana*. Nim to jego zdanie będziemy mogli podzielić, zastanówmy się nieco obszerniej nad Trajedją którą przełożył.

Wystawienie człowieka wpadającego z jednego wykroczenia w drugie, żywe odmalowanie jak ściśle zbrodnie wiążą się z sobą, jak próżnem jest ich liczenie lub odróżnianie, bo kto pope.ni jednę już popełnił wszystkie; ta część sztuki jest prawdziwą jej zaletą, jest tryumfem Autora. *Klingemann* zrzucił pęta wszelkich przepisów dramatycznych; scena przenosi się wielokrotnie na miejsca najodleglejsze, sztuka trwa przynajmniej kilka miesięcy. Zgadzam się ja z tłumaczem, że te dwie okoliczności mniej są ważne, i że powinniśmy raczej naśladować wolność Anglików i Niemców, niż skrupulatność Francuzów, lecz im obszerniejsze są środki, tym więcej żądać można w wykonaniu. Kto porzuci zwykłe prawidła, niezwykłemi pięknościami zastąpić je powinien. Tak uczynił *Goete.* W swoim Fauście wystawił nam istotę nadnaturalną, coś nieodgadnionego, zgoła dał nam takie wyobrażenie, jakie w owych ciemnych wiekach wzbudzać musiał ten sławny czarnoxiężnik. *Klingemann* chciał być może użyteczniejszym chciał oddać niemylną karę zbrodni w nadzwyczajnym obrazie, starał się więc (przypuściwszy możność przywoływania złego ducha) jak najściślej zachować prawdopodobieństwo, lecz w tem właśnie zdaje mi się iż uchybił celu, bo poddając naturalny bieg rzeczy wpływom nadprzyrodzonym, uczynił dzieło swoje mniej moralnem. *Faust* popchnięty jest w przepaść siłą, której się oprzeć niemoże. Jaki widok dla biednych ludzi!

Faust lubo gorszy co chwila, utrzymuje jednakże do końca tenże sam charakter.

Z natury jest cnotliwym, ale w nim wpojona
Krnąbrność, myśli zuchwałe i pycha szalona.

Gdy wrócił od Cesarza pozbawiony wszelkich nadziei, żona radzi, ażeby pokornie prosił nieba; oburza się jego duma. „Co? zawoła.

Prosić? tylko kobieta modli się i błaga,
Lecz broni się mężczyzna i grozi....

W tem rozjątrzeniu idzie zaprzedać się czartu, spotyka go, już chce mu rozkazać, lecz niemając jeszcze tej władzy, odzywa się:

Ha zjawisko nocy!
Czy niedrżysz? czy się mojej nie lękasz przemocy?
Klątwa którą wyrzeknę tak piekło zatrwoży,
Że cię jak niewolnika u nóg moich złoży.
Od bieguna mój rozkaz będzie cię przesadzać
Do bieguna!...

Spełniona wreście okropna umowa. Podpisał ją nieszczęśliwy *Faust* krwią z lewej ręki puszczoną. Smutny wychodzi na scenę:

Dotychczas na tej dłoni pozostaje rana,
Nigdy już do zgojenia, nigdy niezmazana.
Krew z serca się dobyła zarznięciem głębokiem,
W zakład czarnej przepaści, niezmierzonej okiem,
Krwią podpisałem; ale ufam w przeznaczenie.
Cztery przestępstwa (takie jest *umowy* brżmienie)
Własną jego osobą uczynić mnie mogą.
Przymierze to, niemoże nabawiać mnie trwogą.
To dręczy, iż za krótkie życie, z tej ugody
Dać trzeba piekłu... chociaż nadzieję nagrody.

Nietrzeba wspominać jak pięknym jest wiersz ostatni. Lecz wkrótce w piersiach *Fausta* powstaje gniew na sprawcę swej niedoli. Chce go przynajmniej dręczyć jak może.

Z Erebu wywołuję żmije jad ziejące,
Mym posłuszne rozkazom niech staną tysiące!
Słowem skruszę wrzeciądze miedzianych podwoi,
Czarty Fausta się boją, Faust się ich nieboi.

Czarne straszydło! twoje niech będą męczarnie
Czcić cnotę, moja radość gnębić cię bezkarnie.
W kądla czarnego będziesz przybranym postawę,
Czołgając się przy stopach, wycierał kurzawę.
Zgniotę cię, gdy mnie wściekłe napadną zapały.

Ta zuchwałość nieopuszcza go nawet i wtenczas, kiedy po dopełnieniu umowy staje się ofiarą czarta.

. . . . Ja Faustem jestem! ty plemię padalcze!
Krnąbrny! Ja twoim mistrzem, padnij na kolana!

Tak we wszystkich tych okolicznościach, widziemy jedne rysy bohatera sztuki. *Katarzyna* żona jego, słodka, powolna, ginąc nawet z ręki męża, modli się za niego; stary *Dyteryk* za ostry mi się zdaje dla syna, charakter zaś *Wagnera* jest zmienny a prawie żaden, osobliwie porównywając rozmowę jego między uczniami i scenę z Katarzyną; ale wprowadzenie Diablicy na scenę pod postacią Heleny, oburza więcej jeszcze, niż przeraża. Sam autor tak ją maluje:

... Na swych jagodach ma kolor różowy.
W ciemnogęstych warkoczach, z czarnemi oczami,
W których zarzy się skrycie jej żądza iskrami.
Wzdymają się jej śnieżne piersi nakształt fali,
Kiedy je podczas burzy morze rozzuchwali.

Mimo tej okropności, sztuka przywiązuje do siebie, i do końca utrzymuje uwagę. Z wielką trudnością przyszłoby mi dać o niej zdanie, bo piękności okupują w części uchybienia, ale jej naśladowania nikomubym nieporadził.

Przekład z początku mniej gładki, prawie co scena jest piękniejszy, a jeżeli tłumacz jak sam mówi jest poczynającym, we wszystkich dalszych dziełach, w tym samym stosunku postępować będzie, Literatura Polska pokładać w nim winna wielkie nadzieje.

NIESZPORY SYCYLIJSKIE. (*)

Akt V.

SCENA I.

AMELJA sama. *(noc)*

AMELJA.

Gdzież jestem?...obłąkana!..jakąż czuję trwogę?
Przebóg! znaleść tu nawet Elfrydy niemogę.
Niemasz Rogiera!..wszystko noc okrywa ciemna.
Błądzę... Skąd ta okropność i bojaźń tajemna?
On walczy... O jak ta myśl zakrwawia mi serce!
Rzuca się, łamie szyki, odpiera morderce.
Słyszę dzwon..Niebył próżnym głos twój Loredanie.
Straszną mi przyszłość twoje wróży pożegnanie,
Przewidziałeś okropność... Twoje słowa wieszcze,
Sklepienia tych miejść smutnych powtarzają jeszcze.
Przebóg! skąd te odgłosy... zguba moja bliska...
Zagrzebiąż mnie w swych gruzach murów tych zwaliska?

(1) Treść tej sztuki umieszczoną jest w No: 52. Tygodnika na rok 1819.

Uciekajmy... drży ziemia... ta ciemność straszliwa,
Ten grom... Bóg nas Rogierze, Bóg przd siebie wzywa.
Dzięki niebu, to ona... ona... w imie Boga
Zaspokój mnie, przybliż się, mów Elfrydo droga!

SCENA II.

AMELJA, ELFRYDA.

ELFRYDA.

O widoku okropny, o straszliwa nocy!

AMELJA.

Mów, żyje Rogier?

ELFRYDA.

Niewiem, czy uległ przemocy.
Przybyłam do świątyni, to Boskie ustronie
Zdobiły jeszcze kwiaty, napełniały wonie,
Jeszczcze lud skruchą zdjęty, padłszy na kolana,
Pieniem Króla Proroka błagał niebios Pana.
Wtem zadrżały sklepienia, trwożym się, słuchamy,
Wzmógł się straszliwy odgłos... rozwarły się bramy,
Zlękłe niewiasty, starce, dzieci i kapłani,
Zawarli wszystkie wyjścia; grożący, ścigani,
Wśród nacisku, postrachu, rozpaczy i trwogi,
Wszyscy z pośpiechem święte opuszczają progi.

„Wojna, wojna tyranom!“ od stopni ołtarza
Powtarzają kapłani, lud cały powtarza.
„Wojna!“ wołają dzieci. — Chcę odejść ... niemogę..
Tłumy napływające zawarły mi drogę.
Wzmógł się w zwycięzcach zapał bezbożny, zuchwały,
Zewsząd się przy ołtarzu ich tłumy zbierały.
Czekają w zadumieniu. — Wtym ludu gromada,
Wśród wściekłości odgłosów na Francuzów wpada.
Walczą... krew płynie... liczba już przemaga męztwo,
Już ku stronie powstańców chyli się zwycięztwo.
Wtym wbiega rycerz, drogę orężem toruje,
Ustępują mu hufce, lud mu ustępuje.
Był bez zbroi, szyszaku. Już zwycięztwa bliscy,
„To Rogier.“ zawołali, i zadrżeli wszyscy.
„Tak zdrajce! imie moje jest zguby wyrokiem,
„Uciekajcie.“ rzekł z dumą i gromiącym okiem.
Mierzy dowódzcę, mierzy każdego rycerza,
Kurzący się krwią oręż podnosi... uderza...
Lud cały ogarnęła nadzwyczajna trwoga,
Mniej-by go był przeraził grom samego Boga.
Na to wchodzi Procyda. Lud przy nim się zbiera,
Krzepi męztwo, rzuca się, otacza Rogiera.
Za ojcem wbiegł Loredan, milczący, strwożony.
Wzmaga się ludu zapęd, walczą obie strony.
Widziałam, gdy ich zapał wściekłości uwodził,
Jak ziomek na współziomka, brat na brata godził.

Zwycięzców, zwyciężonych głosy się łączyły,
Odbiło je powietrze, grobowce odbiły.
Wątpliwem jeszcze było walki rozstrzygnienie,
Kiedy już noc ponure rozpostarła cienie,
Przerażona morderców straszliwym widokiem,
Wychodzę, powracam tu, spieszę drżącym krokiem.
Tysiąc tam jeszcze ginie, tysiąc już zginęło.
Jutroż ujrzym straszliwe nienawiści dzieło?
Oby ta noc okropna w ciemnościach ukryła
Bezprawie i morderstwa, których świadkiem była.

AMELJA.

Nieraczyłeś przebaczyć, zagniewany Boże!
Rogier już potępiony, już nieżyje może,
Wychodźmy...

SCENA III.

AMELJA, LOREDAN, ELFRYDA.

LOREDAN.

Opuszczam cię tłuszczo zaślepiona!
Wściekłość poczęła zbrodnię, wściekłość niech dokona.

AMELJA.

Loredan!

LOREDAN.

Wasze cienie ... tak! to wy błądzicie!
Wy! co w tej strasznej nocy straciliście życie,
Płaczę losu waszego, wielbię wasze cnoty.
Frankowie! przebaczcie mi... umieram z zgryzoty.
Tak zginęli, jak ginąć rycerzom przystoi.

ELFRYDA.

Odważ się go zapytać.

LOREDAN.

Ach przodkowie moi!
Powróćcie mi spokojność. Świętej broniąc sprawy
Godnym się okazałem krwi waszej i sławy.

ELFRYDA.

Zbliż się.

LOREDAN.

Czyj głos? może się morderca ukrywa?
Tak, ja.

AMELJA.

Przebóg!

LOREDAN.

Jamże was przemógł!

AMELJA.

Nieszczęśliwa!
Wzdrygam się gdy chcę poznać skrytość mego losu.

LOREDAN.

Sam, w nocy, nieodparłby śmiertelnego ciosu,
Z innej ręki zapewne zgonby go nieminął,
Chciał ojca mego zgładzić, z mojej ręki zginął.
Powinienem był spełnić obowiązek. . .

AMELJA.

Panie!

LOREDAN.

Amelia!

AMELJA.

Skądże ta bojaźń, pomięszanie?
Co widzę? któż się zbliża? postrzegam w tej stronie
Rycerza . . . zwraca ku nam krwią zbroczone dłonie.
To on! Rogier!

LOREDAN.

Zwodzi cię rospacz twego serca.
Mylisz się, wiedz Amueljo, okrutny morderca
Widzę go! czego żądasz? mów cieniu straszliwy!

SCENA IV.

AMELJA, LOREDAN, ROGIER, ELFRYDA.

ROGIER.

Aż do bram ścigał za mną lud krwi mojej chciwy.
Uderzony żelazem pośród nocnych cieni,
Gdym przejrzał, już zniknęli, morderstwem znużeni.

LOREDAN.

To on!

ROGIER.

Nieba mi wkrótce przytomność wróciły.
Miłość upadające pokrzepiała siły,
Serce moje przy tobie nowe życie bierze.

AMELJA.

Ach, jeszcze cię zdołamy ocalić Rogierze!

LOREDAN.

Ziemio! rozstąp się!

ROGIER.

Ty mię wspierasz... srogie losy!
Próżno zgubne nademną zatrzymałeś ciosy.
Dowódzca buntowników już z placu uchodził,
Ścigałem go, wtym mnie cios śmiertelny ugodził.
Noc była, niedostrzegłem mordercy... w tym stanie.

LOREDAN.

Będziesz pomszczonym.

ROGIER.

Jako! znasz go Loredanie?

AMELJA.

Ty!...

LOREDAN.

Sam sobą się brzydzę, jam jest twój zabójca,
Złorzecz mi i lituj się... chciałem bronić ojca.
Zewsząd już życiu jego grozili rycerze.
Dobiegłem... i ten oręż... przebacz mi Rogierze!
Przebacz mi, na tę przyjaźń oddawna powziętą,
Na cel twojej miłości, na tę miłość świętą,
Miłość, której okropność każdy z nas podziela,
Na przyjaciela proźby, na łzy przyjaciela.
Pokrzepię twoje siły, dłoń twoją uzbroję,
Uderz Rogierze! uderz, oto piersi moje.
Uderz, mścij się, lecz przebacz!

ROGIER.

Czuję własną winę,
Duma mię zaślepiła, sprawiedliwie ginę.
Jakież siły w obronie tyranów wystarczą?
Miłość tylko rządzonych, jest rządzących tarczą.
Przystąp tu Loredanie!.. Już śmierć moja bliska,
Niech jeszcze przyjaciela przyjaciel uściska.

LOREDAN.

Rogierze!

AMELJA.

O Rogierze!

ROGIER.

O Ojczyzno luba!
Niech cię moja do zemsty niezapala zguba.
Nienaśladuj Francio! ich mściwego męztwa,
Więcej masz chwały z cnoty, niż oni z zwycięztwa.

(kona)

SCENA V.

Ciż sami. PROCYDA z orężem w ręku, Sprzysiężeni z pochodniami.

PROCYDA. *(w głębi Teatru.)*

Upadły już tyrany, wolniście ziomkowie!
Niech się o zgubie rządzcy, dumny Karol dowie.
Pójdziem gdzie nas ojczyzna i wolność powoła,
Kto ją zdołał odzyskać, ten bronić jej zdoła.
Co widzę? tyż to Synu! możesz bez wzdrygnienia
U nóg tyrana twego błagać przebaczenia?
Kiedy się dla nas przyszłość otwiera szczęśliwa,
Niewczesna w sercu twojem litość się odzywa!
Oby imie Rogiera nazawsze zginęło!
Zwyciężyłeś tyranów, szanuj twoje dzieło!

LORCDAN.

To zwycięztwo jest zbrodnią, chwałę moję plami.
Jakże się tak srogiemi brzydzę prawidłami!
Sądzisz że się tym czynem w potomności wsławiem,
Bezprawie uświęcone, czyż niejest bezprawiem?
Sycylia, przed czasem zbrodni dokonania
Wzbraniałaż mi się schańbić? dziś mi płakać wzbrania.
Przez wściekłość, na twoj rozkaz, w ojczyzny potrzebie,
Poświęciłem przyjaciół, poświęciłem siebie:
Zdradziłem przyjaźń, miłość, czynów moich godła,
Zbrodnia mnie do najcięższych udręczeń przywiodła,
Wwiódł mnie do spisku ojciec i ojczyzna cała,
Wszystko w nim utraciłem, rozpacz mi została.
Czegóż żądasz wolności? wróć mi moją cnotę!
Lub mi zostaw przynajmniej rozpacz i zgryzotę!
Zacznij już w tej krainie zacznij panowanie.

(do Ojca)

Twój czyn niech potomności przykładem się stanie.

(do Rogiera)

Nieszczęśliwy Rogierze! zgonu twego płaczę,
Przebaczyłeś mordercy, ja mu nieprzebaczę.

(zabija sie)

PROCYDA.

O nieba! co za wściekłość! ah cóżeś uczynił?

LOREDAN.

Idę zatobą.... ojcze, niebędziesz mię winił.
Zyj w szczęściu... święte mnie z nim łączyły ogniwa,
Gdzie ja spoczywać będę, niech i on spoczywa.
Kiedy nad nim zapłacze Amelja stroskana,
Może łza która zrosi i grób Loredana.
Ach, kocham cię ... umieram....

PROCYDA.

Synam mego stracił!
Alem sławę ojczyzny tą stratą opłacił.
Ojczyzno! przebacz smutek, przebacz mi łzy moje.
(po chwili milczenia do sprzysiężonych:)
Równo ze dniem na nowe gotujcie się boje! —

D. Lisiecki.

Wiadomość o Lordzie Byron.

Mając w zamiarze umieszczać niektóre wyjątki z dzieł *Lorda Byrona*, nie od rzeczy będzie uprzedzić je rzutem oka na pisma i życie tego sławnego Poety, bo obiedwie te okoliczności zarówno niemogą być obojętnemi.

Sprawa Romantyczności staje się coraz mocniejszą w Literaturze. Próżno czciciele wyłączni klassyków powstają na wszelkie nowości; są gienjusze niepodległe, co niecierpiąc jednostajności prawideł, nieznają innego przewodnika prócz własnej wyobraźni. Lord Byron jest na czele tych Poetów, na czele Poetów romantycznych. Mimo dziwaczności przedmiotów które wybiera, dowiódł, że ogień którym tchną jego płody, piękność szczegółów i śmiałe myśli, dostatecznie okupują wykroczenia w przepisach.

Ojczyzna Lorda Byrona niejest granicą jego sławy. Oddawna dzieła jego znane są w języku Danta i Arjosta, a pierwszy z tych Poetów, najwięcej ma podobieństwa z Bardem Angielskim. W oryginalnej powieści *Beppo* i w ulotnych wierszykach dowiódł Lord Byron, iż żaden rodzaj niejest mu obcym; ale najmocniejszym jest malarzem namiętności ponurych i gwałtownych.

Pisarz ten wyniosły i szczytny, mimo braku związku w niektórych jego płodach, umie dodać wdzięku rozbujałym wyobrażeniom, i niebieską pięknością ozdobić czyny godne nagany. Niezawsze bohaterowie jego pieśni mogą przywiązać do siebie. Niesą to rycerze owych dawnych wieków, pełni honoru i grzeczności, Byron wybiera jedynie takich,

dla których nic niejest świętem, i co nieznają innego prawa prócz prawa oręża.

Nieprzyjaciele Lorda Byrona utrzymują, iż w osobach które wystawia, maluje siebie samego i czyni je tłumaczami własnych uczuć; gdy jednakże w jego pismach znajdujemy tyle odmiennych charakterów, łatwiej przypuścić że kreśli zmyślone obrazy.

Wszyscy bohaterowie *Byrona*, oddychają czarną mizantropją, na każdej karcie widać największą pogardę dla ludzkości, zdaje się jakoby szlachetny Lord wstydził się że jest jej członkiem. Ciężkie zgryzoty rozwinęły w sercu jego tę melancholją, do której równie jak Jan Jakób *Rousseau* od natury był usposobiony. W młodym wieku wypróżnił kielich goryczy, prześladowany, szarpany obmową, samowolny wygnaniec z ojczyzny, Autor nasz mógłby sam zostać bohaterem romansu.

Familija *Byronow* jest bardzo dawna, imie jej zajmuje najpiękniejsze karty w historji. Pola Creci i Azincourt, świadkami były wielkich czynów przodków Poety, którzy w dawniejszych jeszcze czasach, pod sztandarami Ryszarda Lwie-Serce, z chwałą walczyli w tych krajach, w których ich potomek szukał Poetycznego natchnienia.

Familja Lorda *Byron* towarzyszyła Wilhelmowi zdobywcy, gdy się koronował Królem Wielkiej Brytanji, w nagrodę otrzymała posiadłości w Hrabstwach Jork i Lankaster. Podczas nieszczęśliwych wojen za rządów Karola I. familja ta zachowała nieskazitelną wierność Królowi, za otrzymane dobrodziejstwa wywiązała się krwią swoją, a wdzięczność Stuartów jednego z niej wyniosła do godności Para z tytułem Barona. Matka teraźniejszego Lorda pochodzi od córki Jakóba II. króla Szkocji. Ten długi szereg naddziadów, nieskłonił jednakże Lorda *Byron* do zajęcia miejsca w świetnym Senacie Brytanji, gdzie go wzywało równie urodzenie, jak osobiste talenta. Gienjusz poety wzgardził teatrem, na którym prawda i miłość ojczyzny tak często jest poświęcona duchowi stronnictw, a wymowa nadużywana dla trjumfu fakcji. Przyjaciele wolności ubolewać powinni, iż ten co w dziełach swoich z takim ogniem broni ich sprawy i niepodległości narodów, niepodnosi głosu w zgromadzeniu, mającem tyle wpływu na losy Europy. Nienawiść *Byrona* ku wszelkim niesprawiedliwym najezdcom, ściągnęła na niego zarzut że powstawał przeciw chwale ojczystej. Ten Poeta czciciel zapalony wawrzynów w Salaminie i Maratonie zerwanych, równie jak pomniku wolności Szwajcarskiej wzniesionego na polach Mora,

uważał zwycięzców pod Waterloo za płatnych niewolników, walczących przeciw tyranowi, dla ustalenia władzy nowych tyranów.

Byron chociaż powszechne wzbudził oburzenie w Anglji, pochwałami jakich nieszczędził największemu jej nieprzyjacielowi, nigdy jednakże nieodstąpił od swoich zasad; przebieżmy jego dzieła, wszędzie widziemy sławionych zdobywców i wojowników, charakter ich zdawał mu się zawsze płódniejszym w piękności poetyczne, niż spokojne cnoty. Chwała choć na nieszczęściu ludzi oparta, czyni na nim wielkie wrażenie. Zaślepia go świetność zwycięztw, nadzwyczajna moc umysłu uderza zarówno w wielkich cnotach jak w wielkich zbrodniach, a tyranów ziemi opiewa jak bohaterów.

Zrzekłszy się korzyści jakie mu znakomite urodzenie zapewniało w ojczyznie, młody Lord użył lat dojrzałości na zwiedzenie narodów Europejskich, i odprawienie pielgrzymki do ziemi klassycznej Włoch i Grecji. Tam to za każdym krokiem nowe coraz przedmioty obudzają drogie wspomnienia w przyjacielu sztuk i umiętności. W samotnych marzeniach, zdumiewał się on nad obrazami które ojciec poezji z taką wiernością opisał, że je po tylu wiekach, tylu gwałtownych wstrząśnieniach na Wschodzie, jeszcze łatwo rozpoznać można. Pełen zapa-

łu dla zdarzeń, których pamiątkę obudziły w nim miejsca zwiedzane, chciał sprawdzić powieść Owidjusza, i przepłynąć jak Leander cieśninę Abydos. Niebezpieczne to przedsięwzięcie udało mu się jak najlepiej, lecz roztopione śniegi tak oziembiły wodę, iż przybywszy do brzegu, niebezpiecznie zapadł na febrę. We wszystkich Poematach Lorda *Byrona* opisy Grecji pełne są obrazów, są godne pięknego nieba, któremu Poeta winien natchnienie. Równą słodycz znajdujemy tam gdzie opiewa Włochy, brzegi Klitumnu, lasy Egierji; ale najmocniej sławne zwaliska działają na jego wyobraźnią. Posłuchajmy co mówi w poemacie *Childe-Harold.*

„Rzym, Niobe Narodów, staje przed nami, pozbawiony dzieci i laurów, niema głosu którymby się użalał na długie niedole. Ręce jego piastują próżną urnę, z której święte prochy od dawna rozrzucone. Pomnik Scypjona niezawiera dziś jego popiołów . . . Tak jest! nawet i groby niesą już mięszkaniem rycerzy. Czy możesz płynąć starożytny Tybrze w tych pustyniach marmurowych? wznieś twoje płowe bałwany, zakryj niemi ohydę Rzymu."

Za powrotem z dalekich podróży, ogłosił *Byron* znakomitsze swoje poemata, i pierwsze pieśni *Childe-Harolda.* Te dzieła ustaliły jego sławę na

złość krytykom Szkockim, co musieli nareście przyznać, iż Walter Scott, ów Ossjan teraźniejszy, Arjost Kaledoński, niższym jest od młodego Anglika, na którego niedawno klątwę rzucili. W dwudziestym albowiem roku wydał *Byron* pierwsze próbki swojej muzy, które lubo niebyły doskonałemi, jednakże już okazywały czego się po nim spodziewać. Redaktorowie Dziennika *Edimbourg Review* zamiast coby mieli zachęcić wzrastający jego talent, wymierzyli przeciwko niemu najostrzejszą krytykę! Poeta odpowiedział Satyrą godną Juwenalisa; nieoszczędził żadnego z swych nieprzyjaciół, a wszystkie razy które im zadał, są śmiertelne.

Ale te zaczepki niebyły źródłem prawdziwych nieszczęść Lorda *Byrona*. Cała Anglja pochwaliła związek jego z córką Pana Ralph Milbanck dziedziczką majątku i zaszczytów domu Wentworth. *Byron* lubo ją kochał, niebył jednakże stałym. Grzeczna przyjaciołka żony, powiększyła w jej oczach winę męża i obmową zatruła jej serce. Już niebyło nadziei zgody. Potężna familja żony, wzbudziła powszechne oburzenie przeciwko *Byronowi*, i żądała rozwodu. Znaną jest tkliwa Elegja w której Poeta żegna się z tą, co mu odmówiła wspaniałego przebaczénia. Odtąd sam się wygnawszy z ziemi rodzinnej, błądził w nieustannym żalu po obcych kra-

jach, równie nienawidząc swych ziomków, jak wszystkich ludzi.

Mówią że gdy Lord *Byron* w Coppet odwiedził Panią *Stael*, wszystkie Angielki znajdujące się u niej, wyszły na samo jego wspomnienie. W istocie mają do niego wielkie urazy, bo oprócz tego że woli być kosmopolitą niż Anglikiem, szczególniej zawinił Nimfom Tamizy gdy w poemacie Childe-Harold oddając palmę brunetkom Hiszpańskim, mówi: „Komuż się podobają na północy te twarze blade i bez żadnego wyrazu, te postaci mdłe i bezsilne?"

W roku 1818. *Byron* mięszkał w klastorze blisko Wenecji i tam dokończył czwartej pieśni swojego Childe-Harolda. On sam przekłada to Poema nad wszystkie inne, i najczęściej w niem występuje na scenę. Dobry gust wiele temu poematowi może zarzucić; niemasz w niem żadnego ciągu, żadnej sytuacji, myśli bez związku, czasem ciemne i niezrozumiałe, ale uczucia żywe i szlachetne, moc wyobrażeń połączona z wdziękiem stylu, przywięzuje czytelnika. Childe-Harold jest młody człowiek którego sytość uciech wypędza z ojczyzny. W tym obrazie Poeta maluje sam siebie, maluje wrażenia jakie na nim uczyniło wszystko co widział

w podróżach, a kto dostatecznie pragnie się zapoznać z charakterem i duchem Lorda *Byrona*, niech czyta Childe-Harolda.

Pamiętniki do Historji powtórnego Panowania NAPOLEONA.

Pod tym tytułem wydał niedawno w Londynie Fleury de Chaboulon dawny Sekretarz Cesarski dzieło w dwóch Tomach, w którym opisuje życie prywatne Napoleona na Elbie, powody jakie go skłoniły do opuszczenia tej wyspy, i krótkie jego panowanie w roku 1815. Wszystkie prawie osoby wchodzące do tych pamiętników, bezimiennie są wspominane. Umieścimy tu rozmowę Napoleona z Jenerałem Z. która w nowym zupełnie świetle wystawia ten śmiały krok, co go powtórnie na tron wyniósł.

„Marszałek -- mówi Jenerał *Z.* -- kazał mi się stawić u bramy ogrodowej gdzie Cesarz na mnie czekał, ale miał z początku udawać jakoby mnie nieznał. W istocie zastałem go przechodzącego się z założonemi rękami. Pominął mnie kilka razy, wreście jakby z niechcenia rzucił okiem, i zapytał się po Włosku zkąd jestem? „Z Paryża -- odpowie-

działem -- Interesa sprowadziły mnie do Włoch, i niemógłem się oprzeć chęci widzenia choć raz jeszcze mojego dawnego Monarchy." „Mów mi więc o Francji." rzekł, chodził tam i nazad, wreście zapytał się: „Czy *Y.* niedał ci jakich listów?" „Nie N. Panie." Na tę odpowiedź mimo zaręczeń moich iż równie *Y.* jako i inni Francuzi są zawsze do niego przywiązani, zaczał się gniewać iż tak prędko o nim zapomniano. „Wiem -- zawołał -- co o mnie myślą. Chcą mnie przenieść na Maltę lub na wyspę Śtej Heleny. Ale tego niedokażą, jestem Panem Elby, a w sześć miesięcy niewiedzą co się stać może." Tu uspokoiwszy się nieco: „Czy służyłeś -- rzekł do mnie -- w Wielkiej Armji?" „Służyłem, a nawet tak byłem szczęśliwy, iż W. C. Mość raczyłaś na mnie uważać." „Tak jest, przypominasz mi się, ale niepamiętam gdzie." „Marszałek Nej przedstawił mnie W. C. Mości." „Wszakżem ci przypiął krzyż Legji Honorowej." „Tak jest N. Panie." „Teraz już wiem, bardzo byłem kontent z twojego postępowania."

To mówiąc Cesarz, zaczął być coraz poufalszym: „Powiedz mi też -- rzekł dalej -- jak się z wami ci Burbonowie obchodzą?" „Niezaspokoili -- odpowiedziałem -- oczekiwania Francuzów, a liczba niechętnych wzrasta codziennie." „Tym gorzej,

tym gorzej . . . ale, czy *Y.* niedał ci jakich listów?"

„Nie N. Panie. Bał się żeby mi ich nieodebrano, lecz za to wiele ustnie mi powierzył." Tu zacząłem mu zdawać sprawę z tego co mi było zlecone; niedał mi dokończyć. „Dobrze, dobrze! -- zawołał -- Ci Burbonowie zezwolili na ścieśnienie granic Francuzkich, ja czyniłem wszystko dla chwały mojego ludu. Będzie wiadomo Europie co się działo w Chatillon. Ofiarowano mi Włochy. Odrzuciłem, Francja, albo nic. Wolę Elbę; z niej przypatruję się bliżej Burbonom i Francji.

Podczas tej rozmowy, przechadzał się w największem poruszeniu. „Gdyby nie zdrada, -- rzekł -- Francja stałaby się grobem sprzymierzonych. Ale podłość Marmonta i Talleyranda zniszczyła najlepsze zamiary; nie wszystko jednakże stracone; jeżeli mnie naród wezwie, we dwa dni stanę na jego czele. Jakże ci się zdaje? czy mam teraz wrócić do Francji?" „Lud i wojsko przyjmie W. C. Mość z otwartemi rękami." „A *Y.* co o tem mówi?" „Jest tegoż samego zdania, ale radzi postępować z największem zastanowieniem." Napoleon umilkł, zamyślił się, wreście rzekł: „Bądź jutro u mnie o jedenastej godzinie."

Stawiłem się punktualnie. Napoleon przyjął mnie w sali skąpo umeblowanej. Udawał wesołe-

go, lecz w oczach widać było wielką niespokojność. Oświadczył, iż mnie bierze do swojej służby, kazał mi przysiądz; przysiągłem. Po krótkiem milczeniu rzekł: „Postanowiłem nie mięszać się więcej do wypadków politycznych, lecz wiadomości któreś mi przywiózł, zmieniły to przedsięwzięcie. Stałem się przyczyną nieszczęścia Francji, trzeba mu zaradzić. Boję się jednakże ażeby Wandejczykowie i Emigranci nie zgnębili Patrjotów." „Nie N. Panie, -- odpowiedziałem -- nasza strona jest najliczniejszą i ma najwięcej odwagi." „Tak jest, ale mogą wam głowy poucinać!" „Lud tego niedozwoli." „Spodziewam się, że mnie nie zwodzisz. Teraz potrzeba działać z największym pośpiechem i prędzej stanąć w Paryżu, nim się dowiedzą o mojem wylądowaniu. Z memi Polakami i Grenadjerami na wszystko się odważę. Ale co też powiedzą Gwardje Narodowe?" „Zdaje mi się że będą neutralne." „Więcej niepragnę, bo co się tycze Gwardji przybocznych i czerwonych Regimentów, te i widoku naszego niewytrzymają." „Ciekawy jeszcze jestem ducha marszałków." „Im idzie o pensje i tytuły, oprócz tego bojaźń kary za pierwszą zdradę, każe im się trzymać strony Królewskiej." „Niemyślę ja żadnego karać. Mówią o mnie, żem jest chciwy krwi i zemsty, żem jest potworem, ludożercą; mylą się bardzo, ja chcę tylko, żeby każdy czynił swoję powinność. Monarcha powinien rządzić głową nie sercem. Ogłaszam powszechną amnestją, chcę tylko, żeby z pod tego dobrodziejstwa wyłączeni zostali Talleyrand Augereau i Marmont. Trzeba się zemścić za nieszczęścia krajowe."

Żadnym sposobem niechciał zezwolić na przebaczenie dla tych trzech osób, z resztą był bardzo

spokojny, tylko mu chodziło o to, co myślą począć Sprzymierzeni. „Wreście -- dodał -- mniejsza i o nich, byle Francja mnie niezawiodła. Jeżeli lud za mną powstanie, to wszystko tak pójdzie, jak w pięknych dniach Rewolucji. Nauczyło mnie doświadczenie, że wojskiem niezawsze można lud ujarzmić, ale lud co się sam broni, jest niezwyciężony. Dziś jeszcze niewiem pewno którego dnia puszczę się ku Francji. Murat by mi pomógł flottą swoją, ale mógłby ściągnąć na siebie zawczesną burzę. Trzeba też cokolwiek i losowi zaufać!"

„Francja -- rzekłem -- wzywa dawnego Pana, lud i wojsko jest za nami, obce mocarstwa będą milczeć. Niech tylko W. C. Mość do nas przemówił, to jej odpowiemy. Taki jest w krótkości stan rzeczy."

„Dobrze! wracaj więc do Paryża. Powiedz naszemu Y. że może przed pierwszym Kwietnia stanę na ziemi Francuzkiej, że wszystkim przebaczam, i pragnę trwałym pokojem zatrzeć nieszczęścia wojny." przełożyłem Napoleonowi na jakie wystawia mnie niebezpieczeństwo, i że mój powrót może wzbudzić podejrzenie. „Niebój się -- rzekł -- czyż to Policja wszystko wie i przenika? Za moich czasów lepszą była niż teraz, a jednak tyle rzeczy prześlepiła. Twój powrót może wprawdzie wpaść im w oczy, ale korzyści jakie z niego wypłyną przeważają tę małą niedogodność, trzeba żeby Y. wiedział o moich planach, a gdy ja tu wyląduję, moi przyjaciele muszą na inną stronę zwrócić uwagę Burbonów." Nagle zatrzymał się: „W podróży -- rzekł -- trzeba pieniędzy, każ sobie wyliczyć 2,000. dukatów." Odrzuciłem tę ofiarę z dumą i niechęcią. Napoleon powiedział mi wiele uprzejmych wyrazów, i o północy kazał się puścić w podróż.

Ale ledwo stanąłem w mieście, znowu przysłał po mnie.

„Jeszcze jedno mam dodać -- rzekł -- trzeba mi wiadomości o stanie wojska. Pisz do mnie potrójnie, na Gienuę, Livorno i Civita-Vechia, pod adresem mięszkańca tej wyspy T.... Listy twoje układaj w sposobie korrespondencyj handlowych. Jeżeli np: między Lugdunem a Grenoblą stoi pięć pułków, to mi napisz iż po drodze spotkałeś 5. kupców wiadomych, że ich kredyt rośnie coraz bardziej, a plany są też same." „Ale N. Panie -- odpowiedziałem -- jak począć z imionami Jenerałów i Półkowników?" „Przekładaj litery różnym sposobem to ja dojdę wszystkiego." „Takie anagramata niesą rzeczą nową. Nieprzyjaciele nasi łatwoby ich doszli." „Któżby listy kupieckie na pocztach przetrząsał! Jednak ja się nieupieram, jeżeli wiesz lepszy sposób, to mów."

Po krótkim namyśle rzekłem: „Czy W. C. Mość ma ostatni kalendarz Cesarski?" „Naturalnie." „Otóż w tym kalendarzu jest lista wszystkich wyższych Officerów pod numerami. Dajmy na to że w Chambery stoi oddział Pułkownika Paul. Biorę kalendarz i widzę że Paul jest w rzędzie 47my piszę więc zaraz do W. C. Mości, że: byłem w Chambery i widziałem naszego korrespondenta który mi wypłacił rachunek pod liczbą 47.

Sposób ten podobał się Napoleonowi. Mówił jeszcze cokolwiek o swoich nadziejach i zamiarach, potem uściskał mnie serdecznie, a w dwie godziny już byłem na morzu.

Podróż Autora z Warszawy do Wód, przez niego samego napisana.

I. Przedsięwzięcie.

Ja. Ale niewiesz kochany Doktorze, że dziś jeszcze oczekuję Nominacji.

Doktor. Doprawdy.

Ja. Mam najmocniejsze zapewnienia.

Doktór. Trzeba koniecznie jechać.

Ja. Odpowiedź od Ministra...

Doktór. Jechać kiedy mówię!

Ja. Nominacja może przyjść jutro.

Doktór. A WPan umrzesz po jutrze.

Ja. To będę wyexkuzowany.

Doktor. Zupełnie.

Ja. Dokądże to mam jechać?

Doktor. Do Warmbrunn. Z czterdziestu chorób które się tam mogą wyléczyć...

Ja. Ja mam najmniej dziesięć. Wiesz o tem najlepiej Panie Doktorze.

Doktor. Naturalnie. Tak więc przyjacielu,

jutro jeszcze musisz przejechać Wolskie rogatki, zapiszę ci dietę, którą w kąpieli ściśle zachowywać będziesz.

Ja. Wolę dziś jeszcze zacząć, bo to podróż jest rzeczą bardzo niebezpieczną.

Doktor. Pewny rodzaj wojny...

Ja. W którym nieszczęścia jak kule armatne latają.

Doktor. Każdy dzień jest nowem spotkaniem.

Ja. A drogi i kochane karczmy, prawdziwe pola bitwy.

Doktor. Niezabieram czasu, gotuj się jak najprędzej do drogi.

Ja. Czy chcesz papieru i pióra?

Doktór. *(odchodząc)* Nie, nie. Ostatnią receptę dam ci zapieczętowaną i dopiero ją w Woli otworzysz. Notabene aż do odjazdu proszę mi nic niepisać.

Ja. Ale wyjątki! uwagi!.. Wszakże sam mówiłeś że się trzeba przygotować.... Niesłucha mnie odszedł. Mylisz się bardzo Panie Doktorze jeżeli rozumiesz że podróżny Autor może zwyczajną podróż odprawić. Publiczność, jak mówi jeden sławny pisarz, siada z nim do pojazdu, kładzie się do łóżka. Taki to jest nasz los... i ja pojadę ale będę pisał.

II. Opisanie podróży.

Scena odbywa się w Xięgarni G.

Ja. Cóż WPan myślisz o podróżach?

Xięgarz. Niezły artykuł.

Ja. Ale co tu niebezpieczeństw!

Xięgarz. Niebezpieczeństw? żadnych! Wszak można podróżować niewychodząc z domu nieszukając nawet gdzieindziej obrazów. Słyszałeś W. Pan o Ciemnogrodzie? Tylko jak się kto pozna....

Ja. Ale tu mowa o prawdziwej podróży, jak na przykład podróży Humboldta.

Xięgarz. Humboldta? Cóż WPan mówisz? Jego Audjencje u dzikich i swojskich Królów? okropne góry, ów wulkan w Ameryce co w jednej nocy urósł na 1494 stóp od ziemi a przeszło 2,000. wulkanków miał około siebie. Czy się u nas co podobnego kiedy dzieje? Dwa tysiące exemplarzy na pewnoby można odbić.

Ja. A z mojej podróży?

Xięgarz. Czy Pan chce pisać podróż?

Ja. Chce ją pierwej odbyć.

Xięgarz. Doprawdy? a dokąd, jeżeli się godzi zapytać.

Ja. W Szląskie góry.

Xięgarz. Wielu już o tem pisało, nic Pan

nieznajdziesz nowego. Koszt się niewróci, trzebaby gdzieindziej, bo w tych miejscach niebędzie nic interesującego.

Ja. Naprzód samo doniesienie musi być bardzo interesującem. Ogłoszę iż wydaję zbiór nowych widoków, ciekawych anegdot, głębokich spostrzeżeń osobliwie politycznych, że staraniem mojem będzie tak pisać, iżby każdemu co moją książkę do rąk weźmie, zdawało się że nie czyta opisu wód Szlązkich, ale sam się w nich kąpie.

Xięgarz. Wybornie, jednej tylko jeszcze rzeczy potrzeba. Okropny jaki Epizod, a ręczę za najlepszy skutek.

Ja. Czemu nie? Podróż moja musi być humorystyczno-sentymentalną, tak, ze jeżeli czytelnik nad nią niezechce zapłakać, to się przynajmniej śmiać musi.]

Xięgarz. A ryciny.

Ja. Tylko po jednej do każdego Tomu. Najczulsze sceny od frontu, a w głębi olbrzymie góry i skały.

Xięgarz. Trzeba wcześnie o rysunku pomyśleć.

Ja. W samej rzeczy, chciałbym go mieć przed moim wyjazdem, ażeby pisać z tym większym zapałem. Niezapomnę też o Literaturze, w każdem miasteczku muszę coś zaczerpnąć.

Xięgarz. Czyby niemożna zacząć od Warszawy?

Ja. I owszem. Jak piękne porównanie miasta z górami, sztuki z naturą.

Xięgarz. Przedziwnie! A tytuł: „Podróż..

Ja. Autora...

Xięgarz. z Warszawy do wód, we względzie...

Ja. Historyczno-polityczno-moralnym.

Xięgarz. Dobrze! Moje prassy są na usługi.

Ja. Więc do zobaczenia.

Xięgarz. Najszczęśliwszego powrotu.

III. Przygotowanie.

(*moja stancja*)

Jan. Ale gdzież ja te wszystkie książki podzieję? Trzeba pod nie osobnej fury ... Przeklęte książki, dzień i noc Pan siedzi nad niemi, taka praca więcej zaszkodzi, niż wszystkie w świecie wody pomódz mogą.

Ja. Dzięki Bogu! skończyłem. Janie, te książki naznaczone, weźmiemy w drogę, tamte zostaną.

Jan. To Pan znowu myśli pisać, ah to już lepiej siedzieć w domu.

Ja. Czy ty rozumiesz, żebym ja mógł podróż odprawić a nieopisać jej.

Jan. Tak bym Panu życzył.

Ja. To być niemoże. Cóżby powiedziała Publiczność, Korrespondenci Gazet i Dzienników... Ale gdyby niewiedziano że wyjeżdzam. Parę tygodni oddać się słodkiemu użyciu obecnej chwili, nie myśląc o przeszłości ani o tem co będzie. Uważać ludzi i naturę a nie silić się żeby ktoś inny wiedział o tych uwagach... co za przyjemny widok!

Jan. Gdybyś Pan tylko doprawdy tak myślał.

Ja. Czytać dla zabawy, nie dla krytykowania.

Jan. Jeść i pić dlatego że smakuje.

Ja. Śmiać się z komedji świata i sam do niej ochotnie należeć.

Jan. A o papierach na wieki zapomnieć.

Ja. Ah!

Jan. (porywając rękopisma) Czy mam...

Ja. Co chcesz z tem robić?

Jan. Spalić.

Ja. Oddaj, oddaj, już ja jestem skazany na to nieszczęśliwe pisanie. Tak chciały losy.

Jan. Biedny Panie!

Ja. Pamiętaj mój przyjacielu, że nasza podróż jest tajemnicą.

Jan. Przysyłano się dziś pytać.

Ja. Cóż powiedziałeś.

Jan. Ze Pan jesteś zaproszony. Ah gdyby to ludzie wiedzieli co te książki kosztują biednych Autorów? Prawdziwie powiedzieć można że to jest cukier skropiony potem nieszczęśliwych niewolników.

IV. Plan opisu podróży.

Rozdział I. Powód Podróży: zwyczajnie ten jeździ, komu się w domu siedzieć niechce.

Rozdział II, Czemu Autor wyjeżdza z Warszawy? Nowe drogi, uwagi nad niemi żałobno-ekonomiczne. Porównanie walących się chat w Woli z odmalowaną Warszawą.

Rozdział III. Podróż. Te trzy pierwsze rozdziały będą bardzo melancholiczne.

Rozdział IV. Szlązk. Przyjazd na miejsce. --- Sam pobyt niewiem jak wiele rozdziałów zajmie.

Rozdział ostatni. Powrót.

V. List

do Pana R. Szefa Bióra.

Kochany Przyjacielu!

Zdecydowałem się nareszcie ustąpić naleganiom Doktora, i jechać do Wód, nietak żeby używać ką-

pieli, jako raczej żeby się rozweselić widokiem pięknej natury. Jutro o ósmej z rana opuszczam kochaną Warszawę. Niemówiłem nic żadnemu z was o moim zamiarze, bo te odwiedziny, rady, pożegnania skwasiłyby mi całą podróż. Pisać także do was niebędę, już to, że mi Doktor zakazał, już też, że w opisie mojej podróży wyczytacie obszernie wszystko co mi się przytrafi i nieprzytrafi. Niezapominajcie o mnie, i na moję intencją raczcie co dzień modlitwę za podróżnych odmówić, albo przy kielichu odśpiewać. Jeśliby ci się zdawało, że potrzebne jest uwiadomienie moich przyjaciół i znajomych o tej podróży, to podaj je do Gazet, ale jak najkrócej, w dwóch słowach. Bywaj zdrów mój kochany R! Ciebie jednego życzyłem sobie widzieć przed wyjazdem, ale wiem żebyś mi niedochował sekretu i że niezliczone pożegnania całym ciężarem spadłyby na moję głowę, a co gorsza możebym zupełnie musiał zostać w Warszawie, czego sobie wcale nieżyczę. Raz jeszcze bywaj zdrów.

P.S. Ten list odbierzesz dopiero wtenczas, gdy pominę Wolskie rogatki.

VI. Pan Szczesny.

Wieczorem przed odjazdem nie poszedłem do nikogo tylko do mego sąsiada Pana Szczesnego, a-

le od tych odwiedzin niemógłem się uwolnić. Pan Szczesny właściciel pięknego domu, żył spokojnie z swoich dochodów, odbył chwalebnie niejeden urząd honorowy i w prywatnem życiu podług możności zawsze był wylany dla dobra współziomków. W istocie był bogaty, ale utrzymywał się bardzo skromnie, z tego powodu, iż porządek i oszczędność uważał za najpewniejsze źródła dobroczynności. Nieuczęszczał po wielkich towarzystwach, ale dla kilku przyjaciół dom jego był zawsze otwartym. Rzadko dzień przeminął żebym go nieodwiedził, jeżelim się kiedy opóźnił, przysełał się o mnie pytać, tak iż niejako należałem do familji.

Wspominając o jego familji, naturalnie wymienić należy jakie osoby ją składały. Zona o której bardzo rzadko i tylko zemną samym zawsze z rozrzewnieniem mówił, umarła przed kilku latami, równie jak syn pełen nadziei. Teraz zaś mięszkała przy nim siostra, która po nieszczęśliwem zamęźciu schroniła się do brata, i powszechnie dla słodyczy harakteru ulubiona, od wszystkich w domu zwana była ciocią. Ale jeszcze Pan Szczesny nie ze wszystkiem był osierociały. Pod okiem dobrej Cioci, rozwijały się piękne przymioty i wdzięki córki jego młodej Pauliny.

Jak wiele Paulina miała wpływu na częste moje odwiedziny w domu Pana Szczesnego, tego sam dobrze niewiem. Po większej części rozmawiałem tylko z ojcem, i to o przedmiotach które mnie zajmowały gdym pracował nad nową książką. Jednakże niewiem jakim sposobem z poważnych rozpraw przechodziliśmy zawsze do weselszych, które i Paulina dzieliła. Czytała te tylko książki, któje jej poradziłem, przynosiłem jej nawet moje rękopisma, co większa, w romansie którym napisał, charakter pierwszej osoby, był zupełnie charakterem Pauliny. Jej wdzięki, słodycz, rostropność i do wysokiego stopnia doskonałości posunięty talent muzyki, czynił na mnie wielkie wrażenie, lecz niewystawiałem jej sobie nigdy w oddzielnym obrazie, i zdawało mi się, iż tyle tylko działa na mnie, ile ojciec, ciotka, zgoła cały przyjemny dom Pana Szczesnego.

Gdym poszedł do tego domu przygotowawszy się zupełnie do podróży, wdałem się zaraz w rozmowę tak zajmującą, żem ledwo niezapomniał donieść moim przyjaciołom o zamierzonym wyjeździe. Wreście znalazłem sposobność odkrycia tego sekretu. Stary kiwnął głową, ciotka spojrzała na mnie wielkiemi oczyma. To dodało mi odwagi; wyczerpnąłem wszystkie powody które mnie skłaniały do ta-

kowego przedsięwzięcia. Tymczasem wróciła Paulina od chorej krewnej. Była w najlepszym humorze, uściskała ojca, ciotkę i z uśmiechem podała mi rękę. Zamilkłem, niemyślałem już o podróży i ledwo śmiałem na Paulinę podnieść oczy. Jej wesołość ożywiła nas wszystkich, lecz ciotka uśmiechnęła się gorzko, i po krótkiem milczeniu rzekła bez wszelkiego przygotowania: „Ale czy wiesz Paulino że nasz dobry sąsiad jutro puszcza się w daleką podróż." Paulina zarumieniła się, spojrzała na mnie, spojrzała na ojca, a widząc na naszych twarzach potwierdzenie tej wiadomości, wolnym krokiem wyszła zizby. Wkilka minut udała się za nią ciotka.

Niewiedziałem istotnie co się zemną działo, a w duchu przeklinałem serdecznie pierwszy zamiar wyjazdu. Zeby się przecież jakokolwiek uniewinnić przed samym sobą, zacząłem znowu głośno wykładać wszystkie powody którem wyżej przytoczył, a dla własnej pociechy skróciłem do połowy czas do podróży przeznaczony. Pan Szczesny mniemał, że trzeba mi zwiedzić wszystkie góry Szlązkie, ale ja oświadczyłem że przestanę na samym Warmbrunn że nawet odstępuje zamiaru przejrzenię Wrocławia, gdyż o tych miejscach nic nowego powiedzieć się nieda. „Więc masz inny jeszcze cel prócz zdrowia?"

zapytał się zdziwiony. „Tak jest -- odpowiedziałem -- Będę miał zapewne sposobność czynienia niejakich spostrzeżeń, a że mam zwyczaj wszystko notować, więc nareszcie zbiór tych uwag.” . . „Stanie się opisem podróży. Oj wy Panowie Autorowie jesteście jak kupcy, ci wszystko zmieniają w pieniądze, a wy w litery. Ale mój przyjacielu, szczerze wyznać ci muszę, że kto na wszystko patrzy z piórem lub pęzlem w ręku, ten wreście nic niewidzi tylko to co się zda do jego pęzla lub pióra, a to niezawsze może być najlepszem ... Słyszałem ja o pewnym malarzu w Rzymie, który dni całe przepędzał przed gołą ścianą, i z największym zapałem tłumaczył przyjaciołom obrazy, ktore na niej, wprawdzie w wyobraźni tylko odmalował. Wielu mieć może będzie tego człowieka, za zagorzalca, mnie jednak on się wydaje prawdziwym artystą.” „W istocie więcej tworząc, chociaż w wyobraźni, więcej doznawał przyjemności.” „Tak jest, artysta tworzący, jest podług mojego zdania ojcem, artysta zaś co uskutecznia pomysł, tylko wychowującym. Nietrzeba zawsze mozolić się nad wydaniem tego co widziemy, wolno czasem patrzeć dla tego tylko że się podoba, bo inaczej trudno się uchronić pedantyzmu.” „Ah Panie Szczesny, już ja sam zastanawiałem się nad tem wszystkiem, ale bojaźń stra-

ty czasu, przyzwyczajenie do pracy . . ." „Szanuję WPana pracowitość, ale wolałbym jednak żebyś niejechał z zamiarem opisania podróży. W tym albowiem przypadku będziesz podobny do przebiegłego spekulanta, czatować musisz na wiadomości i uwagi, które w książce dobrze się wydać mogą, a stracisz wszelką przyjemność uważania ludzi i natury." „Więc zrobię to dla WPana, że niebędę zbierał żadnych wiadomości ani nowin." „Ze niebędziesz opisywał co w twojej przytomności mówiono, co jedzono i t. d." „Ze nawet nieodmaluję żadnych widoków, ani będę miał w zamiarze zbogacić statystykę narodową. Tak jest Panie Szczesny, daję ci słowo że jedynie będę wyrażał to co czuję, a gdzie mi nic osobliwego na myśl nieprzyjdzie, tam ani litery nienakreślę, choćby nawet..." „Cały opis podróży na niczem się skończył. Dobrze mój przyjacielu, daj mi na to rękę."

Usciskałem go i byliśmy bardzo weseli, na odgłos naszych śmiechów zeszła Paulina. „Więc się Pan namyslił -- rzekła -- i zostanie z nami?" „Każ dać wieczerzę przerwał ojciec wszystko pójdzie dobrze. Przy stole zalecił Pan Szczesny żeby ani wspomnieć tego wyrazu podróż; butelka dobrego wina ożywiła wszystkich, Paulina widząc naszą wesołość zaczęła ją dzielić z całego serca. Niemógłem się jei na-

patrzéć i nasłyszeć, tak piękna, dobra, roztropna! Ciotka tylko uśmiechała się wątpliwie i niespuściła nas z oka.

Wreście nadszedł czas rozstania, już nawet przetrzymałem godzinę zwyczajną. Gdym się żegnał znowu nieszczęsliwa podróż spadła mi na serce. Pan Szczesny uściskał mnie i rzekł kilka słów które wydały naszę tajemnicę" Więc jutro . . . " rzekła Paulina i zbladła." Mnieście nie zwiedli" odezwała się ciotka" Ale dajcie mu pokój. -- przerwał Szczesny -- podróż jego jest potrzebna. Wkrótce powróci do nas wesół i zdrowy. A teraz dobranoc kochany przyjacielu! Bez pożegnania !"

Wyszedłem do drugiego pokoju. Paulina przybliżyła się do drzwi. Wziąłem ją za rękę. Łza stanęła w jej oku. „Bądz Pani zdrowa." rzekłem. Jej ręka ścisnęła moję; i nagle odeszła.

VII. Noc.

Bez zmysłów prawie wróciłem do domu. Mój służący spał w jednym stołku, cicho usiadłem w drugim. Zamyśliłem się o Paulinie. „Nie, niejadę." zawołałem. Obudził się Jan, i zaczął opowiadać co zrobił w mej nieprzytomności. Już chciałem mu przerwać, chciałem wszystko kazać rozpakować, gdy mi doniósł iż oddał także list Szefowi R. Roz-

gniéwałem się niezmiernie, ale Jan mi przełożył, iż miał odemnie zalecone sobie raz na zawsze, ażeby wszelkie listy zapieczętowane roznosił podług adresu. Niebyło co na to powiedzieć. Pełen nieukontentowania zapytałem się co mówił R. gdy przeczytał? „Rozśmiał się tylko.“ -- odpowiedział Jan. Ten śmiech mnie dobił. Poszedłem spać w najgorszym humorze.

VIII. Wyjazd.

O piątej z rana niespodzianie R. przyszedł mnie budzić. Chciałem się jeszcze z godzinkę przespać, ale z bojaźni jego przymówek, wstałem. R. zaczął chwalić moje przedsięwzięcie, oświadczył, iż żadna podróż niebyła tak roztropnie przedsięwziętą jak moja, zgoła zdawało mi się że się uwziął ażeby mnie do rozpaczy przyprowadzić. Wtem powóz zajechał. Zbladłem. „Gdyby konie tak wcześnie nieprzyszły -- rzekłem półgłosem -- bardzoby mi było przyjemnie nagadać się z tobą.” „Próżna czasu strata -- przerwał R. -- a wreście już powóz czeka.” „Możnaby go odesłać.” odezwałem się jeszcze nieśmielej. „Ale cóżby powiedziało miasto całe a osobliwie sąsiedzi u których chcesz uchodzić za człowieka z charakterem. Trzeba jechać, lecz dla two-

jej przyjaźni gotów jestem ci towarzyszyć." „A daleko?" „Jeżeli chcesz, to i w całej podróży."

Rozśmiałem się poniewolnie z tej osobliwej ofiary, i zwolna schodziłem na dół. Wyszedłszy na ulicę, rzuciłem okiem na dom Pana Szczesnego. Ukrytą za firankami ujrzałem Paulinę, ledwo potrafiłem się wstrzymać, ale za wszystkie skarby świata niewydałbym tej tajemnicy. Wsiadłem więc do powozu jak gdybym nic niewidział. Ruszyliśmy. „Widzę jesteś zamyślony -- rzekł R. gdyśmy mijali ulicę Elektoralną -- powinienbyś notować twoje spostrzeżenia." „Stój! Stój!" zawołałem, bo nagle przyszedł mi na myśl mój pugilares. Szukałem po wszystkich kieszeniach. „Musi być w kufrze." rzekłem do Jana. „Nie, Pan go zawsze nosi przy sobie." „Ah! to został w mojem biórku na prawej stronie pod papierami." zawołałem w tej albowiem chwili przyszło mi na myśl żem go tam rano ukrył przed okiem ciekawego R. „Zawracaj więc!" dodałem na pozór w gniewie, ale w istocie z radością. „Być niemoże -- odpowiedział R. -- wystawilibyśmy się na śmiech ludzi. Jan przyniesie pugilares, a my tym czasem zjemy śniadanie."

Wysiedliśmy do najbliższego sklepu korzennego. W godzinę powrócił Jan. Furman żwawo zaciął konie, jak gdyby chciał mimowolne opóźnienie

nagrodzić, już byliśmy pod rogatkami, wtem koło nam spadło. „Co tego to już za wiele!" krzyknąłem z prawdziwem nieukontentowaniem. „Cieszyć byś się owszem powinien -- rzekł R. -- w mieście łatwo można koło naprawić, ale na gościńcu, cóżbyś począł?" O kilka domów mięszkał kowal. Opowiedzieliśmy mu nasz przypadek. „To nic -- rzekł obejrzawszy powóz -- W dobrą godzinę wszystko będzie naprawione." „W godzinę? a ja do wód jadę!" „Tym lepiej. Przekona się Pan jak długo trzyma moja robota." „Zapłacę podwójnie jeżeli się pospieszycie." Choćby Pan poczwórno zapłacił to musi godzinę poczekać."

Cóż było robić? Lud się zgromadzał koło nas jak na widowisko. Wszedłem do kuźni; czeladnicy zaczęli robić uwagi nad pojazdem który już w mieście pęka i spoglądali na mnie z uśmiechem. „Czy Pan zechce wejść do izby -- rzekł jeden z nich który nienależał do żartów i wydawał mi się bardzo uczciwym człowiekiem -- Postaram się o przyspieszenie roboty." Poszedłem za nim do małego alkierza. Tu obracając się do dziewczyny która siedziała przy robocie: „Marjo! -- rzekł -- Ten Pan miał przypadek i musi tu godzinkę zabawić -- Bądź wesołą kochana Marjo!" dodał po cichu, i odszedł z przytłumionem westchnieniem.

IX. Marja.

Zostawiony sam sobie, pomyślałem o Paulinie. Niemógłem się oprzeć chęci napisania choć kilku słów do niej. Prosiłem o pióro i papier „Nim opuszczę miasto kochana Paulino! -- tak zacząłem -- muszę jeszcze chociaż chwilę oddać się słodkiemu wspomnieniu tych chwil, którem spędził przy tobie. Równie jak wszyscy oddawna uwielbiam wdzięki i przymioty twoje, ale dziś dopiero czuję że..." Westchnąłem, pióro wypadło mi z ręku, Chciałem dodać że cię kocham, że niemogę żyć bez ciebie, ale niemiałem dość odwagi do napisania tych słów.

„Pobiegłbym do niej -- rzekłem sam do siebie -- wynurzyłbym jej to co czuję, a teraz ta nieszczęśliwa podróż..." Podróż moja zdała mi się coraz przykrzejszą, rzuciłem pióro, ręką podparłem głowę. Przez cały czas Marja niespuściła zemnie oka. „Pan jesteś bardzo nieszczęśliwy?" rzekła nieśmiało. To słowo uderzyło mnie. „Tak, może i nie, tylko ta podróż..." „Pan jedzie za ważnemi interesami?" „O nie! Jadę prawie z ochoty. Dla zdrowia." „Tegobym się niespodziewała. Widać jednak że Pan opuszczasz osobę która mu jest drogą." „Tak jest dobra Marjo! kocham"..„Ale doświadczasz przeszkód?" „Przeszkód? Nie, tyl-

ko ta nieznośna podróż.“ „Dlaczegóż się Pan męczysz z własnej woli? Mnie w podobnym przypadku nicby nieoderwało od tego którego kocham.“ westchnęła i zamilkła.

Tu dopiero uderzył mnie smutek rozlany na jej twarzy. Zbliżyłem się do niej: „I ty także dobra Marjo! widać że niejesteś szczęśliwą. Jeśli ci się nienaprzykrzam, powiedz mi co ci dolega.“ „Moje nieszczęście -- odpowiedziała zarumieniona -- niema lekarstwa. Majster tutejszy jest moim ojczymem, Matka już dawno umarła. Stanisław ten czeladnik który Pana tu wprowadził, kocha mnie. Teraz chcieliśmy kupić warsztat i czekali tylko na jego matkę, która nam obiecała 3,000. złotych i przy nas miała osiąść, gdy nagle wszystkie nadzieje zniknęły. Majątek matki poszedł z ogniem, ona sama z przestrachu umarła. Wprawdzie Stanisław cięż-ką pracą, zebrał już sobie do szcześciuset złotych, ale niemasz nadziei żeby się kiedy mógł reszty dorobić.” Nieszczęście Marji mocno mnie dotknęło. „Połową pieniędzy przeznaczonych na podróż -- rzekłem sam w sobie -- zapewniłbym szczęście dwóch osób. O przeklęta podróży!” dodałem głośno. Wtem przyszedł służący, i doniósł że wszystko gotowe. Pożegnałem Marją, i z obciążonem sercem ruszyłem.

X. Paszport i Popas.

Stanęliśmy przed rogatkami. Podofficer od warty, wyszedł do nas i zapytał się dokąd jedziemy. „Do Szlązkich wód.“ odpowiedziałem z westchnieniem. „Masz Pan Paszport?” „Czy to potrzeba paszportu?” „Naturalnie. Inaczej niemożesz Pan z miejscą się ruszyć.” Officer wyszedł także i potwierdził toż samo. „Pójdź więc zamną -- rzekł R. wyskakując z pojazdu. „A dokąd?” „Do bióra paszportów.” „Czemuż mnie też nieprzestrzegłeś że to trzeba brać paszport?” „Ale któż się mógł spodziewać, że zapomnisz o tem, o czem się najpierwej pamięta.“ Niemiałem co na to odpowiedzieć. Poszedłem. Po szerokim opisie moich oczów, nosa, włosów, twarzy, odebrałem nareście pożądany paszport i w trzy godziny wróciłem do mego pojazdu. „Teraz Pan jedź gdzie chcesz.“ rzekł Podofficer obejrzawszy go. Odetchnąłem gdyśmy pominęli rogatki. „Prawdziwie -- rzekłem -- przetrwaliśmy wiele przeszkód, ale co teraz, to już mnie nic niezatrzyma.

„Zapewne.” odpowiedział R. z uśmiechem który mi się wcale niepodobał. Ale słusznie się usmiechnął, bo ledwośmy stanęli przed Czystem, furman zatrzymał konie. „Tu muszę popaść.“ rzekł „To być niemoże -- zawołałem -- ledwieśmy z miasta ruszyli.“ „Ale Panie, konie jadły o piątej z rana, a teraz jest już dwunasta.“ „Konie się jeszcze niezmordowały.“ „Niezmordowały, ale głodne. Czemuż Pan wcześnie o paszporcie niemyśli.“ To mówiąc, zaczął wyprzęgać. „Ja niewysiądę rzekłem z gniewem. „Dobrze zrobisz.“ odpowiedział R. „Ale cóż mi to pomoże -- dodałem -- kiedy konie już są w stajni.“ „Prawda że konie są w stajni

-- rzekł R. -- jednak niewysiadaj, bo wszyscy starożytni filozofowie uważają, iż w gniewie najlepiej jest siedzieć." Żart ten niewczesny wcale mnie niezaspokoił. Na złość wysiadłem. Milcząc weszliśmy do ogrodu.

XI. Radość.

Znudzony tylu przeciwnościami, już zacząłem myśleć czyli nielepiej wrócić do domu, gdy niespodzianie na zwrocie jednej ulicy ujrzałem kilku moich przyjaciół, Prezesa, Dziekana Uniwersytetu, Sędziego i Doktora. Własnym oczom niechciałem wierzyć. „Panie R. cóż się to ma znaczyć?" „Przypadek, nadzwyczajny przypadek." „Zdrada, wyraźna zdrada." zawołałem. „Tak jest, zdrada." odpowiedział chór przybliżających się do nas -- ale ty to jesteś zdrajcą, coś nam chciał tajemnie uciec." „Tak niegodnie nas porzucać?" rzekł Dziekan „Listy gończe poszłyby za tobą, -- dodał Sędzia -- ale nieujdzie ci to na sucho. Skazujemy cię na danie nam dobrego obiadu." „Małe śniadanie na zimno -- odpowiedziałem -- z największą ochotą. Póki mi konie niepopasą."

Wtem nowy pojazd zajechał na podwórze. Pan Szczesny wysiadł z córką. Pobiegłem do nich „Widzę kochany sąsiedzie -- rzekł Pan Szczesny ściskając mnie -- niedaleko ujechałeś." „I bardzo się cieszę z tego." odpowiedziałem. „Ale Pani co też na to powie że mnie tu jeszcze zastaje." rzekłem do Pauliny. „Umyślnieśmy po to przyjechali." „To być niemoże kiedy mnie tu zastajecie tylko przypadkiem, nadzwyczajnym przypadkiem." „Ja nic niewiem, ale nas tu wyraźnie zaproszono. Ciocia się kłania." „Ah Paulino! -- rzekłem biorąc ją za rękę -- kiedy tu jesteś, to wszystko dobrze." We-

szliśmy do izby. Nasi przyjaciele stali w półkolu, a wpośród nich R. „Już czas -- rzekł tonem uroczystym -- rozwiązać całą zagadkę. Bierz i czytaj.“ To mówiąc, podał mi Nominacją na urząd, któregom się od dawna spodziewał. Zdziwiony, niewiedziałem co odpowiedzieć. „Już teraz niemożna myśleć o podróży.“ rzekł Pan Szczesny i przycisnął mnie do serca. „Zostaję z wami -- zawołałem -- ale przez litość raczcie mi wytłumaczyć, jakim sposobem mógł nam przypadek tak posłużyć?“ „*Mea culpa* -- rzekł R. -- ale spodziewam się że mi wszystko przebaczysz.“ „Zkąd masz Nominacją?“ „Wystarałem się wczoraj, że ją na moje ręce oddano.“ „Czy wiedziałeś dawniej jeszcze o mojej podróży?“ „Od trzech dni!“ „Od kogo?“ „Od księgarza co miał drukować“. . . „Już wiem, już wiem, ale cóż dalej? „Rozgniewałem się na ciebie żeś nas chciał odbiedz i oskarżyłem przed naszemi przyjaciołmi. Postanowiliśmy cię ukarać, że zaś nasz Prezes był zatrudniony do dwunastej, wziąłem na siebie obowiązek zatrzymania cię aż do tej pory. Sameś mi wtem wiele pomógł, to pugilares, to paszport“ . . „Ale koło!“ „Spadło z moją wiedzą.“ „Przyznaj jednak Panie R. -- odezwał się Szczesny -- iż niewielką masz zasługę z zatrzymania naszego przyjaciela, i że nieużyłeś ani połowy konceptów na któreś się przygotował.“ „Ale wszystkie przygody wiernie z nim dzieliłem.“ „Ciekawa to musi być historja -- rzekł Prezes -- trzeba żeby R. dokładnie nam ją opowiedział.“

Widząc że R. zabiera się ochotnie do opowiadania, wymknąłem się nieznacznie i poszedłem szukać Pauliny, która już od pół godziny zniknęła.

Zastałem ją w altanie. Oczy miała zapłakane. „Pani nieraczysz dzielić naszej radości.“ rzekłem nie-

śmiało. „Dlaczego?“ zapytała się. „Niejadę już ododpowiedziałem -- z czego jestem bardzo szczęśliwy. Lecz może ta wiadomość będzie Pani obojętną?“ „Mnie! -- rzekła -- Całe moje ukształcenie winnam Tobie, raczysz się mną zajmować, niejestem niewdzięczną.“ „Paulino! -- zawołałem, i wydobyłem list zaczęty u Marji -- cały dzień myślałem o tobie.“ Przejrzała list. „Niejest jeszcze dokończony.“ rzekła. „Więc pozwól niech go sam dokńczę: że ciebie kocham, że bez ciebie żyć niemogę. Czegom nieśmiał napisać, teraz ci wyznaję, w twoim ręku jest moje szczęście, jednem słowem przemienisz ten dzień w dzień najpiękniejszy mojego życia.“ „Pozwól mi przyjść do siebie. Niespodziewałam się“ . . . „Paulino chciej mi otworzyć twoje serce. Jeżeli niemożesz być moją, będę nieszczęśliwy, ale niech wiem o moim losie.“ „Nie, niechcę dłużej ukrywać mojego szczęścia. Kocham cię, zawszem cię kochała . . .“

Któż opisze moje uniesienie? Ścisnąłem ją, pobiegliśmy do ojca. „Panie Szczesny -- zawołałem -- jeżeli niechcesz żebym wszystko porzucił, żebym . .“ Niemógłem w tym tonie dokończyć, rzuciłem mu się na szyję. „Ojcze! -- rzekłem -- Ja kocham Paulinę, ona mnie, przyjmij mnie za swego syna.“ Pan Szczesny ścisnął mnie ze łzami: „Mój przyjacielu! -- zawołał -- Mój synu! . .“ Spełnione było moje szczęście. Wszyscy przytomni z serca je dzielili a Doktor rzekł z trjumfem: „A cóż ci się zdaje? Czy to niebędźie najlepsza recepta?“

XII. Powrot.

„Niech Pani uważa -- rzekł R. do Pauliny gdyśmy wjeżdzali w rogatki. -- Mięszka tu niedaleko pewien kowal, z którego ładną córeczką nasz przyjaciel strawił dziś godzinkę bardzo przyjemną!“

„Wstąpiemy do niej.“ rzekłem. „I owszem, -- dodał Pan Szczesny -- ciekawym poznać rywalkę mojej córki jeszcze przed ślubem.“

Stanęliśmy przed kuźnią, Marja siedziała na tem samem miejscu przy robocie, zdziwiła się zobaczywszy nas. „Niespodziewałaś się dobra Marjo -- rzekłem do niej -- widzieć mnie tak prędko. Oto jest ta, do której przy tobie pisałem. Moja podróż już się skończyła, jestem szczęśliwy, chciałbym żebyś i ty mogła dzielić naszą radość. Oto jest -- dodałem biorąc od Jana worek z pieniędzmi -- tyle co wam wystarczy na kupienie warsztatu.“ Spojrzała na mnie wielkiemi oczyma, pobiegła do drzwi i zawołała. „Stanisławie!“ Stanisław przyszedł, spojrzał na pieniądze: „Szlachetny Panie! -- rzekł -- jeżeli mi ich zechcesz pożyczyć, pozyskasz sobie wieczną wdzięczność!..“ „Niech będą twoją własnością.“ „Tylko pożyczyć.“ „Jak chcesz.“ Paulina uściskała Marją, potem cicho rzekła do mnie: „Pójdźmy, lepiej się będą cieszyć jak zostaną sami.“

Gdyśmy wsiedli do powozu, Paulina uściskała mnie ze łzami: „Dozwól -- rzekła -- niech się napłaczę z radości żeś jest tak dobrym człowiekiem.“ „Paulino! -- odpowiedziałem -- spodziewam się, iż przy mnie innych łez znać niebędziesz.“ Ojciec wzniósł oczy do nieba. Modlił się.

XIII. Podróż.

W następującym roku odprawiłem z żoną i dobrym ojcem podróż do wód. Byliśmy bardzo szczęśliwi, ale nic nieumiałem opisać.

KORSARZ

Poema Lorda Byron. (1)

XIĘGA I.

--- nessun maggior dolore
Che ricordarsi del tempo felice
Nella miseria --- Dante.

„Gdy płyniem po niezmierzonej głębi, dusze „i myśli nasze są wolne jak Ocean. Gdzie tylko wia„try zanieść nas mogą, gdzie się pienią bałwany, „wszędzie jest nasze państwo, nasza ojczyzna. Ta„ką jest dziedzina nasza; nieścieśnia jej żadna gra„nica. Bandera co nad nami powiewa, jest berłem „któremu hołdują narody. W burzliwem życiu, „z równem weselem przechodziemy z trudów do spo-

(1) Korsarz jest jednem z najlepszych dzieł Lorda Byrona. Tłumaczenie prozą nie może nigdy wydać wszystkich piękności tego Poety, którego słusznie nazywają pierwszym z żyjących, odważyłem się jednakże na nie, gdyż jak mi wiadomo, poezje Barda Angielskiego, zupełnie są jeszcze obce naszemu językowi. Na pierwszą probę wybrałem Korsarza, bo zdaje mi się iż najłatwiej obznajomić może czytelników z duchem wszelkich innych płodów Byrona.

„czynku, i ze spoczynku do trudów. Tę szczęśli-
„wą kolej któż godnie odmalować może? Czy ty
„słaby niewolniku, którego dusza omdlałaby na
„widok fali? czyli ty dumny bogaczu, zatopiony
„w miękkości i zbytku, dla którego sen niema sło-
„dyczy, a roskosz wdzięku? Nie! Mężny tylko
„śmiertelnik, co się powierzył niebezpieczeństwom
„morza, on tylko zdolny opisać to bicie serca, te
„uniesienia ludzi, co poświęcili życie swoje na prze-
„bieganie dróg niezmierzonych. Niech powie, jak
„lubiemy dzień co nam walkę zwiastuje! z jakim
„zapałem szukamy niebezpieczeństw, których pie-
„rzchliwy unika! jak przedsięwzięcia w których sła-
„bość ulega, obudzają w duszach naszych nadzieję i
„męztwo.

„Śmierć niejest dla nas okropną, gdy nieprzy-
„jaciel razem ginie z nami. Śmierć nie zdaje się nam
„smutniejszą od nudnego spoczynku! niech przy-
„bywa kiedy zechce, staramy się używać tego życia,
„a kiedy je stracić musimy, wszystko nam jedno,
„czy w boju, czy przez choroby? Komu starość
„jest miłą, niech się wlecze na posłanie, niech pę-
„dzi dni w długich słabościach, niech z trudnością
„wydobywa stłumiony oddech, i nie może udźwi-
„gnąć ociężałej głowy. My wolemy twardą mura-
„wę, niż miękkie łoże boleści. Gdy wiekiem i

„cierpieniem zwiędły człowiek, ledwo wśród jęków „duszę wyziewa, nasza za jednym ciosem opuszcza „nas bez oporu. Niech inny chwali swoje urny i „ciasne pomniki; ci którzy złorzeczyli jego życiu, „ozdobią grobowiec. Dla nas płynie łez niewiele, „ale są szczere; gdy Ocean zagrzebie nas w swoich „bałwanach, uczta jest wyrazem żalu pozostałych „towarzyszów; kielich napełnia się na cześć naszę, „krótki nagrobek nie zapomniany jest w dniu nie„bezpieczeństwa, gdy ci co nas przeżyli na nowe „zwycięztwa, dzieląc się zdobyczami wołają z czu„łem westchnieniem: Ah! jakby ta chwila była pię„kną dla mężnych którzy polegli!"

II.

Te słowa słychać było na wyspie Korsarzów przy ogniu strażniczym; te odgłosy przeraźliwe rozlegały się po nad skałami, i śpiewem się wydawały dla uszów równie dzikich jak echa pobrzeżne.

Korsarze w oddzielnych kołach zasiedli na piasku złocistym, grają, piją, rozmawiają, i ostrzą mordercze żelazo, zbierają oręże, i bez wzruszenia widzą krew króra je rdzewi. Tu naprawiają statki, wznoszą maszty, rozpościerają żagle, ci w zamyśleniu błądzą ponad brzegami, tamci ptakom stawiają sidła, lub suszą na słońcu mokre sieci, a jeże-

li jaki punkt oddalony zda się im okrętem, spoglądają na niego z niespokojną chciwością; inni opowiadają sobie trudy, niebezpieczeństwa nocne, i wzdychają do chwili w której dzielić się będą nową zdobyczą. Gdzie znaleść tę zdobycz? cóż im do tego; to należy do wodza, do nich zaś nie wątpić nigdy o pewnym skutku jego zamiarów; ale któż jest ten wódz? imie jego znane, wszędzie drżą na jego wspomnienie; czyliż im więcej potrzeba?

Nigdy on niemięsza się z niemi, tylko gdy wydaje rozkazy; krótkie są jego słowa, lecz oko przenikliwe, a prędka ręka, niedzieli wesela biesiad, ale dla zwycięztw przebaczają mu posępność. Nigdy nie nalewają dla niego purpurowego nektaru, kielich nieprzybliża się do ust jego, a dla najtwardszych z jego orszaku, uczty wodza zdawałyby się zbyt proste; chleb najczarniejszy, zioła, owoce jesieni, oto są jego potrawy, które i najściślejszy pustelnik śmiało mógłby z nim dzielić. Ale gdy tym sposobem gardzi pospolitą roskoszą, umysł jego wzmaga się wstrzemięźliwością.

„Płynąć do tego brzegu!” -- płyną -- „Gotować się do bitwy!” -- wszystko gotowe -- „Za mną!” Już zwycięztwo na jego stronie. Takie są krótkie jego rozkazy, taka jego prędkość; wszyscy słuchają, niewielu pyta się czemu, a i ci ledwo o-

trzymają krótką odpowiedź, lub wzrok pełen wzgardy i gniewu z milczeniem.

III.

„Żagiel! żagiel!” wołają na wszystkie strony; już Korsarze spodziewają się zdobyczy: „Jakiego na„rodu? Jaka bandera? co mówi teleskop? nie, to „nie jest zdobycz, ale przynajmniej okręt przyja„cielski, czerwona bandera rozwija się powiewom „zefiru. Niech te powiewy będą jej przyjazne, „to nasz okręt wraca do portu. Niech wróci przed „nocą. Już mija przylądek, już wchodzi do zato„ki, i z dumą pruje spienione wody. Z jaką powa„gą się zbliża! wszystkie żagle są rozpięte! nigdy „mu nie posłużyły do uciekania przed nieprzyjacie„lem! Slizga się po płynnym żywiole, jak istota „duszą obdarzona, i zdaje się wyzywać fale. Któż „chętnie się nie wystawi, na działa i burze, byle „się podobać Królowi tego miasta pływającego?

IV.

Zwinięto żagle, lina z hałasem spada po boku okrętu, którem wstrząsa upadek kotwicy. Wszystkich oczy zwrócone są z brzegu na łódź z okrętu spuszczaną. Ta osiada na wodzie, płynie, i wkrótce starła się z piaskiem nadbrzeżnym. Okrzyki we-

sołości przyjmują majtków, ściskają sobie ręce, rozmawiają z przyjaznym uśmiechem, pytają się, odpowiadają w kilku słowach, wszystkie serca oczekują radosnej uroczystości.

V.

Wieść się rozchodzi, tłum mnoży; szmer tysiącznych rozmów mięsza się ze śmiechem wesołości, słodszy głos kobiety wyraża niespokojność; wszystkie usta powtarzają imiona przyjaciół mężów kochanków: „Czy żyją jeszcze? Nie pytamy się czy „zwyciężyli,lecz czy ich jeszcze zobaczem,czy usłyszemy? Ah bez wątpienia w walce z żywiołami, wśród „wrzawy boju postąpili jak mężnym przystoi! Ale „czy żyją? Niech przybywają dzielić powszechne we„sele, ich uściski niehaj ukoją niespokojność naszę."

VI.

„Gdzie jest wódz? ważne niesiemy mu wia„domości, i obawiamy się, ażeby radość która tu „nas przyjmuje niebyła zbyt krótko-trwałą, ale za„wsze jest nam drogą, bo szczera. Juljanie prowadź „nas do wodza. Dopełniwszy powinności przyjdzie„my się cieszyć z wami, i odpowiemy na wszystko." Idą ścieszką wykutą w skale aż do wieży strażniczej, która się wznosi nad zatoką. Tam rosną krzewy

kolące, tam kwitnie roślina dzika. Srebrzyste zdroje zieją chłodem, a szmer strumieni uciekających po czystych kamykach wyzywa pragnienie. Pną się ze skały na skałę. Któż to jest przy tej jaskini, ten człowiek samotny którego wzrok obrócony ku morzu? Wspiera się w zadumieniu na rękojeści pałasza zwykłej podporze potężnej jego prawicy. „To „on, to Konrad, tu lubi sam się błąkać. Idź Ju„ljanie, donieś mu żeśmy przybyli. Spogląda na okręt, „powiedz że przynosiemy pilne wiadomości, nie„śmiemy się jeszcze zbliżyć, znasz jego popędliwość „gdy kto bez pozwolenia do niego przychodzi."

VII.

Juljan biegnie i donosi. On nie rzekł słowa, ale skinienie ręki wyraziło jego wolę. Juljan wzywa towarzyszów, przychodzą. Konrad lekko odpowiada na ich pozdrowienie, lecz usta jego są nieme. „Te listy -- mówią -- przesyła szpieg „Grecki, który zawsze nas uwiadamia ilekroć lub „niebezpieczeństwo grozi, lub zdobycz czeka. „Cokolwiek bądź możemy zaręczyć....." „Milcze„nie!" Konrad przerwał ich mowę. Cofają się pomięszani, zdumieni, po cichu udzielają sobie domysłów swoich, i skrycie uważają wzrok wodza, by poznać wrażenie jakie na nim sprawi odebrana wia-

domość, lecz jak gdyby zgadł ich chęci, odwrócił się od nich, czy z dumy, czy z potrzeby, by nie wydać pomięszania swojego. „Juljanie. Moje papie-„ry!.... Gdzie jest Gonzalw? -- Na okręcie -- Za-„nieś mu ten rozkaz; a wy wracajcie na wasze sta-„nowiska. Przygotujcie się do wyprawy. Ja wa-„mi dowodzę tej nocy. -- Tej nocy Panie? -- Tak „jest, o zachodzie słońca. Juljanie przygotuj mi „zbroję, w godzinę będziem na morzu. Weź moję „trąbę myśliwską. Karabin dobrze przetarty „niechaj mnie w bitwie niezawiedzie. Wyostrz i „szablę. Niech rękojeść stósowniejszą będzie do „objętości mej dłoni; zbrojownik ma się natych-„miast zająć tą robotą, bo w ostatniej bitwie ta „broń więcej mnie utrudziła niżeli sam nieprzyja-„ciel. Nadewszystko niechaj działa natychmiast da-„dzą znak wyjazdu, skoro godzina upłynie."

VIII.

W milczeniu powracają gotować się na nowe przygody, ale żaden nie ośmieli się szemrać. Konrad rozkazuje: któżby się wahał? Ten człowiek co się zawsze otacza samotnością i tajemnicą, który zaledwo się uśmiechnie, a nigdy prawie nie westchnie; ten człowiek na którego imie drżą najzuchwalsi, bledną czoła bliznami okryte umie władać

ich umysłami, tą sztuką wyższości która zaślepia i przeraża. Cóż to jest za władza którą uznaje ten lud do praw nieprzywykły, której zazdrości ale się oprzeć nieważy? Czem jest zdobyte to ślepe zaufanie! Oto, czarowną potęgą duszy co myśleć umie; potęga którą szczęście zrodziło, a utrzymuje zręczność. On to kieruje podług woli umysłem słabych; używa mimo ich wiedzy ich rąk własnych za swoje narzędzia, i przywłaszcza sobie najpiękniejsze ich dzieła. Tak to mnogość pracuje, i zawsze pracować będzie dla jednego; taki jest wyrok przyrodzenia. Ale nieszczęśliwy który podlega, nie powinien przeklinać i nienawidzieć tego, co się zdobi zdartemi z niego łupami. Ah gdyby znał ciężar złoconych kajdan, jakże lekkiemi wydawaćby się musiały cierpienia niskiego stanu!

IX.

Różny od bohaterów dawnych wieków, którzy działali jak czarci, chociaż pięknością nieśmiertelnym byli podobni, Konrad niezdumiewał nadzwyczajną postacią. Chociaż brwi czarne osłaniały oko pełne ognia, siła jego niedała się porównać z siłą Herkulesa, wzrostem nierównał olbrzymów; ale patrząc na niego z uwagą, spostrzedz się coś dawało, co było ukryte przed okiem gminu,

co nakazywało poszanowanie, chociaż niewiadomo dla czego? Słońce opaliło twarz jego, włos czarny przykrywał czoło szerokie i blade. Poruszenia ust objawiały myśli dumne, króre z trudnością przytłumiał, chociaż głos jego był słodki, a spokojność rozlana po całej osobie. Zdawało się iż widziano w nim coś czegoby się chciał pozbyć. Zmarszczone brwi, mieniące się kolory twarzy, w zadumienie i pomięszanie wprawiały tych co się do niego zbliżali, jak gdyby ta dusza ponura zawierała tajemny przestrach i uczucia, których nie można było odgadnąć; ale któżby się ośmielił sprawdzić te podejrzenia? Surowy wzrok zmięszałby natychmiast zuchwałego, a niewiele znalazłoby się ludzi zdolnych wytrzymać wlepione w siebie przenikliwe jego oko. Gdy ciekawość śledziła poruszenie jego twarzy, by odgadnąć co się dzieje w duszy, on natychmiast poznał chęci tego co go uważał, i jemu samemu kazał się mieć na ostrożności, ażeby zamiast przeniknienia myśli Konrada, nie zdradził swych własnych. W pogardzie jego był uśmiech czarta, który podniecał razem wściekłość i przestrach; a tam gdzie się obrócił dziki zapęd jego gniewu, nikněła nadzieja, a litość uchodziła z westchnieniem. (2)

---

(2) Mówią iż Byron w swoim Korsarzu chciał odmalować niektó-
[illegible] ...eona

X.

Znaki złych myśli lekkie są powierzchownie, wewnątrz najgłębsze czynią wrażenie. Miłość zdradza wszystko co czuje, duma, złość, nienawiść ledwo się przelewa w gorzki uśmiech. Lekkie poruszenie ust, słaba bladość, to tylko wydaje mocne namiętności, na twarzy którą władną. By je poznać, by je osądzić, trzeba je widzieć a niebyć widzianym; wtenczas to uważać można te kroki nagłe i nierówne, oko wzniesione ku niebu, złożone ręce, i milczenie rozpaczy z biciem serca podsłuchującej w około, żeby ktoś jej niepodszedł, niewidział. Wtenczas to rysy twarzy malują wzruszenia serca, którego cierpienia mocniej wydają się zewnątrz, ale nieprzestają dręczyć wewnętrznie. Gwałtowna walka z boleścią, zimno co przenika, ogień co pożera, kolejno wyrażają na czole lub wściekłość szaloną, lub rozpacz zupełną. W tenczas to, jeżeli się ośmielisz, uważaj duszę tego ktorego chcesz poznać. Spojrzyi jak przemijają godziny jego spoczynku, jak wspomnienie lat któremi się brzydzi, rozdziera to serce samotne! Ale któż widział, któż kiedy zobaczy podobnego człowieka zdradzającego tajemne uczucia?

XI.

Natura nieprzeznaczyła Konrada na dowodzenie rozbójnikami. Zmienioną już była jego dusza nim własne czyny przymusiły go wydać wojnę ludziom i wyrzec się nieba. Świat go zawiódł, Konrad się w nim pokazał zbyt roztropnym w mowie szalonym w postępowaniu. Stałość ustąpić, a duma zatrzymać mu się nie dozwoliła, własne jego cnoty posłużyły do podejścia go, przeklinał te cnoty jako przyczynę swych nieszczęść, a nie zwodzicieli którzy go nieprzestali zdradzać. Nierozumiał ażeby mogli jeszcze być ludzie godniejsi jego darów coby mu szczęście poznać dali. Omijany obmowiony, nim ochłonęły młodości jego zapędy, tak mocno nienawidził ludzi iż niemógł nawet uczuć żalu za przewinienia, a podszepty zemsty przyiął za tajemne natchnienie poszukiwania na wszystkich, krzywd jakich doznał od wielu. Czuł się winnym, lecz podług jego zdania nikt lepszym niebył, nienawidził tych co się wydawali cnotliwszemi jako obłudników, którzy tajemnie popełniali toż samo do czego umysł mężny śmiał się przyznawać, wiedział że był nienawistnym, lecz kto go niekochał ten drżał. Samotny, gniewny, dziki, gdy imie jego przestrach rozpościerało, ci których zdumiewał swemi czynami, nie śmieli nim gar-

dzić. Człowiek depce nogami, słabego robaka, lecz się zastanawia nim obudzi węża jadowitego. Pierwszy daremnie wznosi głowę, niemoże się zemścić, drugi ginie, lecz pierwej zabił nieprzyjaciela. Można go zgnieść, lecz nie zwyciężyć, bo zawsze znajdzie dość siły, by razić żądłem.

XII.

Niemasz człowieka zupełnie złego. W sercu Konrada panowało jeszcze mocne uczucie, którego niemógł wykorzenić. Słabość tych co się dawali uwodzić namiętności godnej dziecinnego wieku, pobudziła go nieraz do uśmiechu litości, a z tą samą namiętnością, on sam walczył nadaremnie. Konrad znał miłość, miłość czystą i niepodzieloną. Co dzień wzrok jego napotykał niewolnice świetne urodą; lecz ani się za niemi ubiegał, ani ich unikał, okazywał im zupełną obojętnosć. Nie jedna piękność opłakiwała w gajach jego wyspy, utratę wolności, żadna nie pochlubiła się jego słabością. Tak jest, Konrad znał miłość, jeżeli to imie należy się uczuciu, któremu nieszczęścia nowych sił dodały, które przetrwało pokusy, a którego niezachwiał ani czas, ani długa nieobecność. Omylone nadzieje, zniszczone zamiary niemogły go zasmucić, gdy widział umśiech tej którą kocha.

Burza jego gniewu łagodziła się przy niej, przy niej boleść niewycisnęłaby mu łzy jednej. Z weselem się do niej przybliżał, opuszczał ją spokojny, by cierpieniami swojemi niezranił jej serca. Nic niemogło zmienić tej tkliwości, nic zachwiać, nic zmięszać. Jeśli taka jest miłość śmiertelnych, Konrad kochał prawdziwie. Był występnym, zasłużył na wszelkie nagany, lecz miłość była w nim czystą, i przeżyła wszystkie jego cnoty. Słodkie uczucie! którego zbrodnia nawet niemoże wytępić.

XIII.

Konrad zatrzymał się na chwilę póki żołnierze niepominęli pierwszego zakrętu ścieszki prowadzącej w dolinę.

„Nadzwyczajne wiadomości. -- rzekł -- Przetrwałem tyle niebezpieczeństw, a niewiem dlaczego „zdaje mi się że to będzie ostatniem. Lecz to przeczucie niemoże mnie natchnąć trwogą, a towarzysze moi ujrzą mnie zawsze godnym mnie samego. Jeśli jest nieroztropnie iść przeciwko śmierci, „nieroztropniej daleko jej czekać. Ah jeżeli szczęście uwieńczy moje zamiary, łzy będą płynąć na „naszym pogrzebie. Niech nasi nieprzyjaciele spoczywają w śnie słodkim, niech się kołyszą spokojnemi marzeniami, nigdy jutrzenka niewejdzie dla

„nich w tak jasnym ogniu, jak ten który gotu„ję tej nocy dla dumnych mścicieli morza. Niech „tylko wiatr będzie pomyślnym. Idę uściskać Me„dorę . . . Jaki ciężar czuję na sercu. Zeby tylko o„na była spokojną. Byłem przecież mężny! Dare„mne męztwo! którem się wszyscy mogą zaszczycić. „Sam owad śmie grozić żądłem dla obrony swej zdo„byczy. Ta odwaga, którą najpodlejsze zwierzęta „obdarzone są równie jak my, a która w rozpaczy „ma zródło, może zasłużyć na jakąkolwiek pochwa„łę; ja się dobijam wyższej sławy nauczenia kilku „mężnych jak się potrzeba mierzyć z liczniejszym nie„przyjacielem. Prowadziłem ich często do bojów, „w których krwi naszej nieprzelewaliśmy daremnie. „Dziś niema środka, zwyciężyć lub umrzeć! Nie, „śmierć mnie nieprzeraża, ale to tylko, że prowa„dzę moich towarzyszów tam, gdzie ucieczka jest „niepodobną. Dotąd rzadko zastanawiałem się nad „losem moim, lecz myśl zasadzki poniża moję du„mę. Nacóż się przyda moja śmiałość i zręczność? „Trzebaż od razu wystawić na niebezpieczeństwo wła„dzę i życie? Srogi losie... Ale nie, ja się na los „żalić niemogę, lecz na własną winę, los jedynie „może mnie jeszcze zachować."

XIV.

Tak Konrad sam mówił do siebie póki niewy-

szedł na wierzch góry na której wznosiła się wieża. Zatrzymuje się pod przysionkiem, uderzony dźwiękiem ulubionego głosu którego się niemógł nasłuchać. Otwarte okno pozwala mu słyszeć pienia kochanki:

1.

Droga tajemnica zamkniętą jest na zawsze w mej duszy. Serce moje bije nieraz, odpowiadając twojemu, ale w krótce w milczeniu drży samotne.

2.

Płomień mojej miłości jest jak wieczne światło lampy grobowej, której słaba jasność ukrywa się przed okiem świata. Zimne cienie rozpaczy niezgaszą jej, choć jej promienie tak są próżne, jak gdyby ich niebyło.

3.

Pamiętaj o mnie; nie przechodź koło grobu mojego, bez poświęcenia łzy jednej wspomnieniu tej, której popioły tam będą spoczywać. Tego tylko cierpienia niezniósłoby serce moje, by zostać zapomnianą od ciebie.

4.

Słuchaj ostatnich westchnień umierającego gło-

su. Cnota nie zabrania żałować umarłych. Daruj mi to, o co cię jedynie prosiłam, łzę jednę, pierwszą i ostatnią nagrodę tak wielkiej miłości.

Konrad przebywa sienie i wchodzi do izby w chwili kiedy głos śpiewać przestał: „Medoro moja -- rzekł -- ta pieśń nadto jest smutna." „Kiedy Konrad nieprzytomny, mogęż wybierać weselsze? kiedy ty mnie nie słuchasz, śpiew wydawać powinien uczucia duszy, a każde słowo być zgodne z niemi, bo niemilczałoby serce choćby usta były nieme. Ileż to nocy przepłakałam na łożu samotnem, bojaźń moja skrzydłami burzy, uzbrajała wiatry; gdy ledwo nadymały żagiel, mnie się zdawało słyszeć dęcie akwilonu, a w tchnieniu zefira, słyszałam głos żałobny, co jęczał nad moim kochankiem. Zrywałam się nagle, biegłam rozniecić ogień na wieży nadmorskiej, w obawie by ręka mniej wierna niedała gasnąć światłości przyjaznej żeglarzom. Ile to nocy strawiłam na wpatrywaniu się niespokojnym okiem w gwiazdy niebieskie! Wreście zabłysła jutrzenka, a tyś był jeszcze daleki. Jakże mnie wicher przerażał. Jakże poranek wydawał się smutny w zaćmionych oczach, które zwracałam na morze. Nie widać było okrętu mimo łez moich, mimo pragnień miłości; słońce odbyło połowę biegu, powitałam z uniesieniem maszt w odległości

dojrzany, zbliżył się i zniknął. Niestety! drugi się za nim pokazał, ah to już był twój okręt. Kiedyż się skończą te dni pełne goryczy? kiedyż zechcesz drogi Konradzie używać przy mnie szczęścia i pokoju? Czy niemasz skarbów więcej niż potrzeba? Ileż to jest przyjemnych zakątków, gdzieby ci wolno było wyrzec się błędnego życia? wiesz że się nie obawiam niebezpieczeństw; drzę tylko gdyś niejest przy mnie, nie o moje życie, lecz o twoje sto razy droższe? Czemu unikać miłości, i wzdychać do walk nieustannych? cóż przymusza serce twoje do sprzeciwiania się naturze i najsłodszym skłonnościom?" --- „Tak jest, przyznaję ci luba, że serce moje zmienione oddawna. Zdeptany jak robak nikczemny, pomściłem się jadem węża. Jedyna dla mnie nadzieja na ziemi, jest miłość twoja. Światło przebaczenia nie błyszczy już na niebie dla duszy mojej; lecz te uczucia które potępiasz, ta nienawiść rodu ludzkiego nierozdzielną jest od miłości ku tobie. Tak jest przestanę kochać, gdy przestanę nienawidzieć. Medoro! porzuć tę trwogę; przeszłość zaręczą ci, że wieczną będzie moja miłość. Bądź śmiałą, przezwycięż twoje serce; w godzinę cię opuszczę, lecz nie na długo." --- „W godzinę! ziściły się przeczucia serca mojego! Tak to nikną dla mnie najpiękniejsze marzenia o

szczęściu! W godzinę! nie, to być niemoże. Jeden z twoich okrętów dopiero co stanął w porcie, drugi jeszcze nieprzytomny; ludzie potrzebują spoczynku nim się mogą na nowo puścić na morze; przyjacielu mój, ty igraszkę sobje czynisz z mej miłości, tem zmyśleniem chcesz przygotować serce moje do prawdziwego rozstania. Przestań, ah przestań zostawiać mnie w niepewności. Ten żart ma dla mnie zbyt wiele goryczy; nie mówmy o tem więcej. Przyjdź raczej mój ulubiony, przyjdź podzielić wieczerzę, którą ręce moje zgotowały; jak miła powinność zatrudniać się skromną ucztą twoją! Patrz, oto zerwałam owoce, ktore mi się zdawały najwyborniejszemi, a gdym się wahała w wyborze, najpiękniejsze wzięłam za najlepsze. Trzy razy przebiegłam dolinę, dla znalezienia, najświeższego zdroju. Tak jest, twój sorbet będzie dnia dzisiejszego słodszy, niż kiedy indziej. Oto już czeka na ciebie w tem naczyniu alabastrowem. Zawrotny sok wina nierozwesela nigdy twego serca, odpychasz kielich z większą zgrozą niż Muzułman. Nie ganię ci wcale że przenosisz to, co inni zowią umartwieniem; ale pojdź, stół jest gotowy, kobiety służące zaczną tańce, lub wzniosą pieśni. Ty lubisz moję gitarę, pójdź, przeczytamy w Arjoście miłość i nieszczęścia Olimpji. Winniejszym byłbyś od niewiernego co zdradził tę

xiężniczkę, gdybyś mnie teraz porzucił, winniejszym od przeniewiercy który... widziałam żeś się uśmiechał, spostrzegłszy wyspę Arjadny... ileż to razy mówiłam, tak i Konrad mnie porzuci. Zawiódł mnie... wracając raz jeszcze." --- „Tak to kochanko moja, Konrad zawsze będzie powracał; tak jest zawsze póki mu pozostanie cień życia i nadziei. Lecz godzina wyjazdu zbliża się. Niepytaj się czemu, i dokąd się oddalam. Cóż z tego gdy zakończyć trzeba, smutnem słowem: Bywaj zdrowa! Ah gdyby czas mi pozwolił, opowiedziałbym ci wszystko. Nie lękaj się, słabi są przeciwnicy nasi. Straż liczniejsza czuwać będzie na naszej wyspie, zasłoni ją od niespodzianych napadów i wytrzymać zdoła dłuższe oblężenie. Niepozostajesz sama choć się twój przyjaciel oddala, otaczają cię towarzyszki twoje, a nadto bądź przekonaną, że mój powrót jest bliski; idę wywalczyć spokojność... Oto brzmi trąba Juljana; uściskaj mnie, raz jeszcze, i jeszcze raz. Bywaj zdrowa." Porywa się Medora, wiesza się u szyi Konrada, twarz ukrywa na jego łonie. Serce jej kochanka jest ściśnione, nie śmie spojrzeć na te oczy, co w żałości łzy jednej uronić niemogą; długie włosy pływają w nieporządku rozpaczy. Czuje Konrad jak słabo bije to serce nim samym napełnione, które zbytek miłości zdrętwił. Ale ryczące działa

donoszą o końcu tego dnia, który Korsarz przeklina; sciska z wściekłością swoją lubą, której niema rozpacz wzywa litości; drząc składa ją na łożu, patrzy na nią jak gdyby patrzał raz ostatni, czuje że ona sama przywiązuje go do ziemi, całuje zimne jej czoło, odwraca się, . . . i już niemasz Konrada.

XV.

„Niemasz Konrada!-- westchnęła Medora -- O jak często te okrutne słowa mięszają moję samotnię. Przed chwilą tu był, i już... Biegnie na wieżę; tam dopiero łzy może wylewać, lecz usta niezdołają jeszcze wyrzec okropnego pożegnania, bo to słowo, chociaż w niem wyrazić chcemy nadzieję, samą rozpaczą oddycha już żałość wyryła na czole Medoyr, znaki których czas niezmaże; te oczy błękitne które miłość ożywiała straciły dawny ogień wyglądając tego którego już niespodziewają się widzieć. Ale czyliż to nie Konrada spostrzegają? Tak jest to on, ale jakże jest daleko „odjechał!" zapłakana Medora krzyżuje ręce na piersiach, potem wznosi je ku niebu, spoglada na wody morskie, i białe żagle które wiatr rozdyma, odwraca się i odchodzi zduszą ściśnioną." To niejest sen-- zawoła-- zbyt pewne jest moje nieszczęście!'

XVI.

Ze skały na skałę niezgięty Konrad przyspiesza kroki ku brzegom morskim, nieodwraca oczów lecz drzy gdy zakręt ścieszki pokazuje mu przedmioty których unika, unika widoku tej samotnej wieży spoczywającej na wierzchu góry, widoku drogiej przyjaciołki, gwiazdy piękności, którą zostawia pogrążoną w rozpaczy. Chwilę jednak zatrzymuje się niepewny czyli niema zdać na los dalszych przeznaczeń swoich. Nie, nie, wódz mężny rozrzewni się, lecz nieustąpi na jęki kobiety.

Spogląda na okręt, wiatr jest pomyślny, dawna dzielność tleje w jego piersiach, idzie, krzyk pomięszany ludzi okrętowych, szczęk broni, szum wioseł, uderza jego uszy; widzi majtka na wierzchu masztu, widzi jak wznoszą kotwicę, jak się nadymają żagle, a zefir rozwija chustki tych co z okrętu i z brzegu posyłają sobie wzajemne pożegnania; ale nadewszystko widzi swoję banderę czerwoną, i zdumiewa się że przyjął do serca cień słabości. Ogień jego oczów, i krew wrząca w żyłach, znać daje, że jest znowu sobą samym........

Straż gromadzi się koło niego. Juljan jest na jej czele. „Czy wszystko gotowe?" -- „Towarzysze nasi już są na okręcie. Ostatnia łódź czeka wodza." -- „Płaszcz i szablę!" Ledwo wyrzekł, już ramiona jego płaszczem okryte, a szabla szczęknęła u boku. „Zawołać Pedra" -- „Oto jest" -- Konrad przyjął go z względami jakiemi czci zwykle przyjaciół. „Weź te papiery -- rzekł -- zawierają ważne zlecenia. Straż niech będzie podwojona. Skoro Anzelm powróci, niech postąpi podług moich rozkazów. W trzy dni, jeżeli wiatr będzie pomyślny słońce oświeci nasz powrót." Skończył, ścisnął za rękę mężnego towarzysza, i dumnie wstępuje do łodzi. Przybywają do okrętu, Konrad już jest na pokładzie. Lecz wiele jeszcze ma zrobić przed nocą, wzywa Gonzalwa, i uwiadamia go o swoich zamiarach. Lampa użycza im światłości. Rozmowa ich ciągnie się do północy, lecz któryż człowiek niespokojny dostrzeże upływu czasu? Tym czasem okręt pomyślnym wiatrem pędzony, pruje wały orlim lotem. Pomija skupione wysepki i przededniem staje w bliskości portu. Tam Korsarze spostrzegają ciasną zatokę, w której się zgromadziła flota Baszy. Liczą jego galary i uważają z jaką niedbałością Turek od-

prawia straż nocną. Niepostrzeżony przemyka się Konrad, i zarzuca kotwicę za skałą, która ich ukrywa. Niepotrzebuje budzić swoich ludzi, gotowych na wszelkie niebezpieczeństwo, rozmawia z nimi spokojnie, a rozmawia o krwi którą mają przelewać.

(Xięga II. w następującym numerze:)

LITERATURA i SZTUKI.

TEATR NARODOWY.

Na Benefisie P. Kurpińskiego ujrzeliśmy dwie nowe sztuki: Komedją *Pięć Siostr a jedna*, i Operę: *Kalmora czyli Prawo ojcowskie u Amerykanów.*

Pięć Siostr komedja w I. Akcie P. Dmuszewskiego, ocenioną być winna podług tego, w jakim celu daną była na teatr, i przyznać należy że celu tego dopięła, bo wszystkich rozśmieszyła widzów. Tok lekki, żywość i wesołość jest niezaprzeczoną jej zaletą. Sztuczka ta z przeznaczenia swojego zakończać powinna była widowisko, a umieszczenie jej na początku zaszkodziło wiele operze, w której wypadki powolniejszym idą krokiem.

W *Kalmorze* słowa są K. Brodzińskiego, muzyka K. Kurpińskiego. Muzyka ta należy do rzędu najlepszych dzieł naszego Kompozytora, już to że charaktery osób w śpiewie, z wielką prawdą są oddane, już też że w niej rozwinął P. Kurpiński wielkie bogactwo harmonji. Jeżeli P. Lipiński w swoim rozbiorze opery Zamek na Czorsztynie umieścił P. Kurpińskiego obok *Mehúla* i *Dalejraka*, nie można wątpić iż słysząc tę ostatnią jego kompozycją, wyższe mu miejsce naznaczy. Żaden znawca odmówić mu nie może wielkiej znajomości sztuki, żywej wyobraźni, i tylu nowych pomysłów, których nigdy nie powtarza. Publiczność z licznemi oklaskami wywołała tak Autora słów, jako i muzyki.

Na tem widowisku szczególniej zajaśniał piękny talent Pani *Aszpergierowej*, która najtrudniejsze miejsca wydała z przykładną łatwością i dokładnością. Gra Pani *Kurpińskiej* jest zawsze żywa i naturalna. Młody P. Wejnert syn zasłużonego w orkiestrze floterwersisty, sposobi się coraz bardziej na dobrego tenorzystę, i obiecuje dokładnie oddać role, które dotąd zawsze cierpiały.

Umieszczamy tu jeden z krótszych śpiewów wraz z muzyką.

Jest to arja Zalimy siostry Kalmory, a kochanki Anglika Godwina.

Tam daleko za morzami,
Niecnych ludzi pełno wszędzie;
Tacy się nie złączą z nami,
Zły niech zawsze obcym będzie.
　　Lecz kto w bliźnim widzi brata;
　　Mężnym na ratunek bieży,
　　Chociażby był z końca świata,
　　Taki do nas niech należy.

Kto dla złota honor traci;
Siebie tylko ma na względzie,
Przeda ziemię, własnych braci,
Taki niechaj obcym będzie.
　　Lecz kto prostą idzie drogą;
　　Choć fortuna krzywo bieży,
　　Kocha cnotę choć ubogą,
　　Taki do nas niech należy.

Kto pozornie się układa
Póki wyżej nie osiędzie,
Gdy już błyszczy, maska spada;
Taki dla nas obcy będzie.
　　Ale podług mego zdania,
　　Kto jak Godwin mężny, świeży;
　　Słabych broni i zasłania,
　　Taki do nas niech należy.

Spóźniona muzyka umieszczoną będzie w przyszłym Numerze.

KORSARZ

Poema Lorda Byron.

(Dokończenie.)

Chcieliśmy choć w części dać czytelnikom naszym wyobrażenie stylu i sposobu pisania Lorda Byrona, i z tej przyczyny, pierwszą xięgę Korsarza dosłownie przełożyliśmy. Gdy wykład następnych przechodziłby zakres pisma naszego, umieszczamy przeto ich treść wraz z niektóremi wyjątkami wierszem przełożonemi.

Konrad z okrętem swoim przybliżywszy się do floty Turków, ukrył go między skałami, a sam przebrany za Derwisza wszedł do pałacu Baszy Zeida, i udał się za zbiega od Korsarzy. Gdy go zabawiał rozmową, współtowarzysze jego uderzyli na Turków. -- Konrad złączył się z niemi. -- Płonie ogniem flota i pałac Baszy, w którym jego niewolnice zamknięte były. Ich jęki obudzają litość w sercu Konrada. Biegnie im na ratunek; śpieszą za nim jego żołnierze, i nieszczęśliwe ofiary z pośród płomieni wynoszą. Konrad uratował Gulinarę najmilszą Zeidowi. Przez ten czas ochłonęli

Turcy z bojaźni, a widząc przed jak małą liczbą pierzchali, uderzają z nową wściekłością. Przemogli. Ledwie kilku Korsarzy schronić się na okręt zdołało, reszta poległa, a dowódzca wzięty został. Poprzysiągł Basza że Konrad w okropnych męczarniach życia dokona, na wierzchołku wieży zamknąć go rozkazał: nazajutrz z zachodem słońca męczarnie Konrada rozpocząć się mają. Nie szemrze on na wyrok Baszy, jemu tenże sam los przeznaczał. Jedno tylko wspomnienie Medory boleścią go przeszywa, lecz i to oddala od siebie, i po tylu trudach zasypia.

Skrycie przybyć do niego któż to się ośmiela?
W tych miejscach on żadnego niema przyjaciela,
Czyli go przez Anioła Bóg do siebie wzywa;
Nie.. pod Bóstwa postacią śmiertelna przybywa,
Lampę z posępnem światłem, białą ręką trzyma,
Bacznie ją przed Konrada zasłania oczyma.
Jakaż piękność w te miejsca wolnym wchodzi kro-
I postacią i czarnem zajmująca okiem. (kiem?
Dla czegoż ją głębokie otacza milczenie?
Jak przeszła mimo straże, mimo nocy cienie?
Pytaj się jak niewiasta ma wielką moc duszy,
Gdy jak ty Gulinaro, litością się wzruszy.
Zasnąć ona nie mogła, chociaż zasnął Basza,
Nawet go we śnie widok Konrada przestrasza;

Pierścień władzy oznakę z ręku mu zsuneła,
Pewna przedsiewziętego dokonać z nim dzieła.
Ten znak ją zabespiecza, żołnierz jej niebada,
Strudzone straże zajrzą spoczynku Konrada,
Zwolna się Gulinara pośród nich przesuwa,
Wszyscy jej niepoznają, żaden już nie czuwa;
Na piersi głowa spada, sen powieki tłoczy,
Ledwie na pierścień słabe obrócili oczy.
„On spi, rzekła zdumiona, gdy zdjęci rozpaczą
Jedni jego niewoli, drudzy ciosów płaczą,
Cóż mię tu przyprowadza pełną pomięszania?
Jakiż urok ku niemu serce moje skłania;
On mnie wyrwał z płomieni ręką dobroczynną,
Nie tylko jemu życie, więcej jestem winną.....
Już za późna uwago!,... budzi się.... milczenie...
On wzdycha. — Jużem jego przerwała uspienie.
Konrad podnosi głowę, światłość go uderza,
Wątpi gdzie się znajduje, kto do niego zmierza,
Mniema że żyć już przestał; za ruszeniem ręki
Życie mu dały uczuć smutne więzów brzęki.
„Jakaż to piękność rzecze, widzieć mi się daje,
Czyś bóstwo zajmujące nadpowietrzne kraje." (nił,
„Znasz mię, wdzięczną kobietę od śmierci uchro-
Rzadkoś w ciągu dni twoich niewinności bronił:
Ty rzuciłeś się za mną, wyrwałeś z płomieni,
Ja przybywam do ciebie pośród nocnych cieni."
„Tyżeś to, rzecze Konrad, o niewiasto tkliwa!
Ciebie jedną śmierć moja boleścią przeszywa,

Uległem, zwyciężyli przeciwnicy moi,
Dziś im prawa zwycięztwa używać przystoi."
\- - - - - - - - - - , - -

„Zginiesz, rzekła, lecz Baszę może zmiękczyć
Wystawię com ci winna, i wyrok odwołam, (zdołam,
Chcę nas oboje zbawić, chcę nawet w tej dobie...
Lecz ani czas, ni siła, nie dozwala tobie.
Wykonanie wyroku dni kilka odłożę,
Większe usiłowanie dziś nas zgubić może,
Ty sam nie chcesz nas stawić na tysiące grotów."

„Tak niechcę, i w tej chwili na wszystkom jest
Nazbyt nisko upadłem, niżej nie upadnę, (gotów,
Porzuć nieszczęsny zamysł i nadzieje zdradne.
Na krwawym polu bitwy zwykłem wrogów czekać,
Nie zdoławszy zwyciężyć, nie zechcę uciekać.
Jaż to sam jeden tylko zgonu się uchronię:
Lecz mam wierną kochankę, nad nią to łzy ronię,
Już mnie więcej do swego nie przyciśnie łona,
Bóg, Medora i oręż, to moja obrona.
Dawnom się wyrzekł Boga; on mnie się wyrzeka,
I za narzędzie zemsty, używa człowieka,
Precz odemnie ta myśli.. nie będę tak podły,
Żebym trwożnej rozpaczy w niebo wznosił modły,
Żyję, mogę znieść wszystko; tę jedną mam tarczę,
Na tym dosyć mi będzie: sam sobie wystarczę.
Przemoc wydarła oręż z rąk niegdyś potężnych,
Niegodniem odpowiedział zaufaniu mężnych;
Okręt morze pochłonie, lub wrogi rozbroją,
Jeszczebym Niebios błagał za kochanką moją;

Lecz ją straszną żałobą moja śmierć okryje,
Medora zgonu mego długo nie przeżyje.
„ Ty więc inną już kochasz? lecz o cóż się tro- (szczę,
Tak o cóż? lecz ty kochasz! jakże tym zazdroszczę,
Co szczęśliwsi odemnie miłość znaleźć mogą,
Nie dręczą się złudzeniem, niepewnością, trwogą.
„Więc nie kochasz Zeida" — „Jego? Nadaremnie
Tkliwe czucie miłości chce obudzić we mnie,
Miłość mieszka z wolnością, nienawidzi Pana;
Ja jestem niewolnica wśród wielu wybrana,
Z boleścią pytam siebie czy miłością pałam;
Że niekocham, to zawsze z boleścią poznałam.
- - - - - - - - - - -
Pamiętaj nieszczęśliwy! by twą nędzę skrócić,
Życie oddać za życie, kochance cię wrócić
Udaną wzaiemnością Zeida poruszę, (muszę
Dziś nie zginiesz... żegnam cię... już dzień... odejść
To rzekłszy jego rękę do serca przyciska,
I ucieka podobna do nocy zjawiska;
Już najmocniejsza miłość jej serce posiadła....
Jakaż to świetna perła na więzy upadła;
Ah! to jest łza litości, łza droga i święta,
Widokiem nieszczęsnego z serca wyciśnięta,
O łzo nazbyt dowodna! kobieta cię roni,
Słabość do podbijania używa tej broni.

Niedobitki Korsarzy przybyli do swoich. Jch statek napół rozbity, wielu rannych, wszyscy po-

grążeni wrozpaczy, chcieliby mówić: lecz lękają się żeby ich nieusłyszała Medora.

Widzi ich i przeczuwa nieszczęście Konrada
Widzi, lecz pod ciężarem cierpień nie upada,
Pod postacią niewiasty żyje umysł męzki,
Najcięższe go dopiero okazują klęski;
Póki jest w niepewności, dopóty łzy leje,
Lecz żal przytłumia w sobie straciwszy nadzieję.
Tém ją słowem uzbraja niepojęta siła; (ciła;
„Czegóż się masz obawiać gdyś wszystko stra-
Milczycie, zawołała, już się was nie pytam.
Z twarzy waszej, z milczenia stratę moją czytam,
Wiem... lecz chcę słyszeć jeszcze... głos na ustach
Odkryjcie com straciła, niechaj zapewniona... (kona:
Powiedźcie gdzie jest Konrad?.." „Niewiemy wy-
Pokonani ledwieśmy na okręt uciekli, (rzekli:
Lecz oto nasz towarzysz, ten nam opowiada,
Że rannego, w kajdanach miał widzieć Konrada.
Już nie słucha ich więcej, drżąca i wybladła,
Tym ciosem uderzona, bez siły upadła.

Duch wodza ożywia żołnierzy, wszyscy przysięgli albo go ocalić, albo się pomścić śmierci jego.

Gulinara, za Konradem wstawiając się do Zeida, ściągnęła na siebie jego podejrzenie. --- Okrukrutny Basza życie jego kilkunasstu dniami przedłużył dla wyszukania nowych a okrutniejszych

sposobów męczarni. Dzień nareście śmierci jego wyznaczony został.

W okropnej niepewności trzy dni Konrad przepędził, czwartego burza wściekłość swoją z ciemnością nocy złączyła, jak chciwie słuchał jej odgłosu: przez kraty więzienia przedzierał się do niego blask błyskawicy, który go więcej niż widok xiężyca pocieszał. Chce ciężkiemi kajdanami piorun na siebie sprowadzić, a wznosząc ręce obciążone żelazem, błaga litości nieba, by mu życie odebrało.

Przeszła burza a grom nie upadł, Konrad jęczy, i użala się jak gdyby niewierny przyjaciel pogardził jego prożbami.

Gulinara niekochała Zeida, powolną mu była jak Panu, dopóki nieujrzała Konrada: Konrad natchnął jej serce najżywszą miłością. Znienawidziła sobie Baszę, niebezpieczeństwo kochanka w nową ją uzbroiło odwagę.

Przybywa do więzienia jego.

Bladość jej lica łzami zroszone powlekła,
„Zginiesz, zginiesz Konradzie! drżącym głosem rzekła:
Słyszałam krwawy wyrok srogiego Zeida,
Jeden środek pozostał, straszným ci się wyda
Lecz męczarnie straszliwsze." ....

„Na wszystkie się katusze z radością narażam,
Raz ci to już mówiłem, raz jeszcze powtarzam.
Los tak srogi zbrodniarza nie może ominąć,
Godzienem tej męczarni, powinienem ginąć!
Dla czegoż pozbawiasz mnie szczęścia największego?"
„Dlaczego? ah Konradzie! chcesz wiedzieć dla
Wyświadczyłeś największe dobro Gulinarze, (czego?
Ginie najcięższą śmiercią, kto ginie w pożarze,
Dla czego? Konrad może mnie się o to pytać,
Nieszczęśliwy! nie umiesz w sercu mojem czytać.
Co powinnam utaić, przed tobą odkryję,
Występnyś... lecz dla ciebie moje serce bije,
Poznaj Konradzie całą duszy mojej skrytość,
Wznieciłeś w niej obawę, obudziłeś litość, (remnie
Wdzięczność, wściekłość i miłość — Nie mów, że da-
Kocham cię, że nie możesz kochać mię wzajemnie.
Innej wiarę przysiągłeś, tegobym żądała,
By równając mi w wdziękach w miłości równała.
Powiedz, kochanka twoja jestże godną ciebie?
Ona ci nie jest wsparciem w najcięższej potrzebie.
Zezwoliła, byś od niej na boje odpłynął,
Błąkał się bez kochanki, bez kochanki zginął.
Już miecz niemylnej zguby nad nami wzniesiony,
Ja poświęcić się pragnę dla twojej obrony,
Choć miłość twoja dla mnie nie będzie wzajemną;
Masz serce?.. oto sztylet... weź go... i idź zemną."
„Z tobą: a te kajdany... gdy przebudzę straże,
I ciebie tą ucieczką na zgubę narażę,

Czyż się bronić zdołamy? czyż straże zwyciężem?
Kajdany nie są tarczą, sztylet nie orężem."
„Trwożliwy! idź... straż cała złotem jest ujęta;
Idź śmiało, jedno słowo skruszy twoje pęta,
Wszystkich sposobów w twojej użyłam potrzebie,
Jeśli jestem występną, jestem nią dla ciebie,
Że chcę zgładzić Zeida, toż stanowi winę?
Lub tyran zginąć musi, lub ja z tobą zginę.
Drzyż? inne mam uczucia... odwagi nietracę,
Znieważył mnie... za wzgardę śmiercią mu zapłacę.
Posądzonam o zdradę, za winną uznana,
Choć święcie dochowałam wiary dla tyrana,
Śmiejesz się... lecz wierz temu... zawszem była stała,
Pierwszy raz się zmieniłam, gdym ciebie ujrzała;
Był dla mnie obojętnym, poszłam w jego ślady,
Kto o zdradę posądza, ten jest godnym zdrady.
Nigdym go niekochała, kupił mię... lecz drogo,
Bo serca niewiast złotem nabyć się nie mogą.
Twierdzi że zdolna uciec z tobą Gulinara,
Nie dla jej łez Konradzie opóźniona kara,
Owszem gdy Zeid wyrok nieludzki odwleka,
Ciebie sroższa męczarnia, mnie ból sroższy czeka.
Pragnę od twojej głowy tę burzę oddalić!
Ocaliłeś mi życie, chcę twoje ocalić;
Wszystkom ci winna, przyjmij tę słabą nagrodę;
Że umiem ci być wdzięczną, to zgonem dowiodę,
Gotowam do spełnienia straszliwej ofiary...
Przebóg! lecz ty nie kochasz, nie znasz Gulinary,

Nienawidzisz ją może.. Przed tą losu zmianą
I miłość i nienawiść nie była mi znaną,
I miłości i wstrętu doświadczam w tej dobie,
Nie wzgardzisz ty płomieniem, którym tchnę ku tobie,
Ten cię płomień ocali... łódź przygotowana,
Idź... wkrótce ci śpiącego ukażę tyrana,
Nie powinien się ocknąć.".....
„Tu dopiero, tu czuję całe nieszczęść brzemie,
Tak jest; Zeid chciał moje opanować ziemie,
Był mym nieprzyjacielem, zgubić mię zamierzył,
Lecz bez wydania wojny, niebyłby uderzył.
Ja chciałem go uprzedzić... dla serca Konrada
Nieznanem jest morderstwo, obrzydłą jest zdrada.
Walczę, gdy w polu bitwy nieprzyjaciół widzę,
Umiem działać orężem, sztyletem się brzydzę;
Kto mógł z niebezpieczeństwa ciebie uprowadzić,
Ten wroga uspionego nie jest zdolnym zgładzić.
Zegnam cię Gulinaro, żegnam... żyj szczęśliwa!
Ostatnią noc przepędzam... już i ta upływa."
„Spoczywaj więc nieszczęsny!.. śmierć twa nieda-
Ale cię wprzód męczarnia najstraźliwsza czeka, (leka,
Jażbym znieść mogła losu tak srogą odmianę?
Pójdę na miejsce kary i przy tobie stanę;
Stanę, pełna rospaczy, okryta żałobą,
Gdy ty umrzesz Konradzie, i ja umrę z tobą.
Życie, miłość, nienawiść, szczęście mego losu
I ucieczka zawisły od jednego ciosu,
Wnim jedyną nadzieję ocalenia mamy,
Kiedy Zeid nie zginie, uciec nie zdołamy.

Tkwi mi w pamięci moja wzgarda i zniewaga,
Bespieczeństwo nas obu tej zemsty wymaga,
Dobrze! gdy się sztyletem brzydzi serce twoje,
Godnym jest rąk niewiasty, moją nim uzbroję,
Na wszystko się za ciebie Konradzie odważę,
Czuję mężką otuchę... ujęte są straże.
Pójdę, zgładzę tyrana tem mściwem żelazem,
Albo uniesiem życie, albo zginiem razem;
Jeżeli słaba ręka zdradzi serce moje,
Jutro Konradzie! razem, umrzemy oboje.

To rzekłszy opuszcza go, powraca za chwilę, Wolnym jesteś - zawołała, spadły kajdany z rąk jego, wzdrygnął się Konrad, gdy małą plamkę krwi na jej czole zobaczył. Ta zatarła w jego oczach wszystkie wdzięki Gulinary. Konrad widział krew płynącą, lecz na polu bitwy ręką żołnierzy przelaną; dała znak Gulinara, łódź gotowa czekała na nich, wsiedli i puścili się na morze, wkrótce spotkali okręt wiernych Korsarzy, Gulinara od czasu zabicia Zeida, ciągle łzy wylewała. Konrad brzydził się jej zbrodnią, litował się nad jej nieszczęściem. Dla niego jedynie Gulinara występną się stała. Wieczorem przybył do swojej wyspy, głębokie na niej panowało milczenie, nie błyszczało światło w pomięszkaniu Medory, nieprzeżyła ona u więzienia Konrada......

Konrad, tak okropnym ciosem uderzony, jak dziecię zalewał się łzami. Zniknęła dla niego nadzieja szczęśliwego bytu, umarła ostatnia żyjąca istota, której nie nawidzieć nie mógł.

Godnym był losu tego, lecz niemniej przeto goryczy jego doznawał. Człowiek cnotliwy zwraca się w nieszczęściu ku tej krainie, od której zbrodniarz jest na zawsze odtrącony. Dumny i złośliwy, co szczęście swoje wtém życiu jedynie zakładał, po za grobem żadnej pociechy nie widzi, traci wszystko, tracąc to co go przywiązywało do ziemi, mało on może traci, lecz któż z stałością znieść może, kiedy mu ostatnie wydzierają rozkosze.

Serce Konrada dla cnoty biło,
Los go przymusił do zbrodni;
Często go w życiu szczęście zdradziło,
Częściej zdradzali niegodni.
Stało się z jego skłonnością czystą,
Co z wody kropelką małą;
Gdy ścieka zwolna w grotę skalistą,
I sama staje się skałą.
W krótce w tę skałę, wichrem zachwianą,
Zgubę niosący grom pada;
Tegoż wstrząśnienia, dotknione raną,
Doznało serce Konrada. . . . . .

Dotąd swobodnie wzrastała róża,
Bezpieczna skałą wysoką,
Lecz jeden piorun i jedna burza,
Zniszczyła różę z opoką.
Niezostał z krzaczka kwiat dla pamiątki,
Wszystkie zwiędły, pozsychały;
I tylko ziemię zaległy szczątki,
Z obalonej gromem skały.
Błysła jutrzenka; lecz z towarzyszy,
Nikt nie idzie do Konrada;
Nieśmią mu przerwać lubéj zaciszy,
Nareszcie Anzelm się wkrada.
Ale już wodza, ani nad brzegiem,
Ani na wieży niebyło;
Każdy go śledził głosem i biegiem,
Póki się słońce nieskryło.
Z nowym porankiem, nowe szukania,
Lecz próżno Echa trudzili;
I próżno góry, groty, mięszkania,
Pola i lasy zwiedzili.
Wreście nad brzeżem znajdują słudzy,
Łańcuch od łódki zerwany,
Troszczą się jedni, cieszą się drudzy,
Spoglądając na ślad znany.
Ale daremnie nadzieja zwodzi,
Daremnie każdy się smuci;

Na czczem szukaniu dzień po dniu schodzi,
Konrad niewraca!.... nie wróci.
Nie było śladu, wieść nie głosiła,
Czy jeszcze na świecie żyje,
Lub czy kryjąca zwłoki mogiła
Razem jego rozpacz kryje.
Płakał po wodzu towarzysz chwały;
On tylko żyć mógł w żałobie,
Kochance wodza wzniósł grób wspaniały;
Ale na Konrada grobie
Nigdy nie stanął kamień żałobny.
Tak skończył życie nieznany,
Korsarz tysiącem zbrodni zmazany.
A jedną cnotą ozdobny.

Czytając to poema nie można się oprzeć rzewności ogarniającej umysł. Konrad chociaż tyle zbrodni popełnił, zajmuje, bo widziemy w nim szlachetność i wstręt od tajemnego zabójstwa, więcej go nieszczęśliwym, niżeli winnym sądziemy. Dostateczność układu nie cechuje poematu tego, szczegółowe piękności stanowią największą jego zaletę. Nie zaspokoił nas Poeta o losie Gulinary i Konrada, lecz następny jego poemat *Lara*, zdaje się być dalszym ciągiem *Korsarza.*

O wyspie Świętej Heleny.

Artykuł wyjęty z Dziennika pod tytułem Bibljoteka Historyczna.

Za zbliżeniem się do wyspy Śtej Heleny, dziwi nas nadzwyczajna wysokość tego ogromu ziemi, wznoszącego się aż pod chmury; lecz ten widok w miarę przybywania do przykrego nadbrzeża, nie przyjemniejszym się staje. Zaledwie podróżny w Jamestown wyląduje, zajmuje go przyjemny widok okolic tego małego, lecz czystego i dobrze zabudowanego miasta. Wgłębi wyspy okolice są przyjemne, i nadzwyczajnie zyznę; w każdej stronie widać zieleniące się doliny, i dobrze uprawne pola. Na drodze Plantation-House do Sand Ibej, znajduje się piękny dom Pana Kormes, dom i pola Pani Masson, domek Pana Ross, i jego stawy płaczącemi ocienione wierzbami; zakończa drogę głęboka dolina, tę dom na tarasie wystawiony ozdabia.

Ta droga prowadzi do starego Longwodu, który jest mieszkaniem Napoleona. Dom ten przytyka do lasu na pół mili rozległego, stoi na przyjemnej dolinie, a ze wszystkich stron otaczają go

drzewa. Przed domem jest ogród bardzo gustownie założony, w nim i najpięknièjsze trawniki, i najświetnièjsze kwiaty się znajdują. O sto kroków dalèj jest ogród warzywny, 3. lub 4. morgów ziemi zajmuje, i najlepszych jarzyn dostarcza.

W iednym pawilonie domu, mieszka Hrabia Montholon i jego rodzina. Mieszkanie to, urządzone naprędce, nie bardzo jest wygodne: w nowym domu urządzono dla Hrabiego dogodniejsze pokoje.

W pośrodku budynku jest wystawa, która zawiéra bilarową sale i pokój bawialny, z tyłu zaś znajduje się izba jadalna. Z boku cztery pierwsze okna oświecają bibljotekę, cztery następujące pokój sypialny i gabinet w którym Napoleon zwykł się ubierać, z tyłu jest sala od kąpieli, i mieszkanie kamerdynera.

W umeblowaniu i urządzeniu wewnętrznym, dom Napoleona wyrównywa domom, zamieszkałym przez znaczniejsze familje Angielskie.

Nowy Longwod jest na całèj wyspie najwspanialszym i największym domem, nawet i w Anglji domów wiejskich okazalszych od nowego Longwodu znaleść nie można; przez obszerny ozdobiony kolumnami przysionek, wchodzi się na ganek, którego okna oświecają pokój bawialny i salę bilarową.

W lewym pawilonie jest bibljoteka, oświeca ją wielkie okno, a ganek łączy z pokojem sypialnym Napoleona, dalej jest gabinet, łaźnia i pokój kamerdynera, pokój jadalny jest w środku domu, i łączy się z pokojami wystawy.

Pawilon prawy, mieści w sobie ciąg pięknych pokojów, przeznaczonych dla rodziny Montholon. Pomieszkanie Hrabi Bertrand, jest w oddzielnym dosyć wygodnym budynku, o 400. kroków, od domu Napoleona odległym.

Pospólstwo zwykło nazywać Napoleona wyrażem bardziej poufałem niżeli szyderskim, utworzyło go sobie przez skrócenie jego nazwiska. *Nosiłem wodę do Bona, uprawiałem ogród u Bona*; tak to nie oświecone rzemieślniki nazywają tego, który trząsł światem.

Z mięszkańców wyspy Stej Heleny, najznakomitszym jest P. Hudson-Lowe. Ten Gubernator długo był pod dowództwem Xięcia Blüchera, mówi dobrze po włosku, i w tem języku rozmawiał się z Napoleonem, póki się z sobą widywali. Od dwóch lat jak Napoleon odmówił mu wejścia, nigdy nie chciał z nim rozmawiać, nigdy go nawet nie widział. Przyjeżdża do Longwodu jedynie dla doglądania budowli nowego domu, o której ukoń-

czenie pilnie się stara, tu nie obawia się napotkać Napoleona, który nigdy nie chciał wiedzieć o planie nowego mięszkania.

Pułkownik d'Odgine 68 pnłku, jest to stary oficer wielą ozdobiony orderami, ma otwartość prawdziwie żołnierską, i nie zdolny jest w rozmowie zachować wzgląd na okoliczności i stosunki.

Przedstawiono go Napoleonowi: zapytany jak długo i gdzie służył, pułkownik chcąc wszystko porządkiem powiedzieć, zaczął od najdawniejszych wojen. *Z początku* -- rzekł -- *służyłem przeciw Waszej C. Mości w Egipcie*, Napoleon niechcąc słuchać dalej, odwrócił się od niego i rzekł do Montolona: *Zobaczysz że służył w Portugalji i Belgij. Służył nawet we Francji* odpowiedział Montolon. Wiem zawołał Napoleon, że jestem w obozie nieprzyjaciół.

Wykład przyłączonego planu. (*)

a) Kanapa na której Cesarz znaczną część dnia siedzi przed kóminem.

b) Kómin nad którym wiszą dwa portrety Cesarzowej, pięć Króla Rzymskiega, jeden z nich haftowała Marja Ludwika, i mały biust z marmuru, także Króla Rzymskiego.

(*) Artykuł ten w Bibljotece historycznej umieszczony jest pióra syna sławnego Lascases.

c) Mały stolik na którem jedząc Cesarz śniadanie, kazał niekiedy wołać mego ojca.

d) Małe łóżko wiejskie żalazne, gdzie sypia Cesarz.

e) Drugie małe łóżko podobne pierwszemu. Gdy Cesarz spać niemoże, często się przenosi z jednego łóżka na drugie.

f) Łaźnia, gdzie Cesarz co dzień brał kąpiele, kiedy nie zbywało wody,

g) Mały pokoik kamerdynera.

h) Gabinet od pracy. Stół na którym pracował Cesarz. 1. Miejsce Cesarza, 2. mego ojca, 3. moje, dyktował mi Napoleon wyprawę Włoską: każdy z nas miał oddzielne zatrudnienie, i to w osobnych godzinach.

i) Sala jadalna. 1. Miejsce Cesarza, 2. mego ojca, 3. moje, 4. Montholona, 5. Gourgauda, 6. Pani Montholon; Państwo Bertrand mięszkając około dwie mile od Longwodu, w niedzielę tylko razem z Cesarzem obiadowali. Po obiedzie który najdłużej 18 trwał minut; Cesarz odsyłał służących, probując do nich po Angielsku przemówić. Potém pytał się nas zazwyczaj, czy pójdziemy na komedją, czy na trajedją, posyłał mnie do bibljoteki, i czytał głośno, zawsze którego z wielkich naszych autorów, a najczęściej Kornela, Rasyna, Moljera; poczém kładł się spać.

k) Mały stolik na którem Nopoleon grywa w szachy przed obiadem.

l) Pokój sypialny ojca mego, 1. jego łóżko, 2. moje. Pokój był tak małym, że zaledwie dwa stołki pomieścić się mogły.

m) Nasz pokój od pracy. 1. Biuro mego ojca, 2. stół, 3. stół d'Ali, kamerdynera Cesarza który często przychodzi przepisywać dla ojca mego, 4. kanapa na której mój ojciec znaczną część dnia leży. Pokoje jego wyklejone papierem, i tak niskie, że ręką można dostać sufitu.

Kiedy słońce dogrzewa podusić się trzebą, kiedy deszcz padą przemoknąć. . . . . .

Teatr Narodowy.

Kilka słów o komedji *Pięć siostr a jedna.*

(Artykuł nadesłany:)

Chcąc sobje sprawić przyjemny wieczór, byłam wczoraj na teatrze, gdzie obok tworu zasłużonego kompozytora Polskiego który przez swój talent, zaszczyt krajowi naszemu czyni, miała być dana komedja oryginalna polska; komedja ta, poprzedzała operę i zdawała mi się być zabawną, lubo niekonie-

cznie oryginalną, naśladowanie bowiem *Zmyślonego Niewiniątka* połączone z naśladowaniem *siedem razy jednej* niemoże się nazwać oryginalną sztuką. Ale nie to ma być przedmiotem uwag, bo nadto mało mam znajomości w tej mierze, ażebym mogła sądzić o dziełach teatralnych, rozbiór sztuk czynić, i ośmielić się iść w zawody z nieboszczykami Xami, których dowcipne krytyki nieraz zapewne ochroniły widzom wystawienia rozmaitych płódów umysłów niedojrzałych i niedosyć jeszcze dokładnie dla sceny przysposobionych. Moim zamiarem jest zastanowić się jedynie nad jedną sceną z której jako Polka, gospodyni trudnjąca się domem i jako obywatelka zgorszyłam się zupełnie; wyraz ten może niewłaściwy, może zbyt ostry, ale go nie cofam, bo zgorszenie wielorakie być może, a gatunek zgorszenia który we mnie taż scena wzbudziła dzieliła zapewne ze mną każda kobjeta równie jak ja na wsi większą część roku przepędzaiąca, równie jak ja domowe zatrudnienia i troski, przyjemnościami towarzystwa w stolicy, przez kilko miesięczny pobyt sobje słodząca. Póki Panną która jest duszą tej sztuki, udaie, rozrzutnę ze skąpym, roztrzepaną z flegmatykiem, poty wszystko dobrze; ale kiedy ją autor czyni rządną, gospodarną, dobroczynną, pod postacią prostaczki w najwyższym stopniu ograniczonej i nie-

zgrabnej, kiedy z jej ust wychodzą nauki moralne dla każdej Polki właściwe; a obok tego, kiedy z szyderskim tonem wspomina że umie na pamięć spiewy Historyczne, że swych włościan wspiera dobroczynną ręką, i że jej klucznica rapporta o cielętach i jagniętach czyni; wtedy nie wiemy kogo winować, czy aktorkę że tę scenę z roli swoiej nie dość z rozumiała, lubo inne doskonale przez nią oddane były, i zamiast postaci skromnej, prostej, i naturalnej, której właściwym udziałem byłoby mówić o rządzie domowym i oszczędności, przybrała na się powierzchowność niezgrabną w obszerną chustkę obwiniętą; (ta chustka miała zasłaniać suknię aż nadto bogatą, i wcale do jej gospodarnego sposobu myślenia nie stosowną) czyli autora, że nie będąc dość biegły w zatrudnieniach wiejskich, oddał jagnięta pod dozór klucznicy i przywiązał dobroczynność i domowe cnoty do niezgrabnej karykatury. Życzeć by nam potrzeba, ażebyśmy jak najwięcej mieli osób myślących podobnie do tej prostaczki; niebyłyby w tedy potrzebne na teatrze ustawiczne wspominania o szalach zbyt drogich i o garnirowaniach z Paryża sprowadzanych, na które parter zawsze licznym oklaskiem odpowiedaiąc, przekonywać nas pragnie że zastosowania, zupełnie z codziennemi wnpadkami niemal każdego domu zgodne bywaią.

Te są uwagi, które oddaję pod sąd lepszych znawców; niemogę jeszcze zamilczyć, że mi się zdawała zbyt nienaturalną rola Pana Staruszkiewicza, który mówi i pisze do swej narzeczonej po łacinie. Wszak ojcowie nasi chodzili po Polsku, a ci osobliwie co żyli na prowincji, myśleli i działali prawdziwie po polsku; ale w dziecinnych latach naszych, niesłyszałyśmy nigdy, ażeby który z nich mówił do kobiet po łacinie: mógłby był Pan Cześnik mówić dobrą polszczyzną, a jego narzeczona odpowiadać mu po francuzku, byłoby to przyzwoiciej, gdyż podobnych rozmów często w towarzystwach wyższego rzędu nasłuchać się można; ale dla czegóż koniecznie robić z niego oryginał nienaturalny, kiedy nam niezbywa na oryginałach, zupełnie z istotną naturą zgodnych. Teatr powinien być zwierciadłem, w którem każdy słabość swą ujrzyć może; niechajże nie będzie nigdy miejscem wyśmiewania rzeczy szanownych, niechaj nas uczy czym być powinniśmy; a nieodciąga młodych umysłów od nabywania cnot, które istotnie bogactwem kraju naszego nazwać się mogą; to jest znajomości rządu domowego, umiarkowanej oszczędności, i skłonności do pożycia w wiejskim zaciszu, które jak najpewniejszy cel uzyskania wewnętrznej spokojności, i szczęścia dla płci naszej wystawiać należy.

. . . . . *ska.*

Do dzisiejszego Numeru przyłącza się Plan mięszkania Napoleona w Longwood, i muzyka w przeszłym Numerze obiecana.

Z kończącym się kwartałem Wydawcy Tygodnika mają zaszczyt donieść szanownym Prenumeratorom, iż do Redakcji ich pisma przybrali, Franciszka *Dmóchowskiego*, syna sławnej pamięci tłumacza Iljady, i Dominika *Lisieckiego*. Pierwszy zasłużył się poezji przez piękny przekład *Melancholji* i *Wspomnień z Legouvé*, oraz *Marjusza w Minturnie* trajedji *Arnaultda* i *Urojonej Niewierności* (Scagnarelle) komedji Moljera. Dominika Lisieckiego znane jest pióro przez wyjątki umieszczone w Tygodniku, z przełożonej przez niego trajedji Kazimierza Delavigne pod tytułem: *Nieszpory Sycylijskie*.

Koniec Tomu Iego. z roku 1820.

Spis

Rzeczy zawartych w Tomie I. Tygodnika.

Proza.
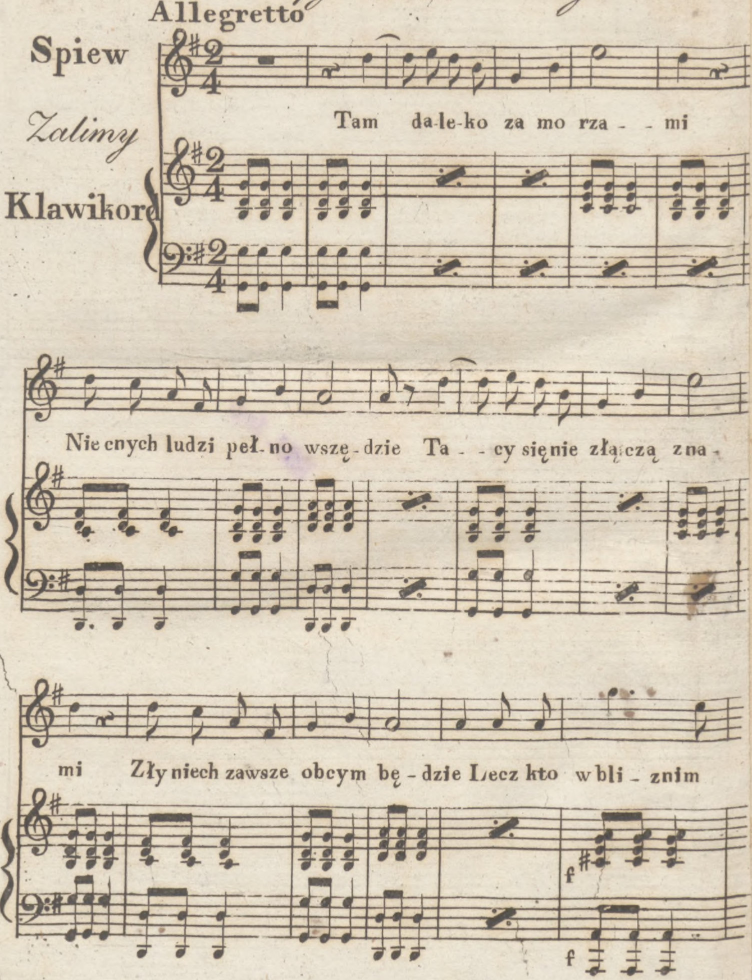
W i e r s z e.
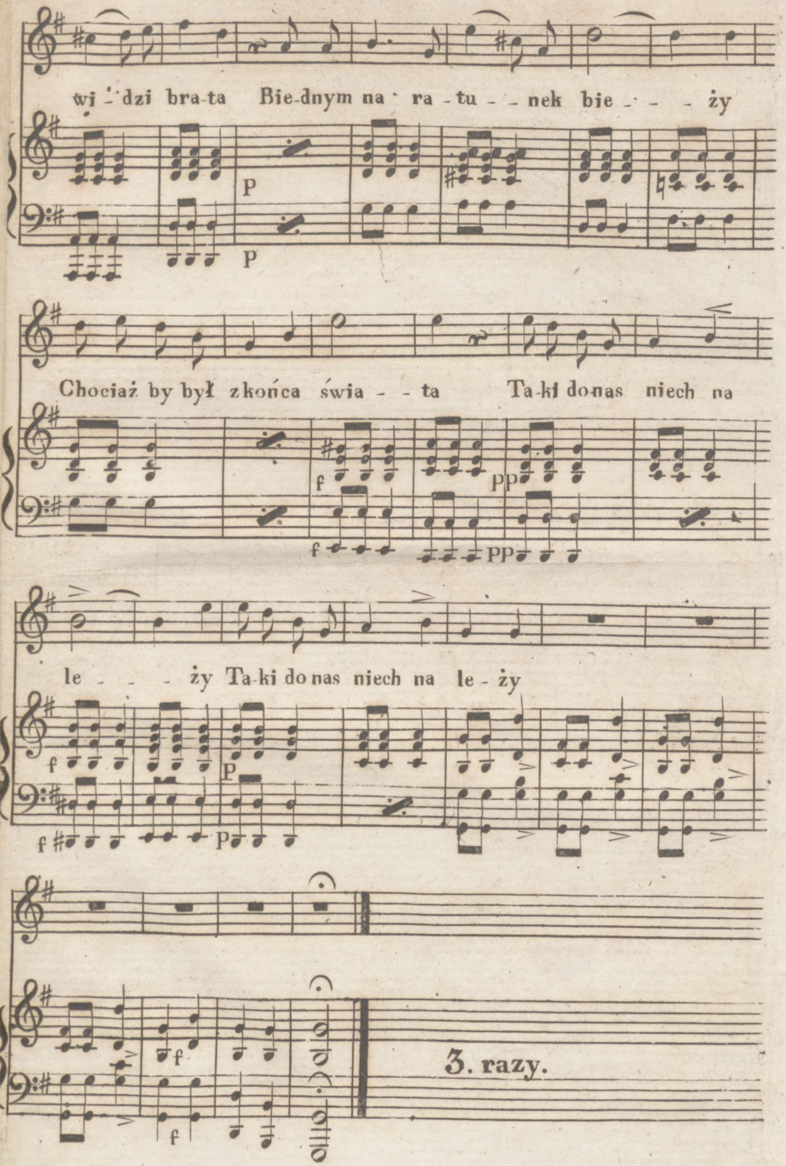
z Opery Kalmora

słowa K. Brodzinskiego

muzyka K. Kurpińskiego

do Tygodnika Polskiego.




wi - dzi bra-ta Bie-dnym na - ra - tu - - nek bie - - - ży
Chociaż by był z końca świa - - ta Ta-ki do nas niech na
le - - - ży Ta-ki do nas niech na le - ży
3. razy.